

**Barbara Boswell**

## **ZA WSZELKĄ CENĘ**

### **1**

- Chyba nie mówisz poważnie! To niemożliwe! Jak możesz oczekiwać, że będę pracowała nad scenariuszem z kimś - z kimś z „The National Cesspool”! - Kelly Malloy chodziła nerwowo po wąskim biurze redaktora Arta Wittnera.

- Witt, wiesz, że od dawna staram się o tę adopcję! Wszystko sprawdziłam, zebrałam materiały...

- Wiem, Kelly, wiem. - Witt przeciągnął ręką po swych rzadkich, siwych włosach i poprawił się w fotelu. - Ale kiedy wydawca dzwoni i mówi, że jego zdaniem to bez sensu, żeby i w magazynie, i w gazecie pokazały się artykuły na dokładnie ten sam temat i że powinno się łączyć wysiłki... - Zmarszczył brwi. - Nikt nie odmówi Tuckerowi Norwalkowi. Przynajmniej nikt, komu on płaci. Nie zapominaj, że oboje jesteśmy na jego liście płac.

- Pamiętam o tym doskonale. Ilekroć dostaję list z „Norwalk Publications” czuję się, jakby mnie ktoś kneblował - westchnęła. - Po co Norwalk kupił „In the Know”? Zaczęło nam się powodzić, nakład się zwiększył, dostaliśmy nagrody...

- Znalazłaś odpowiedź na własne pytanie, Kel. - Witt bawił się rozdartą kopertą. - „In the Know” był jednym z niewielu magazynów, które w zeszłym roku przyniosły dochód. Od początku byliśmy nastawieni na rynek Yuppie i udało nam się go zdobyć; z braku miejsca musieliśmy odrzucać oferty reklamowe i - zdobywaliśmy uznanie za dziennikarstwo na wysokim poziomie. A ponieważ Norwalk twierdzi, że chce podnieść poziom wydawnictwa, to naturalne, że zainteresował się właśnie nami.

Kelly prychnęła pogardliwie:

- Nawet gdyby kupił „The New Yorkera”, „The Atlantic Monthly” i „Puncha” - i tak mu to nie pomoże. Wszyscy w tym kraju wiedzą, że „Norwalk Publications” to najgorszy cham!

- Ale pomimo szczytnych ideałów i przekonań nikt w redakcji nie złożył wymówienia, gdy Norwalk wykupił magazyn - stwierdził z przekąsem Witt. - I wszyscy skrupulatnie realizujemy wystawione przez niego czeki.

- To dlatego, że ten magazyn jest dla nas wszystkim! My go stworzyliśmy. Jest naszym dzieckiem, nie możemy go porzucić tylko dlatego, że tak sobie życzy wydawca „The National Cesspool”!

- Również dlatego, że w Chicago trudno o dobrą pracę w naszym zawodzie - dodał oschle.

Kelly bawiła się kosmykiem włosów.

- To przestanie być dobra praca, jeżeli Norwalk będzie nalegał, żebyśmy współpracowali z gryzpiórkami z Cesspoola!

- Facet, z którym masz robić ten materiał, nie jest gryzpiórkiem, Kelly. To Brandt Madison. Musiałaś o nim słyszeć. Jest autorem czterech bestsellerów zainspirowanych przez prawdziwe przestępstwa. Za jeden z nich, opowiadający o siedemdziesięcioośmioletniej matronie, która sprowadziła trzy pokolenia swej rodziny na drogę rozboju i morderstwa, dostał Pulitzera.

- Och, tak, ten niesławny klan Osgoodów. - Kelly skrzywiła się. - Makabryczna rodzinka, jakby żywcem wyjęta ze szpał Cesspoola. Ten Madison i Norwalk doskonale do siebie pasują. Obydwaj mają taki sam zły gust.

- To jest cholernie interesująca książka, Kelly. Uwarunkowania psychologiczne i motywacje, które przedstawił...

- Jestem pewna, że większość czytelników pana Brandta Madisonsa nie była zainteresowana aspektem psychologicznym, Witt. Kupiła tę książkę, bo jest w niej krew i przemoc...i, oczywiście, seks. - Domyślałam się, że jest w niej tego pełno.

Gdy przytaknął nieśmiało, Kelly spojrzała na niego z niesmakiem.

- Ale dlaczego, na Boga, Madison interesuje się adopcją? Ten temat nie podpada chyba pod jego działkę: „sensacja, seks i przemoc”. A w ogóle, co autor bestsellerów robi w redakcji „The National Cesspool”?

- Madison nie jest w redakcji Cesspoola - Cholera, Kel, już go nazywam tak jak ty. Tylko tego by brakowało, żeby mi się to wymknęło przy Norwalku! - Witt przerwał na chwilę. -

Madison nie jest w redakcji „The National Informant”. Książka, nad którą ostatnio pracuje, traktuje o aferze adopcyjnej. W dodatku - jest zaprzyjaźniony z Norwalkiem. Informant zamierza drukować tę książkę w odcinkach, zanim zostanie wydana. Norwalk twierdzi, że Brandt prowadzi badania bez zarzutu - dodał zachęcająco.

- Badania - powtórzyła za nim pogardliwie. - Co Tucker Norwalk może o tym wiedzieć? Jego ludzie w Informant nie przeprowadzają żadnych badań, oni wyśmiewają te historie. Widziałeś ich nagłówki? **BLIŹNIACZKA SYJAMSKA MA DZIECKO NIE Z TEJ PLANETY. OFIARA MORDERSTWA WSTAJE Z GROBU I WYGRYWA NA LOTERII.** Sensacyjki. Bzdury.

Witt próbował się wykręcić.

- Mieli kilka niezłych kawałków, Kelly. Czasami też drukują w odcinkach dobre książki. Wydaje mi się, że Brandt Madison mieści się w obu kategoriach.

- Książkę Madisonsa będzie można zaliczyć do kategorii dziennikarstwa brukowego, jeżeli Informant będzie miał z nią cokolwiek wspólnego, Witt. Mam już pewne plany dotyczące mego artykułu. Tak zwany szary rynek adopcyjny...

- Kelly, naprawdę nie ma sensu dyskutować tego ze mną. Norwalk nie życzy sobie, żeby „In The Know” przygotowywało jakikolwiek artykuł na ten temat, chyba, że we współpracy z Madisonsiem. Nie chce, by pojawiła się podobna historia, zanim Informant nie zacznie drukować Madisonsa.

Był już zmęczony tą rozmową. Wiedział, jak bardzo Kelly potrafi być nieustępliwa.

- Jeżeli nie chcesz pracować z Brandtem Madisonsiem, nie musisz. Zawsze możesz znaleźć inny temat. Ale jak chcesz pisać o adopcji... - przerwał.

- Muszę współpracować z Madisonsiem - dokończyła za niego.

Rozmowa była skończona. Powstrzymała się od westchnięcia. Nic by go to nie obchodziło, gdyby odmówiła współpracy z Madisonsiem i tym obrzydliwym Informantem. Ale jeżeli odmówi, straci szansę napisania o sprawie, która była jej obsesją przez lata. Nikt nie wiedział o tej obsesji i jej powodach. Kelly chciała zachować swój sekret tylko dla siebie. Bardzo chciała też napisać ten artykuł.

- W porządku - powiedziała - spotkam się z nim. Może uda mi się go przekonać, by porzucił temat adopcji i skupił się na ciekawszych tematach: walczących szczepach kanibali, łowcach głów, wielokrotnych mordercach zabijających siekierą, czy też czymś w tym rodzaju.

Wittner roześmiał się.

- Spróbuj.

Kelly przeprosowała czarną wełnianą spódnicę, potem dobrała do niej żakiet. Był to najbardziej sztywny, pruderyjny i brzydki strój, jaki posiadała. „Ta garsonka z pewnością mogłaby być wymyślona przez projektanta nazistowskich mundurów” - pomyślała i uśmiechnęła się zadowolona. Kupiła ją na wyprzedaży parę lat temu, gdyż sądziła, że tak odpychający ubiór może się przydać. Teraz właśnie nadarzyła się okazja.

Zapięta wysoko pod szyją biała bluzka była następnym akcentem podkreślającym jej nieprzystępność. Z premedytacją włożyła pantofle na szerokich obcasach. Bardzo żałowała, że nie ma włosów na tyle długich, by można je upiąć w surowy kok. Zamiast tego podpięła je po obu stronach metalowymi spinkami.

Okulary w czarnych oprawkach ze świecidełkami udającymi diamenty miały zwykle szkła. Mimo że obdarzona doskonałym wzrokiem, nie miała zamiaru pozbawić się przyjemności zobaczenia efektu, jaki wywołają te koszarne oprawki. Oczywiście, na twarzy nie było śladu makijażu, nawet szminki. Przyjaciółka, z którą mieszkała, Susan Lippert, skrzywiła się na jej widok.

- Kelly, coś ty z sobą zrobiła. Naprawdę, wyglądasz... - Susan przerwała, szukając odpowiedniego słowa.

- Milutko? - Kelly spytała z nadzieją w głosie.

Susan przygryzła wargi.

- Hm, w zasadzie zupełnie przeciwnie.

- Chodziło o to, żebym wyglądała jak najbrzydziej. - Kelly przejrzała się w lustrze.

- Nie mogłabyś wyglądać brzydko, nawet gdybyś bardzo się starała, Kel - odezwała się Susan. - Teraz też ci nie wyszło.

- Chcę przytrzeć nosa próżnemu, płytkiemu idiocie, udającemu prawdziwego mężczyznę, na którego lecą wszystkie panienki. Gotowa jestem zrobić to za wszelką cenę.

- Mnie się zdaje, że w wywiadzie dla „Tribune” był całkiem w porządku. - Susan podniosła wycinek z gazety i wpatrywała się w niego bezmyślnie. - Zwłaszcza w części, gdzie mówi, że gdy „Cosmopolitan” wybrał go Kawalerem Miesiąca w ubiegłym roku, dostał listy od dwóch tysięcy kobiet, a połowa z nich zawierała takie rzeczy, jak zdjęcia nago i czarne, koronkowe majtki z wyhaftowanym na nich numerem telefonu.

- W porządku?! - Kelly spojrzała gniewnie na Susan. - Miałam mu za złe, że lubuje się w przemocy i seksie. Ale fakt, że najbardziej upodobał sobie to, w co natura wyposaża kobiety, przyćmiewa wszystko.

Susan uśmiechnęła się.

- Nalegałaś, byście spotkali się w bibliotece, a to z pewnością zaważy na jego zachowaniu. Biblioteki nie są dobrą areną dla podrywaczy.

Kelly wróciła myślą do krótkiej rozmowy telefonicznej z Brandtem Madisonem, którą odbyła nieco wcześniej. Jego głos był niski i męski. Mogłaby nawet pokusić się o miłą odpowiedź, gdyby nie kawałek gazety z wywiadem, który Susan wygrzebała ze sterty egzemplarzy „Chicago Tribune.”

Artykuł rozwiał jej wątpliwości. Kawaler Miesiąca wybrany przez „Cosmopolitan”! Listy od dwu tysięcy wielbicielek. Czarne majtki przysłane pocztą! Szukający sensacji, żądny krwi i gwałtu pisarz, współpracujący z odrażającym „The National Cesspool”! Ten człowiek był obrazą dla każdego poważnego dziennikarza.

Nalegała, by ich pierwsze spotkanie odbyło się w Bibliotece Głównej. Zamierzała mu się przedstawić jako beznadziejny mól książkowy. Brandt Madison nie będzie się wysilał, by wywrzeć na takiej kobiecie wrażenie. I, jeśli będzie miała szczęście, może zdoła go przekonać, żeby sam zrezygnował ze współpracy.

- No i jak wyglądam?

Brandt Madison przedfilował przez środek swego przestronnego salonu. Corrine - jego siostra i jej dwoje dzieci odwrócili się od telewizora i spojrzeli w jego kierunku.

- Wujku, chyba żartujesz - zaproponował czternastoletni Todd.

- Nie wyjdiesz przecież w czymś takim! Błyszcząca, czarna koszula rozpięta do pępka? Wyglądasz jak dinozaur z...epoki disco!

- Najgorsze są te tandetne złote łańcuchy! - lamentowała trzynastoletnia Debbie. - Nie wychodź w tym stanie, wujku. Ktoś z moich znajomych mógłby cię zobaczyć, umarłabym chyba ze wstydu!

- Masz tak obcisłe spodnie, że lepiej zrobisz, nie siadając przez cały wieczór - dodała Corrine ze śmiechem. - Skąd, u licha, wytrzasnąłeś te ciuchy, Brandt?

Uśmiechnął się.

- Ze sklepu ze starzyzną. Myślę, że Todd ma rację - naprawdę wyglądam jak dinozaur z epoki disco.

- Czy musiałeś tak zaczesać włosy, wujku? - narzekała Debbie. - Wyglądają, jakby były tłuste. Nie można nawet zgadnąć, jaki jest ich kolor.

Brandt zachichotał.

- Zużyłem całe opakowanie specyfiku waszej mamy, by uzyskać taki efekt, który - mam nadzieję - skłoni pannę Malloy do uciezki. A potem do powiadomienia swego naczelnego o zarzucenie absurdalnego pomysłu Tuckera z tą naszą współpracą.

- Dlaczego wujek Tuck tak na to nalegał? - spytała Corrine - I odkąd to zgadzasz się dyktować sobie warunki?

- Zrobiła na nim wrażenie jej pisanina. Widocznie zdobyła jakąś nagrodę. Poza tym chce podnieść poziom magazynu, dla którego ona pisze. - Brandt westchnął. - Wiesz, że Tuck jest zbyt dobrym przyjacielem, by mu powiedzieć „nie”. Po tym wszystkim, co zrobił dla naszej rodziny...Dlatego zgodziłem się przynajmniej spotkać z tą Malloy. Jeżeli ona odmówi współpracy, będę miał to z głowy.

- A jeśli okaże się niezłą sztuką, wujku? Będzie ci głupio, gdy pomyśli, że jesteś beznadziejny - dorzucił Todd.

- Tym się zupełnie nie martwię, Todd. Niezła sztuka nie pisałyby dla „In the Know”, pretensjonalnego, ponurego magazynu dla materialistów, kołtunów i egoistów. Co więcej, głos niezłej sztuki przez telefon nie przypominałby komendanta rosyjskiego gułagu. Dzisiejsza rozmowa z panną Malloy potwierdziła tylko moje przypuszczenia. Jest sztywna, oziębła, ma zahamowania i brak poczucia humoru. - Skrzywił się. - Z jakiego powodu ktoś taki jak ona miałby interesować się tak ludzkim problemem jak adopcja – tego nie wiem. Bardziej do niej pasuje snobizm intelektualny z wrogim elementem radykalnego feminizmu.

- Więc zamierzasz wystraszyć ją swoimi strojnym wyglądem samca w okresie godowym? - Zaśmiała się Corrine.

- Nie mam wątpliwości: podejrzewa, że nie przepuszczę żadnej istocie przypominającej kobietę. Więc zamierzam zachowywać się stosownie do jej oczekiwań tak długo, aż dojdzie do wniosku, że praca ze mną byłaby nie do zniesienia.

- I w ten sposób pogrzebać projekt - zakończyła Corrine.

- A tak w ogóle, to która poważna, szanująca się kobieta mogłaby znieść współpracę z Kawalerem Miesiąca wybranym przez Cosmo?

Brandt jęknął, gdy wypomniała mu ten tytuł, i cała czwórka wybuchnęła śmiechem.

Kelly zauważyła go, gdy wchodził do biblioteki. Płaszcz niósł przewieszony przez ramię, ubrany był w czarną jedwabną koszulę z bufiastymi rękawami i wąskie, błyszczące spodnie. Spomiędzy rozpiętej aż do pępka koszuli w gęstwinie jasnych włosów na piersi połyskiwały złote łańcuchy i medaliony.

- O, nie - jęknęła Kelly. Był okropny. Bardziej, niż się tego spodziewała. Wyglądał jak komisowa parodia playboya. A włosy? Nie mogła nawet odgadnąć, jakiego są koloru. W ostatniej chwili powstrzymała się przed ucieczką z biblioteki i wzięła głęboki oddech. Spotka się z tym maniakiem seksualnym i przekona go, że ich wspólna praca jest niemożliwa. To on był przyjacielem Norwalka - jeżeli on się wycofa, będzie to miała z głowy i będzie mogła spokojnie pisać swój artykuł o adopcji.

Sprawiło jej przyjemność, że był nie mniej przerażony jej widokiem niż ona jego. W swym zasznurowanym pod szyję ubiorze starej panny, bez wątplenia nie była w typie puszącego się pawia w strojnych piórkach. Pewnie wolałyby platynową blondynkę w obcisłych, za małych o dwa numery dzinsach i obfitym biuście, wylewającym się z ozdobionego złotą nitką dekoltu.

Gdy Brandt spostrzegł idącą mu na spotkanie kobietę w czerni, zdusił w sobie jęk. To musiała być Kelly Malloy. W strasznym, czarnym mundurze i okularach, którym brakowało tylko doczepionego nosa i wąsów. Pasowała do głosu, który usłyszał w słuchawce. Zgorzkniała, zacięta, cnotliwa stara panna. Opuścił wzrok na jej nogi. „Czyżby nosiła pończochy ortopedyczne? - zastanawiał się. - I te do obrzydzenia praktyczne pantofle.” Był zdziwiony, że nie nosi wysoko zasznurowanych trzewików, ale i te rzucające się w oczy, niemodne buty też świetnie dopełniały całości.

Wciągnął głęboko powietrze. Książka była jednak tego warta. Tysiące bezdzietnych małżeństw, które gorąco pragnęły dziecka, były bezbronne wobec chciwych i pozbawionych skrupułów handlarzy, wykorzystujących istniejące luki w przepisach prawnych dotyczących adopcji. Tysiące innych, które nie mogły sobie pozwolić na kupienie dziecka, i którym w ten sposób odebrano radość rodzicielstwa. Michele i on byli właśnie taką parą.

Brandt poczuł znajomy, przygnębiający ból. Jego napięcie zmalało z upływem lat, ale nie mógł się go do końca pozbyć. Przypomniał sobie głębokie rozczarowanie Michele (które w końcu wpędziło ją w chorobę), gdy lata mijały, a ona wciąż nie miała dziecka.

To jej właśnie pragnął zadedykować tę książkę. Najpierw jednak musiał się pozbyć tej nieproszonej współpracowniczki, panny Kelly Malloy.

Kelly podeszła do niego.

- Pan Madison? - spytała z rezygnacją w głosie.

Nie miała żadnych wątpliwości. To musiał być on. Któż inny niż ten próżny, przerysowany i wymyślony playboy pojawiłby się w bibliotece, wyglądając jak... jak relikwiarz epoki disco?

- Jestem Kelly Malloy.

Szkoda, że nie nosiła jakiegos bardziej odpychającego imienia, w rodzaju Abstynencji czy Dziewicy.

Brandt schylił głowę, rozbłysnął wystudiowanym, drapieżnym uśmiechem i objął ją w pól, palcami muskając biodro.

- Brandt Madison, do usług, słodziutka. Jestem - udało mu się rzucić jej prawdziwie pożądliwe spojrzenie - zwarty, gotowy, by cię właściwie obsłużyć, kociaczk.

Kociaczk! Kelly szybko odepchnęła dłoń ze swego biodra i uwolniła się od oplatającego ją w pasie ramienia.

- Panie Madison, na początku ustalmy pewne rzeczy. Nie życzę sobie żadnego obłapienia i nie będę reagowała na odżywki typu „kociaczk.”

Uraził ją, bardzo dobrze. Zwycięstwo już blisko. Uśmiechnął się szerzej, chwytając jej wąskie ramiona.

- Nie walcz z tym, kochanie. Poczułem, że coś nas łączy, gdy tylko nasze oczy spotkały się w tym zatłoczonym pomieszczeniu, w tej...bibliotece - pieśczołtliwie gładził ją po rękach. - Spod jakiego jesteś znaku, słodka? Nie czujesz nic? Nasze spotkanie było zapisane gdzieś w gwiazdach. Jesteśmy sobie przeznaczeni. Wyjdźmy stąd i pójdźmy tam, gdzie będziemy mogli być sami. Najlepiej do mojej sypialni.

Kelly odskoczyła od niego, nie dowierzając własnym uszom.

- Gdzie się pan tego nauczył? Może cytuje pan za magazynem „Mad”, opisującym knajpy dla samotnych?

Trafiła go boleśnie. Todd i Debbie byli wielbicielami magazynu „Mad”; tam właśnie przeczytał pastisz na bary dla samotnych. Opanował się i zmusił do uroczego uśmiechu.

- Chcesz iść do baru, koteczku? Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

Chwycił ją za rękę i usiłował wsunąć ją do kieszeni swych obcisłych spodni.

- Chodźmy się upić, lalczko. Potem cię rozbiorę.

Rozłościł ją. Był nachalny ponad wszelką miarę. Wyszarpnęła rękę, która dotykała napiętych mięśni, ściśle opiętych przylegającymi spodniami.

- Cóż za tupet! Co za bezczelność! - jej głos podnosił się, w miarę jak rosło jej oburzenie. - Nigdy nie spotkałam tak zuchwałego, krzykliwego, szowinistycznego...

- Cii, spokojnie, kochanie. Pamiętaj, że jesteśmy w bibliotece. Chodź, pójdziemy do mnie. Będiesz mogła krzyczeć, jęczeć, sapać tak głośno, jak tylko zamarzysz, mój mały, namiętny kwiatuśku.

Wiedziała, że musi uciec od niego, w przeciwnym razie gotowa była go zamordować. Wiedziała, że każdy skład sędziowski, w którym znajdowałaby się przynajmniej jedna kobieta, skazałby ją.

- Panie Madison - zaczęła tonem, który mógłby zmrozić nawet ogień.

- Chodź, kochanie. Widzę, że masz na mnie ochotę. Chodźmy stąd.

- Nigdzie z panem nie pójde.

- Nie? Dlaczego nie, cukiereczku? Nie podobam ci się?

- Panie Madison, cóż za niedocenywanie siebie! - wzdrygnęła się Kelly.

Iskra triumfu zabłysnęła w piwnych oczach Brandta. Dopiął swego.

- Już nie chcesz ze mną pracować, co, kiciu?

- Można to ująć w ten sposób, że wołałabym raczej pracować w kamieniołomach niż z panem.

- No i bardzo dobrze. Pierwszą rzeczą, jaką powinnaś zrobić jutro rano jest telefon do naczelnego. Powiedz mu, że się wycofujesz.

Porwał jej rękę i podniósł do swych ust, całując opuszki palców. Tak to należało zrobić, tak to robili amanci.

- Cała przyjemność po mojej stronie, słodziutka. Au revoir! Ciao! Sayonara!

Ruszył w kierunku drzwi. Triumfował.

- Chwileczkę, panie Madison.

Brandt zatrzymał się i odwrócił. Niedostępna Forteca wołała go. Na twarzy wykwit! mu obłudny uśmiech.

- Zmieniłaś zdanie, koteczku? Doszłaś do wniosku, że nie możesz mi się oprzeć?

Podeszła do niego z rękoma złożonymi na piersi. Okulary zsunęły się na czubek nosa. Wyglądała jak nauczycielka starej daty, która ma zamiar przywołać klasowego rozrabiakę do porządku.

- Z całą pewnością mogę się panu oprzeć, panie Madison. Prawdę powiedziawszy, nie ma się czemu opierać. I chociaż na pewno nie chcę z panem pracować, nie powiedziałam, że tego nie zrobię.

- Więc nie rezygnujesz? - na twarzy Brandta malowało się potężne rozczarowanie.

- Nie - odparła stanowczo. - Może się pan przestać wygłupiać. Nie odstraszy mnie pan. Brandt westchnął.

- Przesadziłem?

- Stanowczo.

- Tak na przyszłość: czym się zdradziłem?

- Zachowywał się pan jak postać z komiksu. - Kelly spojrzała na niego. - Gdy otrząsnęłam się z szoku wywołanego przez pana wygląd, przyszło mi do głowy, że może i jest pan próżnym, płytkim, skretyniałym podrywaczem, ale nie tak odpychającym. Ten strój, te śmiertelnie obraźliwe banały, którymi pan szafował - musiały być maską. A gdy pan tak ochoczo założył, że ja się wycofuję... - Wzdrygnęła się. - Przekonało mnie to całkowicie. Nieźle pan sobie radził, panie Madison, ale to nie ja będę osobą rezygnującą z narzuconej siłą współpracy.

Brandt wpatrywał się w nią długo. Potem podniósł rękę i ściągnął jej okulary. Po raz pierwszy zobaczył jej oczy, duże szeroko rozstawione, o barwie zielonego nefrytu. Miała długie, grube i ciemne rzęsy. Po raz pierwszy przyjrzał się jej cerze. Była delikatna, brzoskwińowa, wydawała się gładka pełne usta. Przełknął ślinę.

- Proszę mi je oddać! - Kelly sięgnęła po okulary.

Brandt trzymał je od niej z daleka. Później spojrzał przez nie.

- Bardzo interesujące, panno Malloy. Zwykłe szkła, prawda? Okulary dla kogoś obdarzonego doskonałym wzrokiem. Czy istnieje jakiś szczególny powód, dla którego ubrała się dziś pani jak zasuszona stara panna?

Oddał jej okulary. Schowała je do ogromnej torby przewieszanej przez ramię.

- Nie mam wcale większej ochoty współpracować z panem niż pan ze mną - powiedziała cicho.

- Ach, tak. I dlatego powzięła pani zamiar odstraszenia mnie tym przebraniem Niedostępnej Fortecy?

- Pomyślałam, że to dobry sposób na udaremnienie pańskich planów. Panie Playboyu.

- Najlepszy. Osobnik, którego grałem, zwiewałby stąd, gdzie pieprz rośnie, gdyby tylko ujrzął panią. - Uśmiechnął się do niej nieśmiało.

- Co będziemy teraz robić?

Nie odwzajemniła uśmiechu.

- Tucker Norwalk jest pana przyjacielem. Dlaczego pan mu nie powie, że nasza współpraca jest niemożliwa?

- Niech pani naczelny mu to powie. Albo pani.

- Nie mogę. Jeżeli odmówię współpracy z panem, będę zmuszona pożegnać się z moim artykułem o adopcji. Dlaczego pan nie może tego powiedzieć Norwalkowi? Jest pan jego własnością? Co sprawia, że tak ulega pan zachciankom tego Króla Blichtru i Śmiecia?

Wyprowadziła go tym z równowagi - odczytała to z jego spojrzenia. Przez moment napawała się swoim zwycięstwem.

- Nic pani nie wie o Tuckerze Norwalku ani o pobudkach kierujących moim wyborem przy rozpatrywaniu jego próśb.

Popatrzył na nią groźnie. Był świadomy tego, że ludzie, którzy znają Tuckera Norwalka jako wydawcę gazetek „blichtru i śmiecia”, nie mogą nic wiedzieć o tym, że jest wspaniałym, kochającym wujkiem, pod którego skrzydłami wzrastali on i Corrine. Ten zuchwały milioner, który do wszystkiego doszedł sam, miał niewielu przyjaciół, ale tych, których za takich uważał - traktował zupełnie wyjątkowo. Ojciec Brandta był jednym z nich. Kelly nie miała pojęcia, nie wiedziała, że zawsze można było na Norwalka liczyć. Mimo to czuł się urażony jej pomówieniami i aluzjami.

- Mogłabyś pamiętać o tym, że zawdzięczasz Tuckowi Norwalkowi to, że możesz pisać te swoje kawałki o tym, jaki jest najmodniejszy kolor makaronu przepuszczanego przez najnowocześniejszy model maszynki do jego robienia.

Obrażał jej magazyn! Poczwała, że płoną jej policzki. To było równoznaczne ze zniewagą osobistą.

- „In the Know” wcale nie jest banalny ani pretensjonalny, panie Madison. Owszem, drukujemy króciutkie, humorystyczne artykuły na takie tematy, ale w zasadzie...

- Humorystyczne? Mam poważne wątpliwości, czy można znaleźć choć iskierkę humoru w przynajmniej jednym kawałku napisanym przez nieustraszonych i zwartych członków pani redakcji, panno Malloy.

Punkt dla niego. Dostrzegł wzburzenie Kelly. Należało jej się za tę napaść na Tuckera.

Przeszywali się nawzajem zjadliwymi spojrzeniami. Na ich twarzach malował się gniew i zdenerwowanie. Żadne z nich nie chciało ustąpić.

- Posłuchaj. To, nad czym pracujesz, to tylko artykuł dla magazynu o niewielkim nakładzie - odezwał się Brandt, przerywając ciszę. - Ja natomiast pracuję nad książką, która pewnie znajdzie się na liście bestsellerów „Times’a”. Będzie omawiana w najpoczytniejszych magazynach, zostanie sprzedana za granicę. Spotka się z oddźwiękiem, może zmieni coś w zasadach adopcji. Twój artykuł nie będzie w stanie zmienić nic. Niech pani znajdzie sobie inny temat do zabawy, panno Malloy.

- Do zabawy? - powtórzyła za nim Kelly. - Nie ma mowy o zabawie, jeżeli chodzi o moje pisanie, panie Madison. Poza tym mam przeczucie, że mój artykuł może się na coś przydać, nawet jeśli tak arogancka i mająca o sobie wysokie mniemanie świnia, jak pan, sądzi inaczej!

Oczy Brandta zapłonęły.

- Mogę coś powiedzieć? Jesteś śliczna, gdy tak się złościś.

Nie mógł się powstrzymać od wypowiedzenia tych słów. Podniecona i gniewna, wydawała mu się jeszcze bardziej pociągająca pomimo ubioru starej panny i niechęci, jaką wzbudzała w nim perspektywa współpracy z nią.

Kelly nie przyjęła komplementu.

- Jeżeli to jeszcze jeden przejaw narzuconego sobie siłą uroku osobistego, proszę sobie darować.

- Koniec z urokiem, narzuconym czy jakimkolwiek innym. Może rzeczywiście zachowywałem się jak arogancka i mająca o sobie wysokie mniemanie świnia. Mogę zacząć od początku?

Uśmiechnął się do niej i wtedy po raz pierwszy Kelly mu się przyjrzała. Dostrzegła go poza tym uduchowionym strojem i egzaltowanym zachowaniem. Był wysoki, miał co najmniej metr osiemdziesiąt. Budowa ciała znamionowała siłę fizyczną i psychiczną odporność. Miał ostre rysy, prosty nos, silną szczękę, ładne usta i dziwnie sympatyczny pieprzyk na lewym policzku. Przez chwilę wpatrywała się w niego, zażenowana faktem, że przykuwał jej uwagę. Gdyby nie te ohydne, przyлизane włosy nieokreślonego koloru, można by było powiedzieć, że jest bardzo atrakcyjnym mężczyzną.

Podniosła wzrok. Miał niespotykane, jasnobrązowe oczy. Kelly zamyśliła się.

Jasnobrązowe ze złotymi plamkami. W miarę jak się wpatrywała, oczy te zdawały się zmieniać barwę z brązowej na złotą.

- Ta książka jest dla mnie bardzo ważna z powodów osobistych - odezwał się cicho, patrząc na nią. - Gdyby Tucker zaproponował inny temat dla naszej współpracy, pewnie bym nie protestował.

- Gdyby Tucker zaproponował cokolwiek innego, moja odpowiedź brzmiałaby „zdecydowanie nie”.

Przerwała sielankę tego wpatrywania się w niego. Była na siebie zła. Z całą pewnością mogła mu się oprzeć. Tylko gdy spoglądała w jego złote oczy...

Odważyła się raz jeszcze podnieść na niego wzrok. Ciągłe patrzył na nią. Przez moment zupełnie się zapomniała. Szybko odwróciła się, usiłując się uspokoić.

- Powiedział pan, że książka jest dla pana ważna z pobudek osobistych. To samo z moim artykułem. Jest dla mnie ważny z pobudek osobistych.

W ciągu ostatnich lat przyzwyczał się do tego, że zawsze dostawał, czego chciał: książki na listach bestsellerów, programy telewizyjne, nagroda Pulitzera. Spełniano jego wymagania, a wszelkie przeszkody dawały się łatwo usunąć. Kelly Malloy była wyjątkiem. Stała mu na drodze i pozostawała nieugięta.

Usta wykrzywił mu grymas wściekłości. Kto i kiedy ostatnio mu się sprzeciwił, śmiał mieć odmienne zdanie? Nawet krytycy zajmujący się jego książkami zawsze wyrażali tylko swój podziw.

Czy aby rzeczywiście nie stał się arogancką, mającą o sobie wysokie mniemanie świnia, o co oskarżała go Kelly Malloy? Ta myśl nie dawała mu spokoju.

Zebrała się w sobie i spojrzała na niego.

- Ja się nie wycofam, panie Madison - oznajmiła. - Jeśli współpraca z panem jest jedynym sposobem, bym mogła napisać swój artykuł, to ją ścierpię.

- Założmy, że powiem Tuckerowi, że spotkaliśmy się i doszliśmy do wniosku, że cele przyświecające w tej pracy pani i mnie różnią się dalece i są nie do pogodzenia - zaczął wolno. - Ze pomimo tego, że temat jest ten sam, nasze prace dotyczą zupełnie innych wątków, może wtedy uda się nam od tego wymigać.

Pomyślał, że chyba jednak nie jest arogancką, mającą wysokie mniemanie o sobie świnia.

- To powinno wystarczyć - na twarzy Kelly pojawił się pierwszy tego wieczoru uśmiech.

Brandt wpatrywał się w nią, zaskoczony tą przemianą. Miała urzekający uśmiech. Jej twarz o regularnych rysach okalały ciemnokasztanowe włosy; nie zauważył wcześniej ich koloru. Nawet w tym nijakim uczesaniu wyglądała nieźle. Przypatrywał się jej. Ładna. Bardzo ładna. W zasadzie, używając proroczych słów jego bratanka, naprawdę „niezła sztuka”. Która uważała go za podrywacza. Wzdrygnął się.

- Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia, panie Madison - powiedziała Kelly uprzejmie. Wyciągnęła do niego rękę na pożegnanie.

- Było - hmm - miło poznać pana.

Brandt wciąż się jej przyglądał. Pod tym staromodnym strojem kryły się intrygujące kształty. Ładna buzia. Dobra figura. Czy rude włosy i ciemne zielone oczy świadczyły o wielkim temperamencie? Uśmiechnął się. Byłoby interesujące móc to sprawdzić.

- Ponieważ przestajemy być partnerami, może uczymy to jakoś? - zapytał, ujmując jej dłoń w bardziej zażyłym niż zawodowy uścisku.

Obdarzyła go zjadliwym uśmiechem.

- Nigdy! - Uwolniła dłoń.

- Dlaczego? - Patrzył na nią niepokieszony. Oczekiwał, liczył na to, że z odmową spotka się jego bufonada, ale teraz już nie grał. Był sobą. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio jakaś kobieta odmówiła randki z Brandtem Madisonem.

- Każdy, kto zdobywa tytuł Kawalera Miesiąca w „Cosmopolitan”, nie zasługuje na więcej niż Mężczyzna Do Towarzystwa „Playboy’a” - odparła wesoło Kelly. - To nie dla mnie.

Dobranoc, panie Madison.

- Moment! - Chwycił ją za rękę i przytrzymał.

Kelly spojrzała groźnie na jego dłoń, na zaciśnięte palce. Nie wypuścił jej.

- Mówiłam już, że nie zyczę sobie być obłapiana, panie Madison - powiedziała rozdrażnionym tonem.

- Wcale pani nie obłapiam. I mów mi Brandt. To „panie Madison” działa mi na nerwy.

- Ale mi pan działa na nerwy. Zamierza pan powrócić do swego poprzedniego wcielenia?

Zabłyśły mu oczy.

- Co masz na myśli?

- Przyznał pan, że przesadził solidnie w odgrywaniu zachłannego rozpustnika, ale to nie znaczy, że nim nie jest. Chociaż teraz traktuje mnie pan jak rekwizyt w nieco zmodyfikowanej wersji swej roli. Dziękuję bardzo, panie Madison. Nie zależy mi na tym, by mnie pan uwiódł.

- Uwiódł? Spytałem tylko, czy napije się pani ze mną! Nie można chyba nazwać tego uwodzeniem!

- Dostrzegłam to spojrzenie wygłodniałego wilka, gdy mi pan proponował drinka.

- Wygłodniałego wilka?! - wrzasnął Brandt. - Sądzę, że to pani wraca do swego poprzedniego wcielenia. Droga Pani Pruderio.

- Nie może pan nazwać mnie pruderią tylko dlatego, że nie mam ochoty na drinka z mężczyzną, który dostaje pocztą czarną koronkową bieliznę damską z wyhaftowanymi numerami telefonów! Ile z tych numerów pan obdzwonił?



Oczy zapłonęły mu złotym płomieniem.

- Wszystkie! - warknął. - Wszystkie siedemset osiemdziesiąt osiem.

Popatrzyła na niego, jakby był jakąś chodzącą zarazą. Bardzo groźną.

- Mam nadzieję, że już się pan kontaktował ze służbą zdrowia - odrzekła z niesmakiem.

Uwierzyła mu! Naprawdę uwierzyła, że siedemset osiemdziesiąt osiem wariatek przysłało mu bieliznę z wyhaftowanymi na niej numerami telefonów - i że on do nich dzwonił! W rzeczywistości, ich liczba była bliższa dwóm, a nie zadzwonił do żadnej. Zazgrzytał zębami.

- Jesteś małą idiotką.

- A pan czymś, przed czym należałoby szczepić!

Wykręciła się i skierowała ku rzędom książek. Bogu dzięki, że nie będzie musiała pracować z tym facetem, pocieszała się, w miarę jak opadały emocje. Drużyna Malloy-Madison okazałaby się fatalną pomyłką.

Brandt ruszył w drugą stronę, wprost ku drzwiom wyjściowym. Owionął go podmuch lodowatego styczniowego wiatru. Pierwszy raz w życiu ktoś porównał go do zarazy! Jak tylko wstanie, zadzwoni do Tuckera Norwalka i powie mu, że zespół Madison-Malloy to kompletne nieporozumienie.

## 2

Przez okno w salonie Kelly obserwowała wirujące płatki śniegu.

- Przyjemnie być w domu, Butter - powiedziała do grubego kota w żółte paski, leżącego na sofie i z zadowoleniem liżącego pazury. - Biedna Susan, musi dotrzeć teraz na ten zjazd aż do Evanston.

Butter spojrział na nią, potem wrócił do swojej toalety, wykazując zupełny brak zainteresowania dla dalszej rozmowy. Mimo to Kelly mówiła dalej.

- Na szczęście mamy tylko zamieć. Zapowiadana burza śnieżna nie zacznie się przed północą. To tej pory Susan wróci.

Usiadła obok Buttera, wzięła do ręki filiżankę herbaty i książkę (powieść szpiegowską). Słyszała świst wiatru uderzającego w szyby i czuła się wygodnie i bezpiecznie w przytulnie oświetlonym pokoju. Upiła łyk herbaty i zaczęła czytać.

Dwadzieścia minut później, gdy właśnie grupa szalonych terrorystów miała porwać głównego bohatera z pokoju hotelowego, Kelly była zmuszona wrócić do rzeczywistego świata. Aż podskoczyła, kiedy usłyszała głośne pukanie do drzwi. Butter popatrzył na nią i zamruczał z wyrzutem.

- Przepraszam, stary. - Czuła się w obowiązku przeprosić kota, któremu zakłócono spokój. Susan i ona zawsze go przeproszały, gdy przeszkodziły w jakimkolwiek sposób. Wymagało tego kocie poczucie godności.

Odłożyła książkę i pobiegła do drzwi. Przyzwyczajenie kazało jej spojrzeć przez wizjer. Mieszkały w dużym, starym domu, gdzie nie było domofonu.

Widok Brandta Madisonsa w korytarzu sparaliżował ją. Stał ze skórzaną aktówką wetkniętą pod ramię. Po chwili ponownie nacisnął dzwonek.

Leżącymi rękami otworzyła drzwi. Stał przed nią zupełnie inny Brandt Madison niż ten, którego poznała wczoraj wieczorem w bibliotece. Nie miał swojego teatralnego stroju, złotych łańcuchów ani popaćkanych włosów. Był ubrany zwyczajnie: w dżinsy, koszulę w kratkę i zrobiony na drutach sweter w kolorze ecru. W rękę trzymał granatową kurtkę. W końcu mogła rozpoznać kolor jego włosów. Były ciemnoblonde z jaśniejszymi pasmami. Zmierzwione kosmyki opadały mu na czoło.

Jego widok oddziaływał na jej zmysły z fizyczną siłą. Poczwała, że nie może złapać oddechu. Był bardzo męski. Bardzo przystojny. Jej ciało odczuwało jego obecność.

Przywitał ją szczerym uśmiechem, a nie lubieżnym, wypracowanym wykrzywieniem ust, jak wczoraj. Serce zabiło jej mocniej.

Powstrzymała się od pytania go o powód wizyty. Byłaby to pewnie reakcja, jakiej od niej oczekiwał, dająca mu przewagę. Jeżeli pojawił się tu, by rozgrywać dalsze gierki, nie będzie mu tego ułatwiać.

- Nie zapytasz, co tutaj robię? - zaczął, przypatrując się jej. Była w szlafroku w kolorze tosta i różowo-żółto-niebieskiej koszulce. Zamiast pantofli miała na nogach wełniane skarpety.

Zauważyła, jak na nią patrzył, i wieszowała sobie, że jest ubrana w strój tak szczelny i gruby. Nic w nim nie było dwuznaczne: ani praktyczny szlafrok, ani prosta koszulka, ani skarpety bez wyrazu.

- Jestem pewna, że sam mi to powiesz.

Miała zaróżowione policzki - czuła się trochę zażenowana faktem, że przyłapał ją w domowym stroju w piątek o ósmej wieczorem. Ugryzła się w język, by nie tłumaczyć się, dlaczego nie jest gotowa do wyjścia.

- Czy mogę wejść? - spytał rozbawiony.

Wiedział, że jego widok poruszył ją. Kelly skrzywiła się. Wzruszyła ramionami, nie chciała, by zauważył jej niepokój. Cofnęła się trochę, pozwalając mu wejść.

Rozejrzał się po niewielkim pokoju. Obok pluszowej, brzoskwiniowej sofy stały brzoskwiniowo-zielone krzesła, nad nimi kwiaty w doniczkach zawieszonych na sznurkowych makramach, obok różne bibeloty i fotografie w ramkach na stole.

- Ładnie tu - odezwał się. - Mieszkasz sama?

- Nie - odparła nieśmiało.

- Mężczyzna czy kobieta?

Widziała, że domyślał się, że nie mieszkała z mężczyzną. Byłoby świetnie odpalić mu, że dzieli apartament z silnie umięśnionym napastnikiem drużyny rugby. Niestety, Susan nie pasowała do takiego opisu.

- Mieszkam z Susan Lippert, dziennikarką z „Tribune” - odpowiedziała szorstko.

Brandt dostrzegł Buttera siedzącego na sofie, podszedł i pochylił się, by go pogłaskać po głowie. Butter przyjął ten przejaw zainteresowania jako rzecz zupełnie naturalną i mu należną.

- Czy ten kot też jest wspólny?

- Nie, należy do mnie, ale toleruje Susan, i to, że z nią mieszkam. - Uśmiechnęła się do kota. - Pozwala jej łaskawie nakładać sobie jedzenie i sprzątać po sobie, choć woli, gdy ja to robię.

- Koty są takimi indywidualistami. Miałbym ich kilka, gdyby tylko trzymanie zwierząt nie było zabronione tam, gdzie mieszkam.

Zapadła cisza. Brandt w dalszym ciągu zajmował się kotem, a Kelly go obserwowała. W końcu nie wytrzymała.

- No więc, po co tu przyszedłeś?

Było to pytanie, którego przyrzekła sobie nie zadać.

Brandt wstał i popatrzył jej w oczy.

- Przyszedłem, ponieważ potrzebuję żony.

Spojrzała na niego lodowato.

- To przecież nie ma nic wspólnego ze mną.

- Zgadnij, kto ma nią zostać? - Uśmiechnął się.

- Nie mam najmniejszego pojęcia, ale kimkolwiek jest ta pani, serdecznie jej współczuję.

- Nie można dziś tobą wstrząsnąć, prawda?

- Straciłeś element zaskoczenia. Po tym, co zobaczyłam wczoraj, nic nie jest w stanie przyprawić mnie o wstrząs.

Usiadł i otworzył aktówkę. Łączyła ich teraz płaszczyzna zawodowa.

- Kelly, będę mówił krótko. Potrzebuję cię, żebyś przez kilka dni zagrała moją żonę.

- Czy to jakiś następny pomysł, aby mnie wystraszyć?

- Wręcz przeciwnie. Będziemy musieli współpracować.

- Współpracować? - powtórzyła, udając przerażenie. - Ale wczoraj mówiłeś, że... - przerwała i rzuciła mu groźne spojrzenie. - To ty się przestraszyłeś, tak? Boisz się iść do Norwalka! Pozwalasz mu się terroryzować.

- On mnie nie terroryzuje - zareagował ostro. - Miałem zamiar zadzwonić do niego dziś rano, tak jak mówiłem. Ale rozmowa telefoniczna, którą odbyłem wczoraj w nocy, całkowicie zmieniła moje plany. Musimy współpracować.

Parsknęła niedowierzająco.

- Nic i nikt nie może zmusić mnie do współpracy z panem, panie Madison.

Brandt zignorował to parsknięcie, pochylił się i zapytał szeptem:

- Czy mówi ci coś nazwisko Manuel Carista?

Pomyślała przez chwilę, po czym potrząsnęła głową.

- Nie, nic. A powinno? - Wtuliła się w zielono-brzoskwioniowy fotel.

- To właśnie przez niego tu jestem. To on jest powodem, dla którego musimy pracować razem, nie zważając na nasze wcześniejsze... animozje.

Wstał i skrzyżował ręce na piersi. Kelly zauważyła pod swetrem poruszające się mięśnie. Znow czuła bliskość mężczyzny. Przełknęła nerwowo ślinę. Starła się przybrać maskę obojętności.

- Animozje to za słabe słowo. Wczoraj oboje zgodziliśmy się na awersję - przypomniała mu.

- To było wczoraj wieczorem. Od tego czasu wiele się zmieniło. Brandt przeszedł przez cały pokój i stanął za nią.

Miał wyraźną przewagę, więc wstała pośpiesznie, by wyrównać przynajmniej poziom ich oczu. Popełniła błąd, lecz zdała sobie z tego sprawę dopiero, gdy ich ciała zatknęły się. Nie sądziła, że stanął tak blisko jej fotela.

Odsunęła się szybko i niezręcznie, jak oparzona. Brandt położył swe dłonie na jej ramionach i przytrzymał ją.

- Spokojnie, Kelly - w jego głosie słychać było nutkę rozbawienia. Podziało to na nią jak odgłos pociągnięcia paznokciami po tablicy szkolnej. - Nie mam zamiaru powtarzać wczorajszego przedstawienia.

- Nic by ci to nie dało - odparła prędko. Próbowała zdjąć z siebie jego ręce, ale jej nie wypuścił.

- Ciągle na mnie patrzysz, jakbym był nadętym bufonem, obwieszonym tymi łańcuchami, mówiącym w żargonie barów dla samotnych?

- Tak! - odpowiedziała krótko. „Kłamię” - pomyślała. Wcale już tak nie uważała.

- Cóż, może sprawi ci to przyjemność, że ja już wcale nie myślę o tobie jak o zasuszonej starej pannie.

- Sprawia mi to wielką przyjemność. Ostatnie dwadzieścia cztery godziny spędziłam, zamartwiając się, że mogę zostać przez ciebie właśnie tak zaszufladkowana.

Jej głos miał zabrznieć sardonicznie, ale był tylko ochrypliwy. Czy z powodu jego bliskości? Chciała się cofnąć i stworzyć między nimi pewien dystans.

Przytrzymał ją i przyciągnął do siebie. Ich uda zetknęły się. Czuła dotyk jego silnych mięśni na swych szczupłych nogach, nawet poprzez potrójną ścianę dzinsów, flaneli i swetra. Parzył ją. Nie mogła normalnie oddychać.

„Nie gorączkuj się, Kelly” - ostrzegła siebie. Nie udawała już przecież starej panny, tak jak poprzedniego wieczoru. To co się działo teraz, to było takie erotyczne przekomarzenie się z nią. Nic więcej. Zdecydowanie nie chciała, by zorientował się, że ma na nią duży wpływ.

- Podejrzewam, że mój dzisiejszy strój pasuje do pana wyobrażenia o zasuszonej starej pannie? - Usiłowała zdobyć się na odrobinę kpiny z samej siebie, ale nawet dla niej, jej głos brzmiał sztucznie. Czuła się to spięta, to ożywiona. Serce waliło jej tak mocno, jakby za chwilę miało wyskoczyć z piersi.

- Podoba mi się to, co masz na sobie - odpowiedział jej cicho. Jego chrapliwy głos przyprawił ją o ugięcie kolan. Więc nie był z kamienia, jak jej się wydawało. Gdy jego dłoń przesunęła się wzdłuż jej kręgosłupa i zaczęła delikatnie gładzić szyję, poczuła tętniącą w sobie krew.

Jego kciuk musnął przód jej szyi. Nie odrywał oczu od jej twarzy. Wydawało jej się, że tonie w tych złocistych oczach.

- Jesteś taka młoda i krucha, i... - obniżył głos -... i, w przeciwieństwie do wczorajszego wieczoru, cudownie przystępna.

Uśmiechnął się, a Kelly wpatrywała się w jego usta. Miał takie piękne usta. Ładnie zarysowane, zmysłowe, czułe... Zdała sobie sprawę z tego, że pragnie, by ją pocałował, by otworzył jej usta swym językiem, wsunął go do środka i...

- Nie masz pojęcia, jak bardzo pragnę cię pocałować, ale lepiej będzie, jeśli tego nie zrobisz. Nie teraz.

Dopiero po chwili dotarł do niej jego głos. Była oszołomiona. Miała wółprzymknięte

oczy, zaczynała pogrążyć się w cudowny świat pragnień. A Brandt Madison odczytywał to wszystko z jej oczu.

- Zawsze będę nieprzystępna dla... dla pełnego samouwielbienia, próżnego wilka, Brandcie Madisonie!

Odskoczyła od niego przestraszona tym wszystkim. Co się z nią dzieje? Nie snuła chyba fantazji seksualnych z mężczyzną, który jej się nawet nie podobał! A przecież Brandt Madison nie podobał się jej, upomniała się. Był zachwyconym sobą, próżnym wilkiem! Nie, wcale się jej nie podobał.

- Jestem pełnym samouwielbienia, próżnym wilkiem, dlatego że cię nie pocałowałem? - Uśmiechnął się szyderczo. - I pomyśleć, że nie pocałowałem twych wodzących na pokuszenie ust tylko dlatego, żeby nie wydać ci się porywczym i nie przepuszczającym żadnej kobiecie rozpustnikiem oraz być wyrzuconym stąd bez możliwości powiedzenia tego, z czym tu przyszedłem. Nie można z tobą wygrać!

- Zgadza się! - krzyknęła. Czują się jak idiotka, ale nic ją to nie obchodziło. - Proszę wyjść! Natychmiast!

- Cholera, i tak mnie wyrzuca. - Nie wydawał się być specjalnie poruszony. Podejrzewała nawet, że w duchu podśmiewa się z niej.

- Powinienem poddać się prymitywnym chuciom i pocałować cię bez względu na wszystko. Cóż, lepiej późno niż wcale. Chodź, kotku.

Uderzyła ją zmiana tonu jego głosu. Doskonale pamiętała ten charakterystyczny, denerwujący ton z wczorajszego wieczoru.

Spojrzał na nią z przesadną poządlivością i wyciągnął ręce w jej kierunku.

- Chodź, wiem, że aż się do tego palisz.

Znów przesadzał do granic absurdu z odgrywaniem roli playboya. Piwne oczy błyszczały i zachęcały ją do wzięcia udziału w tej farsie.

Próbowała udąć rozniewaną, naprawdę próbowała, ale nie mogła zapanować nad uśmiechem.

- Przestajesz czy nie? - Teraz też próbowała zabrznieć ostro, ale nie wyszło.

- Gramy marchewkę na końcu kija? - Zuchwale ruszył ku niej.

Wzniosła oczy do nieba i opadła na tapczan obok śpiącego Buttera. Odczuła ulgę. Trzęsły się jej nogi.

Brandt usiadł z drugiej strony kota.

- Naprawdę uwierzyłeś w to, że zadzwoniłem do siedmiuset osiemdziesięciu ośmiu panienek, które przysłały mi swe numery wyhaftowane na czarnych koronkowych majtkach? Nie spozrzała na niego.

- A nie zadzwoniłeś?

- Założę się, że grywasz totka i liczysz na dziesięć milionów nagrody. Podniosła brwi.

- Dajesz mi delikatnie do zrozumienia, że jestem naiwna?

- Nie daję ci delikatnie do zrozumienia. Ty po prostu jesteś naiwna.

- Więc nie dzwoniłeś do tych od majtek?

- Czy ty zadzwoniłabyś do kogoś, kto przysłałby ci numer wyszyty na slipkach?

Zaśmiała się.

- TOUCHE.

Jej ciemnozielone oczy napotkały jasnobrązowe spojrzenie Brandta. Siedząc w milczeniu, przez długi moment nie odrywali od siebie wzroku.

- Byłem prawie przerażony, gdy dostałem tego wątpliwego zaszczytu, jakim jest tytuł Kawalera Miesiąca - odezwał się. - Nie ja się o to ubiegałem. Spisek uknuli moja siostra i mój agent. Dostali hopla na punkcie tego pomysłu. Przyszło dwa tysiące listów - pochylił się nad kotem, żeby złapać jej podbródek - z których dwa zawierały majtki z wyhaftowanymi na nich numerami telefonów.

- Tylko dwa?

- Chyba cię to nie rozczarowało? Czy poczujesz się lepiej, jeśli opowiem ci także o zdjęciach z aktami?

- Czyżby tych było siedemset osiemdziesiąt osiem? I z numerami? - z jakiegoś powodu,

który w zasadzie mało ją obchodził, zdenerwowało ją to.

- Nigdy nie słyszałaś o LICENTIA POETICA? Niczego nie było siedemset osiemdziesiąt osiem sztuk. Pomyślałem sobie, że to śmieszna liczba, i tyle. Skąd mogłem wiedzieć, że potraktujesz to poważnie?

- Ile było w końcu tych zdjęć? - nalegała, starając się odgadnąć powód swego zainteresowania. Nie mogła powstrzymać się od zadania mu tego pytania.

Brandt wzruszył ramionami.

- Coś koło siedemdziesięciu pięciu.

- To bardziej realne. Rozumiem, że te wszystkie obdzwoniłeś?

- Źle rozumiesz. Nawet nie miałem zamiaru. Powiem ci, jak wyglądał typowy list. Prawie wszystkie z tych dwu tysięcy szły jakoś tak: „Drogi Brandcie. Zawsze pragnęłam poznać bogatego zdobywcę nagrody Pulitzera, który jeździ granatowym maserati i lubi wioską kuchnię”. Koniec cytatu.

Roześmiała się. Musiała, nie mogła wytrzymać.

- Będę zgadywać. Artykuł opisywał cię jako bogatego zdobywcę nagrody Pulitzera, posiadacza granatowego maserati, lubiącego włoską kuchnię.

- Dokładnie.

- Powinieneś uważać się za szczęściarza, bo w tych listach mogłeś dostawać pizzę. Przecież droga do serca mężczyzny wiedzie... i tak dalej, i tak dalej.

- Droga do serca mężczyzny nie wiedzie tędy, że ktoś pisze do niego tak, jakby zamawiał coś z katalogu jakiejś firmy. Ani przez wysłanie aktów, ani majtek, ani innych akcesoriów.

- Dzięki za radę. Będę pamiętała.

Brandt oparł się na poduszkach i nadal się jej przyglądał.

- Nie wydaje mi się, żeby potrzebowała pani jakiegokolwiek rady na temat: „jak znaleźć drogę do serca mężczyzny”, panno Malloy.

Wzruszyła ramionami.

- A jednak. Siedzę przecież w domu w piątkowy wieczór, nieprawdaż?

- Nie jesteś związana z nikim na poważnie?

- Nawet na niepoważnie. Nie chcę. Nie mam czasu. Praca pochłania mnie całkowicie - wyznała.

- Tak? - Uważnie wpatrywał się w nią swymi piwnymi oczami.

- Tak.

- To dobrze - powiedział zwyczajnym tonem.

Kelly zastanawiała się, czy coś się za tym nie kryło.

- W takiej sytuacji nie będziesz mogła odmówić mojej prośbie, ponieważ związana jest z twoją pracą - mówił dalej. - Chciałbym, żebyś przez kilka dni udawała moją żonę.

- Nie! - odparła natychmiast. - To wykluczone - dodała, żeby nie było wątpliwości.

- Kelly, przynajmniej wysłuchaj, co mam ci do powiedzenia. - Pochylił się ku niej. - Pewnie nigdy nie słyszałaś o tym facecie, o którym przed chwilą mówiłem, o tym Manuelu Cariście. Ja także nie wiedziałem, że ktoś taki istnieje. Dowiedziałem się przed kilkoma dniami od, hm - przerwał i zakasłał - od pewnego reportera i...

- Od kogoś z „The National Cesspool”? - odgadła krzywiąc się. - Nie wątpię, że Norwalk oddał wszystkich do twojej dyspozycji. Tak, dyspozycji, to dobre określenie. - Była z siebie zadowolona. - Wszystkie te bzdury, które ci reporterzy wyszukują, powinny być do dyspozycji...

- Odłóżmy na bok twoje uprzedzenia do Tuckera Norwalka i tego, co wydaje - przerwał jej chłodno. Sam pewnie nigdy nie natknąłbym się na Caristę. Jestem wdzięczny za pomoc okazaną mi przez reportera Informanta.

- Wdzięczny? Cesspoolowi? Nie licz na to, że przyłożę rękę do czegokolwiek, co ma coś wspólnego z tym szmatławcem.

- Tysiące ludzi uważa gazety Norwalka - nie wyłączając „The National Informant” - za interesujące i zabawne.

- Kiedyś za interesujące i zabawne uważano publiczne egzekucje!

- Kelly, nie zmuszaj mnie, bym ustosunkował się do twojego zawsze świetnie i jedynie prawdziwie poinformowanego magazynu o nieskazitelnym guście.

- Nie muszę, już to zrobię! - Zerwała się na równe nogi z błyskiem w oku. - Pracuję w „In the Know” od trzech lat, od pierwszego wydania, i każdą napaść na ten magazyn odczuwam jak osobistą zniewagę! Nie ma mowy, abyśmy razem pracowali. A zwłaszcza nie ma mowy o tym, żebym udawała pana żonę, panie Madison. Nie jestem aktorką, a musiałyby mieć klasę co najmniej zdobywczym Oskara, by odegrać tę właśnie rolę!

Brandt wstał także i ruszył w jej kierunku. Kelly była wściekła na siebie za instynktowne cofanie się przed nim. Wzburzona była faktem, że górował nad nią wzrostem. Ona miała tylko metr sześćdziesiąt (w wełnianych skarpetkach). Nie mogła stanąć w miejscu i ciągle cofała się, a on wciąż się do niej zbliżał.

Zatrzymali się dopiero wtedy, gdy dziewczyna oparła się plecami o ścianę.

- Nie masz wyboru, Kelly. Potrzebuję tymczasowej żony, a ty musisz ze mną współpracować, jeśli chcesz napisać swój artykuł. Obawiam się, że jesteśmy na siebie skazani.

To było cholernie prawdziwe.

Patrzył z góry na jej buntowniczą minę: gniewnie pałające zielone oczy, świadczący o zaciętości podbródek. Zaciśnął zęby, powstrzymując śmiech. Wyglądała rzeczywiście ślicznie, gdy się złościła. Zdecydował jednak, że jej o tym nie powie. Nie poczytałaby tego za komplement.

Przypominała mu teraz małego, zielonookiego kociaka, zagonionego w kozi róg przez jakiegoś większego przeciwnika, ale gotowego parsknąć i fukać w swojej obronie bez względu na wszystko.

Podobała mu się. Była kłótniwa i skora do gniewu, ale rozweselała go i podniecała. Pamiętał, jak trzymał ją przez chwilę. Czuł, że była mała, łagodna, kobieca i delikatna. Świeży zapach kąpieli dotarł wtedy do jego nozdrzy. Działała na jego zmysły jak żadna inna kobieta przez lata. Strasznie chciał ją pocałować, tak bardzo, że zażartował z tego i zmusił ją do odsunięcia się od niego.

Zrobił tak, ponieważ nie mógł stracić głowy dla tej w gorącej wodzie kąpanej jędry, która bardziej go nienawidziła, niż lubiła. Musi napisać książkę. I odegrać rolę zdesperowanego męża szukającego dziecka. Skrzywił się z dezaprobatą. To była rola dobrze mu znana - grał ją kiedyś przez pięć lat swego życia.

Nagle ujrzał Michele. Wstrzymał oddech. Nie, nie powinien teraz o niej myśleć. Patrzył na Kelly i wrócił do rzeczywistości.

Dziewczyna wpatrywała się w niego. Zauważyła grymas bólu rysujący się na jego twarzy. Widziała go na pewno. Zniknął tak szybko, że gdyby nie patrzyła uważnie, nic by nie dostrzegła.

- Dobrze... dobrze się czujesz? - Czuła się w obowiązku zapytać.

- Oczywiście - odpowiedział chłodno. Była pewna, że gdyby spytała o tę oznakę cierpienia, zbyłby ją jakimś głupstwem.

Odsunął się od niej.

- Czy możesz przestać mnie wyzywać i w końcu wysłuchać mojego planu?

- Jeśli nadal będziesz wysławiał pod niebiosa Cesspool, to nie przestanę - ostrzegła go.

- Czy zawsze ostatnie słowo musi należeć do ciebie?

- A może do ciebie?

- Tak - przyznał z uśmiechem. - Myślę, że tak.

- To samo myślę o sobie.

Uśmiechnęli się razem w obopólnym zrozumieniu. Ich oczy znów się spotkały. Kelly powtórnie poczuła przyspieszone bicie serca.

- Napijesz się kawy? - zapytała, próbując skierować przyływ energii w innym kierunku. Może herbaty? Albo czegoś zimnego?

„Cholera, zachowuję się jak stewardesa - pomyślała. - Lepiej zamknąć buzię.”

- Nie, dziękuję. Chciałbym opowiedzieć ci o Manuelu Cariście, zanim znów się pokłócimy.

- Wydaje się, że robimy to dość często - zastanowiła się głęboko.

- Mogę dorzucić, że jesteś tego uroczą sprawczynią?

- Mogę dorzucić, że jesteś niepoprawnym ogniskiem zapalnym? - zaripostowała i pchnęła go na sofę. - Koniec z awanturami. Usiądź i opowiedz mi o tym Manuelu Cariście.

- Carista jest przedstawicielem nielegalnej adopcji, potocznie zwanej czarnym rynkiem - zaczął, gdy oboje usiedli na sofie. - Sprzedaje dzieci - przerwał i spojrzał na nią.

Jeśli zamierzał nią wstrząsnąć, to mu się to nie udało.

- Jesteś pewien, że nie wszedłeś omyłkowo na teren tak zwanego szarego rynku, czyli prywatnych adopcji? Na szarym rynku pieniądze przechodzą z ręki do ręki. Matka naturalna może otrzymać od ludzi zdecydowanych na adopcję pieniądze pokrywające jej wydatki na cele medyczne, a w niektórych przypadkach - za zgodą sądu - pieniądze pokrywające koszty jej utrzymania w czasie ciąży. Do tego dochodzi suma płacona prawnikowi, który jest pośrednikiem między matką i adoptującym. Niektórym wydaje się, że jest to sprzedawanie dzieci.

- Ale tu nie chodzi o pieniądze na zapłacenie rachunków medycznych i opłat sądowych. Carista prowadzi tajną, lukratywną działalność, sprzedając dzieci z sierocińca w Avidy, w Ameryce Południowej.

- Tak po prostu?

- Owszem. Rodzice zamierzają adoptować dziecko, lecą do Avidy i zatrzymują się w hotelu Caristy, a potem są przewożeni do jego sierocińca. Z tego co mówią, wynika, że bardziej przypomina on dom towarowy niż placówkę opiekuńczą. Tam decydują się na któreś z dzieci. Płaci się gotówką zaraz po dokonaniu transakcji, a rodzice zabierają kupione dziecko do hotelu. W ciągu kilku dni otrzymują wszystkie niezbędne dokumenty, podpisane i opieczętowane. Z całą pewnością Carista ma powiązania ze środowiskiem prawniczym i sądowym. Małżeństwo wraz z dzieckiem jest odwożone na lotnisko. Czas oczekiwania na wizę dla dziecka jest przedziwnie krótki, Caricie udaje się w jakiś sposób pokonać wszelkie trudności.

- To brzmi zbyt prosto, by mogło być prawdziwe - powiedziała powoli. - Kupować dziecko, tak jak kupuje się jakąś zabawkę albo zwierzę.

- Nie prowadzi się żadnych badań wstępnych, przyszłym rodzicom nie zadaje się żadnych pytań dotyczących ich osób i pochodzenia ani powodów, dla których zamierzają zaadoptować dziecko. Jeśli mają gotówkę, dziecko zostaje sprzedane bez żadnych przeszkód.

- A jeżeli niektórzy potrzebują dzieci do różnych perwersji, to dzieci nie są w żaden sposób zabezpieczone?

- Niestety nie. Powiedziałbym raczej, że Carista nie ma nic przeciwko temu. Ktoś, kto ma zamiar użyć dziecka dla celów sprzecznych z prawem lub niemoralnych, nie miałby żadnego interesu w tym, by ujawnić poczynania Caristy. - Westchnął. - Jeżdżą tam też zdesperowane pary, błąkające się od agencji do agencji, które już próbowały dokonać prywatnej adopcji, ale sparzały się na pośrednikach. Carista naprawdę daje im szansę. Jeżeli mają gotówkę - nie muszą czekać ani martwić się o cokolwiek.

- To co daje im Carista jest urzeczywistnieniem ich marzeń - powiedziała cicho. - Oni też z pewnością nie będą go wystawiać.

- Są mu wdzięczni, zresztą sami postępują nielegalnie. Kupują przecież istotę ludzką. - Przesunął się do niej. - Mój człowiek z Informanta twierdzi, że rodzice zamierzający adoptować dziecko u Caristy muszą być małżeństwem. Ale nie wymaga się od nich żadnych papierków. Wymaga się natomiast tego, żeby osobiście przylecieli do Ameryki Południowej, by odebrać dziecko. I żeby zapłacili. Oczywiście, gotówką.

- Więc potrzebujesz fikcyjnej żony, żeby przeprowadzić fikcyjną adopcję i zdobyć dobre materiały do książki? - powiedziała z namysłem. - Ale dlaczego zwracasz się z tym do mnie? Co najmniej dwa tysiące kobiet podskoczyłoby z radości, gdybyś pozwolił im odegrać rolę swej żony.

- Tak, tak, dwa tysiące kobiet, które zawsze chciały poznać zdobywcę Pulitzera, posiadacza granatowego Maserati, lubiącego włoską kuchnię. - Skrzywił się. - Kelly, czy możemy już darować sobie tę bzdurę z Kawalerem Miesiąca? Podróż do Avidy to nie przejażdżka, to poważna sprawa. Zbieram materiały na rozdział mojej książki. Nie chciałbym, by przeszkadzał mi ktoś, kto byłby tam z powodów... niezawodowych.

- Doskonale to rozumiem. Byłoby ci to nie na rękę - powiedziała oschle. - Odpieranie entuzjastycznych zakusów na twą osobę w czasie, gdy akurat starasz się zebrać jak najwięcej

informacji.

- Chciałbym uniknąć wszelkich komplikacji. Sytuacja i tak jest wystarczająco zagmatwana.

- To prawda. Jak zamierzasz opuścić Avidę bez dziecka, po które przecież tam przyjeżdżasz?

- Myślałem nad tym i wymyśliłem coś, co powinno się udać. Powiemy Cariście, że nie chcemy pierwszego lepszego dziecka. Zdecydujemy, że weźmiemy tylko niemowlę o blond włosach i niebieskich oczach. I żadne inne. Z całą pewnością dzieci w przytułku są pochodzenia indiańskiego, hiszpańskiego, albo są mieszańcami. Więc chyba najbezpieczniej założyć, że nie będzie wśród nich niebieskookiego blondynka. Wiem, że mówię jak rasista, ale to będzie nasza wymówka. Chcę nagrać każdą rozmowę, jaką tam odbędziemy. Taśmy będą służyły za dowód.

- Możesz odgrywać Wielkiego Białego Myśliwego. - Skrzywiła się. - Nie będę nawet silić się na udawanie, że nie będzie mnie interesował cały przytułek, ponieważ jedno z dzieci nie będzie blondynem.

- Kelly, przecież to nie będzie naprawdę. To podstęp. Tak jak nasze małżeństwo. Cała ta historia służy temu by zdobyć materiał. Zresztą to, co mówisz, może się nam przydać. Będziemy bardziej przekonujący, jeżeli tylko ja się wycofam, a ty nie odpuszczisz. - Oczy Brandta roziskrzyły się w podnieceniu.

- Moglibyśmy stoczyć brawurową walkę na oczach Caristy. Mogłabyś zagrozić mi rozwodem. To byłby niezły pretekst. Nic nie będzie podejrzewał.

- Nie jesteś przypadkiem sfrustrowanym autorem telewizyjnych tasiemców? Cały ten scenariusz jako żywo przypomina ich najlepsze kawałki.

- Kelly, możemy zdobyć dowody na nielegalną działalność Caristy i jego kwitnący proceder - ciągnął zachęcająco. - Nie wiem, czy nasz wspólny wysiłek da jakieś namacalne korzyści, ale warto zaryzykować. To, o co go oskarżymy, zwróci uwagę ogółu. A to oznacza możliwość zdobycia Pulitzera. Dla nas obojga, Kelly.

- Obawiam się, że balansujesz na krawędzi manii wielkości.

- Zawsze mnie mocno porusza nowa sprawa. Musisz przyznać, że to będzie niezła historia, jeśli się nam poszczęści. Zrobisz to, Kelly? Polecisz ze mną do Ameryki Południowej? Jako moja żona?

Kelly zastanawiała się przez chwilę.

- Pierwszy raz w życiu spotykam się z poważną propozycją małżeńską - odparła po chwili. - Chyba powinnam ją przyjąć.

Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej ją to pociągało. Poleci z Brandtem do Ameryki Południowej jako kobieta desperacko pragnąca kupić dziecko i w ten sposób ukaże światu niegodne machinacje Caristy. Jak mogła odmówić? To rzeczywiście może być „niezła historia”.

- No i co, Kelly?

- Złożyłeś mi propozycję, której nie sposób odrzucić. - Uśmiechnęła się do niego. - Korzyści płynące z tej wyprawy przewyższają tę niedogodność, jaką jest wątpliwa przyjemność udawania twojej żony.

- Prawdopodobnie podejdziemy do tego zupełnie inaczej. - Też się uśmiechnął, ucieszony jej zgodą. - Ja zamierzam przestawić fakty bez komentarza, budować napięcie, odpowiadając wszystko krok po kroku. Zacznę od twojej zgody na odgrywanie mojej żony na czas podróży do Avidy.

Kelly widziała niemalże, jak rozplanowuje całość w swej głowie, i zaczęła zastanawiać się nad kształtem swego artykułu.

- A ja potraktuję kupowanie dziecka od Caristy jako odpowiedź na jedno z dwóch pytań, które będą podstawą mego artykułu: Jeżeli popyt na dzieci do adopcji jest większy od ich podaży, do czego posuną się zdesperowani przyszli rodzice, aby dostać dziecko?

- Brzmi niezłe. - Skinął z aprobatą głową. - Jaki jest twój drugi problem?

- Co skłania kobiety do donoszenia ciąży i oddania swego dziecka komuś innemu na wychowanie? - odpowiedziała natychmiast.

Przymknęła oczy, kiedy uświadomiła sobie wagę tego pytania. Co skłania kobiety do urodzenia dziecka, chowania go przez dwa lata i porzucenia go na ulicy, jak jakiś zbędny



pakunek?

Oddaliła natrętną myśl. To nie był czas na pogrążanie się w przeszłości. Nie mogła sobie pozwolić na to, żeby prześladowały ją upiory. Była dorosłą kobietą, dziennikarką, miała wielu przyjaciół, interesującą pracę i własny dom. Bezbronna i zrozpaczona dwuletnia dziewczynka, którą znaleziono porzuconą w deszczowy dzień na ulicy, była tylko widmem zamierzczałej przeszłości. Już wiele lat temu pogodziła się z tą myślą. Gdyby jeszcze tylko mogła się pogodzić z postępkami kobiety, która zostawiła swoje dziecko w odludnym miejscu w ciemną, deszczową noc.

- Kelly?

Usłyszała, jak Brandt wymówił jej imię, i szybko wyzbyła się natrętnych wspomnień.

- Przepraszam cię, Brandt, zastanawiałam się nad czymś. Czy mógłbyś powtórzyć to, co powiedziałaś przed chwilą? - Usiłowała się uśmiechnąć. Ale jej oczy wciąż spoglądały w przeszłość.

- Mówiłem, że moja praca będzie raczej oparta na nagich faktach, a twoja ukaze emocjonalną stronę adopcji.

Przyglądał się jej bacznie. Zastanowił go nagły smutek, który pojawił się w jej oczach. Była młoda, ładna i zdolna; miała pracę, którą kochała. Co było zatem powodem jej nagłego smutku? Zawód miłosny? A może...?

Zagrała w nim dziennikarska żyłka. Mówiła właśnie o kobietach oddających swoje dzieci innym na wychowanie, kiedy zauważył smutek na jej twarzy. Czy to możliwe, że...?

- Kelly, wspomniałaś, że masz jakieś osobiste powody, by zajmować się adopcją. Mógłbym je poznać?

Kelly widziała głębokie zainteresowanie w jego oczach i czuła, że przemawia przez niego naturalna wszystkim piszącym skłonność do odnajdywania ukrytych impulsów i motywów działania.

- Ten temat zawsze mnie fascynował - odparła, wzruszając ramionami.

Nikt nie poznał dotąd jej sekretu, zawsze się z nim kryła, był tylko jej własnością. Nawet Susan - która była najbliższą jej osobą - nie wiedziała nic o dwuletniej dziewczynce, porzuconej przez matkę dwadzieścia trzy lata temu.

- A jakie są twoje osobiste powody, aby pisać o adopcji? - spytała szybko.

„Za szybko” - pomyślał Brandt. Utwierdziło go to w jego podejrzeniach. W życiu Kelly Malloy było jakieś dziecko, którego nie może zapomnieć. Dziecko, które oddano do adopcji. Może... może jej dziecko?!

- Byłem jednym z tych zdesperowanych, potencjalnych rodziców adopcyjnych, o których wspomniałaś.

Jeżeli ona nie mogła zdradzić mu swego prawdziwego powodu, on nie miał z tym żadnych trudności. Miał osiem lat, żeby się z tym oswoić.

- Moja żona i ja nie mogliśmy mieć dzieci. Próbowaliśmy więc adoptować.

Kelly spojrzała na niego uważniej.

- Byłeś żonaty?

- Nie wierzysz, że ktokolwiek mógłby wyjść za mnie? - zapytał poważnie.

- Po prostu nie sądziłam, że Kawalerowie Miesiąca są gatunkiem, który wstępuje w więzy małżeńskie.

- Nigdy nie uważałem się za kawalera, Kelly. Jestem wdowcem. Moja żona, Michele, zmarła osiem lat temu, gdy oboje mieliśmy po dwadzieścia siedem lat.

- Tak młodo! - Trudno jej było to wszystko ogarnąć. - Tak mi przykro - wyszeptała zażenowana.

Brandt przyjął jej wyrazy współczucia skinieniem głowy.

- Byliśmy małżeństwem przez pięć lat. Poznaliśmy się już na studiach; pobraliśmy się w dwa tygodnie po ich ukończeniu.

Ku swemu zdziwieniu, pragnął opowiedzieć jej całą tę historię. Nigdy nie rozmawiał o Michele z innymi kobietami. Byłoby to jakby świętokradztwo.

Teraz było inaczej. Nie czuł żadnych oporów, by opowiedzieć Kelly historię swojego życia.

- Trzy miesiące po ślubie okazało się, że Michele cierpi na zapalenie osierdzia serca. Chorowała przez długi czas. Czuła się coraz gorzej. Lekarze ostrzegali ją przed zacho-

dzeniem w ciążę. Twierdzili, że byłoby to zbyt dużym obciążeniem dla jej mocno nadwyrężonego serca. - Pokręcił głową na znak dezaprobaty. - To był straszny cios dla Michele. Bardzo chciała mieć dzieci. Zamierzała zajść w ciążę w noc poślubną.

Kelly poruszyła się. Wyobraziła sobie żarliwego pana młodego adorującego swą żonę. Dlaczego wzmianka o nocy poślubnej Brandta sprawiła jej przykrość? Obraz pojawił się i zniknął.

- Michele mimo wszystko chciała zaryzykować, ale ja nie zgodziłem się na ciążę. - Brandt patrzył gdzieś przed siebie. - Nie chciałem jej narazić.

- Dlatego próbowaliście adoptować dziecko - odpowiedziała spokojnie.

- Tak. I zostaliśmy odrzuceni przez wszystkie zajmujące się tym agencje, ze względu na długą listę oczekujących i stan zdrowia Michele. - Skrzywił się na wspomnienie tych czasów.

- Próbowaliśmy adoptować prywatnie, ale nigdy nie mieliśmy tyle pieniędzy, ile żądali pośrednicy. To było okropnie frustrujące. Michele była na skraju wyczerpania. Błagała mnie, bym pozwolił jej spróbować.

To co mówił, mroziło jej krew w żyłach.

- Dlaczego umarła? - zmusiła się do tego pytania. - Była w ciąży?

- Zaraziła się jakimś paciorkowcem i infekcja spowodowała nawrót choroby - odpowiedział beznamiętnie. - Jej serce było tak słabe, że umarła w ciągu kilku dni. Nie, nie była w ciąży.

Nie mogłem się na to zdobyć. Później często zastanawiałem się, czy nie powinienem był tego zrobić. I tak umarła. Przynajmniej byłaby szczęśliwa przez ostatnie miesiące.

- Brandt - powiedziała cicho. Czuła nieodpartą chęć, by go objąć i przytulić. - Tak mi przykro.

Współczuła mu z całego serca. Nie czuła się skępowana tym, że wypowiedziała to na głos. Nieświadomie zbliżyła się do niego.

- To stare dzieje. Musiałem wiele zmienić w moim życiu, wiele znieść i zapomnieć.

Przeniósłem się do Chicago, zacząłem pracować jako reporter dla „Tribune”. W wolnym czasie zajmowałem się gangiem przestępców skazanych na śmierć w Pensylwanii. Zebrałem materiał na moją pierwszą książkę. Kiedy skończyłem rękopis, Tucker Norwalk zamęczał wydawcę tak długo, aż ten zdecydował się rzucić na niego okiem. Tucker był nie mniej niż ja zdziwiony, gdy wydawca postanowił go kupić.

- To był bestseller - dodała za mego.

- Dzięki niemu zacząłem nowe życie. Po sukcesie mojej drugiej książki rzuciłem pracę w redakcji i poważnie zająłem się pisaniem. Pociągały mnie motywy postępowania ludzi, to co rozgrywa się w ich psychice. Wszystkie moje cztery książki to głównie studia charakterów. Książka na temat adopcji ma być nieco inna, bardziej dokumentalna.

- Dlatego że temat jest dla ciebie zbyt osobisty? - zapytała łagodnie.

- Nie. - Dotknął nieśmiało końców jej kasztanowych włosów. - Nie przypisuj mi swojej własnej motywacji, Kelly. Pogodziłem się ze śmiercią Michele. Nie muszę oddzielać się murem od tego, przez co przeszedłem. Mam to już za sobą.

Kelly poczuła na policzku jego ciepły oddech. Delikatnie bawił się jej włosami. Zwyczajnie, ale jakoś serdecznie. Jak to się stało, że siedzieli tak blisko siebie? Nie dzielił ich już Butter, nawet nie zauważyła, kiedy sobie poszedł.

- Ale - musiała jakoś podtrzymać rozmowę - nie ożeniłeś się powtórnie. Minęło już osiem lat...

- Byłem bardzo pochłonięty pracą. Wiesz, jak praca może być zajmująca, Kelly. Sama mówiłaś, że jesteś całkowicie oddana temu, co robisz.

- Tak... - Westchnęła. Był tak blisko niej, że czuła ciepło emanujące od jego męskiej, umięśnionej sylwetki. Wciągnęła głęboko powietrze i poczuła jego zapach, który zdawał się pobudzać jej wszystkie zmysły. Nie mogła myśleć racjonalnie.

Opuszki jego palców delikatnie dotknęły jej policzka.

- Ty też nie masz czasu na jakikolwiek związki? - spytał cicho, gładząc jej podbródek.

- Tak - wyszeptwała. Wypełniło ją nieznanie ciepło. Skupiła na nim swą całą uwagę.

Sprawiło, że czuła się rozmarzona i senna.

- Ani trochę? - Powiódł dłonią w kierunku jej talii, zataczając powolne, okrężne ruchy wokół jej brzucha. - Poza tym nie chcesz. To właśnie mi chciałaś powiedzieć?

Przytaknęła tylko, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Jego rytmiczne, okrężne pieszczoty trwały nadal. W pewnym momencie czubki jego palców musnęły jej piersi. Przy następnym okrążeniu prześlizgnęły się po biodrach. Siedziała nieruchomo, sparaliżowana jego dotykiem. Wewnętrzny żar rozchodził się po całym ciele.

- Kelly... - Jej imię zabrzmiało w jego ustach miękko i zachęcająco. Druga ręka Brandta błędziła po jej karku i powoli przyciągała ją coraz bliżej i bliżej, aż jej usta prawie zetknęły się z jego ustami.

Nieśmiało objęła Brandta, wyczuła pod swetrem napięte mięśnie. Jego ręka zastygła dokładnie pod jej lewą piersią. Wstrzymała oddech, gdy dotknął ją ustami. Całował ją delikatnie, długo, dopóki z jej gardła nie dobył się cichutki jęk. Opuściła ciężkie powieki na zamglone pożądaniem oczy.

- Jesteś taka słodka - powiedział, nie oddalając się od niej. - Taka delikatna.

Jego męski głos i słowa, które wypowiadał, potęgowały jej pobudzenie. Tonęła w morzu zmysłowości, każda fala wciągała ją coraz głębiej. Porywał ją jego dotyk, brzmienie głosu, zapach. Jej zmysły domagały się poznania jego smaku. Powierzchowne pocałunki nie wystarczały. Chciała więcej. Oplotła dłońmi jego szyję.

Objęły ją silne ramiona. Odchyliła głowę w oczekiwaniu na jego usta. Rozum, którym zawsze się kierowała, zdawał się być w tej chwili zupełnie nieobecny.

Rozchylił jej wargi językiem i wsunął go głębiej. Przywarła do niego, zniewolona, słaba, posłuszna żądaniom jego ust, jego języka. Pocałunek stawał się coraz głębszy, gorętszy. Poddawała się całkiem bezbronna. Nigdy nie doświadczyła takich uczuć.

Jej słabość zmieniła się w nagłą potrzebę. Upadli na miękkie poduszki. Przycisnął ją biodrami. Poczwała jego pobudzoną męskość.

Przycisnęła się do niego zachęcająco. Miała boleśnie nabrzmiałe piersi. Chciała, by ich dotknął, pragnęła tego. Ale jego ręce poruszały się z powolną precyzją. Jedna wędrowała od talii do biodra, przez brzuch i z powrotem, druga posuwała się jednostajnie wzdłuż obojczyka.

Cierpiąc z powodu jego opieszałości, próbowała uświadomić mu swą złość i podniecenie. Ale Brandt ignorował jej ruchy, westchnienia niecierpliwości i nie posuwał się dalej w swych pieszczotach. Całował ją tak, jakby pił z jej ust; ich języki, ich oddechy stapiały się w jedno aż do momentu, gdy nie mogła opanować przemożnego pożądania.

Przeszywały ją dreszcze zmysłowego gorąca, jakiego nie znała. Odkrywała w sobie budzące się, stłumione dotąd popędy, popychające ją do rzeczy, które zawsze uważała za zakazane. Jak wzięcie jego dłoni i położenie ich na swoich piersiach.

Jej własne myśli przstraszyły ją. Nigdy przedtem nie czuła się tak swobodnie. Otworzyła oczy.

- Brandt! - krzyknęła, gdy zostawił jej sutka i zaczął całować szyję.

Ręka Brandta powoli zjechała do końca jej pleców. Kelly czuła się rozluźniona i ocięzła, ale równocześnie wzrastało w niej napięcie. Te sprzeczne doznania tylko wzmacniały i pobudzały coraz bardziej zmysłowe przyjemności.

Brandt rozwiązał pasek i zsunął szlafrok z jej ramion. Zaczął rozpinać guziki koszuli. W dalszym ciągu wydawał się być opanowany i spokojny.

Spojrzała w jego oczy i utonęła w ich złocistej otchłani.

- Kelly, pragnę cię - zsunął koszulę. - Chcę się z tobą kochać.

Siła tego pragnienia zdumiała go. Tak żarliwej potrzeby nie czuł od lat. Jej moc oszałamiała go.

- Chcę zobaczyć, dotknąć i spróbować każdego milimetra twojego ciała.

Z trudem łapała powietrze, gdy jego palce pieściły jej delikatną skórę.

- Ty też tego chcesz, prawda? Powiedz, że chcesz.

- Chcę - wyszeptwała. Cała drżała w oczekiwaniu na jego dłonie, jego usta. Wiedziała, że powinna się z tego otrząsnąć, że robiło się to niebezpieczne; oprócz nich nie było w domu nikogo. Ale było tak wspaniale, że nie chciała tego przerywać. Przedtem nie zdawała sobie sprawy z tego, jak cudowne może być dotykanie i głaskanie. Nikt nie okazywał jej uczuć w taki sposób. Nikt nie był tak tkliwy i delikatny dla powściągliwego i zamkniętego w sobie dziecka z przepelnionego domu wychowawczego. Jako kobieta, wyczuwała jednak

instynktownie, że mężczyznę powinna trzymać na dystans.

Jednakże Brandt Madison zburzył wszystkie zapory i wydobył z niej pragnienia, o których istnieniu nie miała pojęcia; pobudzał jej zmysły, namiętności i emocje. Była zawstydzona, przestraszona i ożywiona jednocześnie. Nie wiedziała, czy przerwać to wszystko, czy oddać się bez reszty namiętności.

- Jesteś śliczna, Kelly. - Jego głos był pełen pożądania. Zastygł w bezruchu na widok jej piersi. - Taka delikatna i biała tutaj... - Gładził jej piersi, dotykając kciukami sterczących brodawek... i taka różowa i napięta tutaj.

Kelly była zafascynowana erotyzmem tej sceny. Przestała niemalże oddychać, gdy zastąpił dłonie ustami. Poczuta lepkie ciepło na swej wrażliwej skórze. Jęknęła:

- Brandt, proszę cię...

- Czy to ma być błaganie o to, żebym przestał? - Podniósł głowę, szukając wzrokiem jej oczu. - Czy o więcej?

- Nie... nie wiem.

Była rozpalona, jej ciało płonęło ogniem.

- Mam za ciebie zdecydować, kochanie?

Dobrze wiedziała, jaka będzie jego decyzja. Jakaś jej część, zawierająca nowo rozbudzone zmysły, pragnęła przeżywać rozkosze, które jej dawał. Poza tym dawno temu doszła do wniosku, że jest zbyt stara na dziewictwo, ale nie mogła jakoś przedsięwziąć odpowiednich kroków, by zmienić ten stan. Teraz nadarzała się po temu wspaniała okazja.

Brandt wstał i wziął ją na ręce.

- Gdzie jest twoja sypialnia, kochanie? - zapytał cicho, zanim znów ją pocałował.

Objęła go za szyję. Niósł ją! Nie mogła sobie przypomnieć, czy ktokolwiek i kiedykolwiek nosił ją na rękach. Nigdy. Na chwilę odegnała natrętnie myśli. Był silny, miał mocne ramiona; szedł swobodnie, trzymając ją bez wysiłku. Zatrzymał się przed drzwiami Susan.

- Czy to twoja sypialnia, skarbie? - szepnął.

Kelly potrząsnęła głową. W pokoju Susan ściany były pokryte kompozycjami z fotografii rodzinnych. Gdyby Brandt znał ją choć trochę, wiedziałby, że to nie może być jej sypialnia. Ona nie miała rodzinnych zdjęć, nie miała żadnej rodziny. Ale on o tym oczywiście nie wiedział. Nie wiedział w ogóle kim ona jest. Byli sobie obcy.

- To pokój Susan... - odpowiedziała wolno. Coś w niej pękło. Wróciła do rzeczywistości. Do świata, w którym mężczyzna brał do łóżka kobietę, nie znając i nie kochając Jej.

Zamarła. Ale nie ją, do cholery! Nikt jej nigdy nie kochał, ale nikt jej nigdy nie wykorzystał.

-... mój jest w końcu korytarza.

Zanim doszli do jej sypialni, Kelly uświadomiła sobie, że nic z tego nie będzie. Zdała sobie sprawę, że idealizowała seks. Akt seksualny był wyrazem głębokiej zażyłości. Zażyłości stworzonej przez miłość. Natomiast Brandt Madison jej nie kochał. Nie miała zamiaru się oszukiwać, że jest inaczej. Wątpiła, czy kiedykolwiek ją pokocha. Dziecko odrzucone przez własną matkę musi mieć w sobie coś, co nie pozwala mu być kochanym. Pogodziła się z tym wiele lat temu i nauczyła z tym żyć. Egzystowała jakoś, ponieważ była miła i uprzejma dla innych, ale zamierzała utrzymać status samotnej, niezależnej kobiety. Kiedy coś psuło jej szyki lub była w jakiś sposób zagrożona, jej miły styl bycia zamieniał się w upór stawiający czoła każdemu wyzwaniu.

Kiedy położył ją na łóżku, poczuła się zagrożona. Nie znał jej, była dla niego po prostu kobietą, taką samą jak każda inna. Położyłby ją na łóżku Susan i kochałby się z nią tam, wierząc, że wszystkie te fotografie to podobizny jej krewnych, że ma rodzinę, która ją kocha. Nie miała jednak nikogo i dlatego sama nauczyła się o sobie troszczyć. Wszystkie nabyte odruchy samoobrony wzięły teraz górę.

Położył się koło niej i próbował ją objąć.

Usiadła zniemacka.

- Nie.

Wpatrywał się w nią oczami pełnymi żądz.

- Nie? - powtórzył zaskoczony.

- Wystarczy! - Zapięła guziki koszuli trzęsącymi się rękami, wstała i zawiązała pasek. -

Kiedy zgodziłam się grać rolę twojej żony, nie zobowiązałam się, że będę - przetknęła głośno ślinę - odgrywać ją także w sypialni.

Brandt przewrócił się na plecy i przeciągnął ręką po włosach.

- Kelly - starał się nie okazywać niezadowolenia - to nie fair.

- Życzylabym sobie, żeby pan teraz wyszedł, panie Madison. - Zmrużyła oczy.

Podniósł się powoli.

- Często tak robisz, Kelly? Rozpalasz się jak pożar, a potem zamieniasz w bryłę lodu?

Jego gniew rósł, podsycany przez niezdrowe emocje. Tak gwałtowne było to przejście od słodkiej obietnicy spełnienia do zimnej, ostrej odmowy.

Wyszła z sypialni. Brandt patrzył na burzę kasztanowych włosów spadających na jej ramiona. Podeszła prosto do drzwi wyjściowych i otworzyła je.

- Wyjdź! - rozkazała.

Wpatrywał się w nią, zapamiętując jej rozpłomienioną twarz i wilgotne, nabrzmiałe od jego pocałunków usta.

- Kelly - zaczął. Nie wiedział, czy ma potrząsnąć nią tak, żeby znowu była sobą, czy też złapać ją w ramiona i doprowadzić do powtórnej ekstazy.

Rzuciła mu płaszcz i torbę i czekała przy otwartych drzwiach.

- Do widzenia, panie Madison.

Nagle skądś pojawił się Butter i wybiegł za drzwi.

- Butter! - Kelly pobiegła za nim. - Butter, wracaj.

Kot zbiegł po schodach do zaułka przy drzwiach frontowych budynku, Kelly zaraz za nim, a na końcu Brandt. Duże drewniane drzwi otworzyły się w momencie, gdy do nich dotarli. Lodowaty wiatr momentalnie nawiał do środka tuman winiącego śniegu. Butter miauknął przeraźliwie i pognął po schodach do góry.

Do korytarza weszli Donna i Dave Everingham, sąsiedzi z pierwszego pięta. Kelly przedstawiła im Brandta i wyjrzała na zewnątrz. Poprzez gęsty, szybko spadający śnieg nie było nic widać. W bezlistnych gałęziach drzew przed domem szalał wiatr.

- Zrobiła się prawdziwa zawierucha - zauważył Dave, strząsając śnieg z butów i przyglądając się Brandtowi z zaciekawieniem.

Brandt spojrział na swój samochód, całkowicie skryty pod pokrywą śniegu.

- Jak wyglądają drogi? - zapytał.

- Okropnie.

Donna zdjęła czapkę i szalik i otrzepywała je ze śniegu.

- Dojechaliśmy do trzeciego bloku i zawróciliśmy. Jezdnia jest tak śliska, że samochody tańczą, przez tumany śniegu nie widać dalej niż na odległość metra. Z całą pewnością nie jest to odpowiednia noc na jazdę dokądkolwiek.

- Susan jest w Evanston - zaniepokoiła się Kelly. - Czy sądzicie państwo, że będzie miała kłopoty z dotarciem do domu?

- Dziś na pewno nie wróci. - Dave był pewien. - Nigdzie nie można dotrzeć w tej śnieżnej burzy. Będzie musiała zostać w Evanston.

- Jakie mam szansę dotrzeć do Lake Short Drive? - spytał Brandt ze wzrokiem utkwionym w wirujących płatkach.

Dave'a i Donnę rozbawiło jego pytanie.

- Dziś nigdzie pan nie dojedzie - zapewnił go mężczyzna.

Pożegnali się i poszli do swego mieszkania. Kelly i Brandt zostali sami.

Stali bez słowa, gdy Brandt zakładał płaszcz. Otworzył drzwi i do korytarza wtargnął potężny podmuch wiatru.

- Kelly, nawet nie widzę swojego samochodu, jak mam prowadzić? - Zamknął drzwi i odwrócił się od niej. - Obawiam się, że ugrzęzłem tu na noc.

- Nie możesz zostać w moim mieszkaniu! Nie po tym, co się zdarzyło! - perspektywa ta przerażała ją.

- Chyba będę musiał - odparł ponuro.

Spojrzał gniewnie na jej przerażoną minę.

- Wierz mi, chcę tu zostać nie bardziej niż ty tego pragniesz, ale nie mam wyboru. Nie

zamierzam wyruszać w tę zamięć i narażać się na poważne kłopoty. Nie mam też zamiaru spędzić nocy, zamarzając w samochodzie.

Chociaż wiedziała, że ma rację, nie chciała, żeby został. Odwróciła się, nic nie mówiąc i ruszyła na górę. Brandt pospieszył za nią, nie zniechęcony brakiem zaproszenia.

Butter siedział na wycieraczce przed drzwiami. Sprawiał wrażenie zaniepokojonego. Kelly wzięła go na ręce. W chwili gdy weszli do środka zadzwonił telefon. Pobiegnęła, by go odebrać.

- Zgadnij, kto jest unieruchomiony w Evanston na dzisiejszą noc? - Usłyszała pogodny głos Susan.

- Och, Susan, gdzie jesteś?

- Nic się nie martw. Jest ze mną fotograf i operatorzy kamer. Mamy miejsca w Holiday Inn. Właśnie lecimy do baru na dół, żeby opić tę zawieruchę.

Kelly odłożyła słuchawkę. Też chciałaby tak się niczym nie przejmować. Rzuciła ukradkowe spojrzenie na Brandta. Głaskał niezadowolonego kota. Podniósł głowę i napotkał jej wzrok.

- Susan zostaje w Evanston?

Kelly potaknęła.

- Możesz spać w jej pokoju. Przyniosę ci nową pościel.

- Dziękuję.

Zdjął płaszcz i usiadł na sofie.

- Ale nie chcę się kłaść. Jeszcze nie ma dziesiątej.

- Zmienię pościel.

Sztywnym krokiem przeszła przez pokój i wzięła książkę.

- Potem poczytam trochę w łóżku. Czuj się swobodnie, możesz włączyć telewizor i obsłużyć się w kuchni.

- Doceniam pani wielką gościnność.

Spojrzała na niego z wyrzutem. Jeżeli chciał być złośliwy, ona nie będzie rewanżować się tym samym.

- Zatem, dobranoc.

- Kelly!

Brzmienie jego głosu, niskiego, głębokiego i lekko drżącego zatrzymało ją natychmiast. Starła się opanować.

- Tak?

- Nie chcę być karany za winy innych.

Odwróciła się do niego.

- Słucham?

Patrzył na nią.

- Zamieniłaś się dzisiaj w bryłkę lodu. Stałaś się nagle taka obca. Nie sądzę, żebym to ja spowodował tę całkowitą odmianę twojego zachowania.

- Czy aby na pewno? - Skrzyżowała ręce na piersi. - Nie sądzisz, że po prostu doszłam do wniosku, że pójście z tobą do łóżka będzie złym posunięciem? Uważasz, że muszę mieć jakieś głęboko ukryte psychologiczne motywacje, żeby nie iść do łóżka z mężczyzną, którego w ogóle nie znam i który ma zamiar mnie wykorzystać dla zaspokojenia... szybkiego zaspokojenia swej potrzeby?

- Nie wykorzystywałem cię, Kelly. Pragnąłem cię, a ty pragnęłaś mnie.

- Pragnąłeś kobiety - poprawiła go. - Każda by się nadała.

- Łaskawie przyjmij do wiadomości, że jestem trochę bardziej wymagający - odburknął. - A ty? Sprawiałaś wrażenie zadowolonej, dopóki...

- Dopóki nie ocknęłam się - przerwała mu szybko. - Jak pan zapewne wie, jest pan technicznie doskonały. Niezwykle przekonujący i skuteczny. Zanim do mnie dotarło, co się święci, już leżałam na tym łóżku.

- Po co grasz niedoświadczoną dziewczęcę, oszołomioną pierwszym w życiu namiętnym zbliżeniem. Oboje pragnęliśmy siebie, Kelly. Nie ma sensu zaprzeczać i nie ma się czego wstydzić.

Podniosła głowę i spojrzała na niego.

- Więc uważasz, że nie jestem niedoświadczoną dziewczyną, oszołomioną pierwszym w życiu namiętnym zbliżeniem?

Brandt zaśmiał się ironicznie.

- Ile masz lat? Dwadzieścia cztery? Dwadzieścia pięć?

Przytaknęła.

- Tak cudowna i namiętna kobieta nie może być dziewczyną w wieku dwudziestu pięciu lat.

Ukryła zadowolenie. Gdyby wiedział...

- Cóż za spostrzegawczość!

- Jestem spostrzegawczy.

Wstał i podszedł do niej. Trzymała się dobrze i nie cofnęła się przed nim. Nawet wtedy, gdy ujął jej dłonie.

- Uważam się za bystrego pisarza, obdarzonego dużą intuicją i nie wydającego opinii pochopnie. Spędzimy z sobą dużo czasu - będziemy pracować. Nie chciałbym, żebyśmy mieli przed sobą jakieś sekrety i jakieś do siebie pretensje.

Zamarła na chwilę.

- Do czego właściwie zmierzasz?

- Znów jesteś podenerwowana - stwierdził. - Nie musisz ukrywać prawdy przede mną.

Domyślał się wszystkiego.

Jej usta były zupełnie suche. Zwilżyła je końcem języka.

- Prawdy? - wyszeptała.

- O twoim dziecku.

- O moim dziecku? - powtórzyła głucho.

- Mówiłem ci, że jestem spostrzegawczy. Kiedy rozmawialiśmy o matkach oddających swe dzieci do adopcji, wyczytałem prawdę w twoich oczach, Kelly. Widziałem ból, smutek. To właśnie ci się przytrafiło, prawda? Napisanie tego artykułu jest jednym ze sposobów pomocy sobie samej.

- Sądzisz, że urodziłam dziecko i oddałam je do adopcji?

Była zdziwiona jego spostrzeżeniem. Naprawdę był bystry: zauważył na jej twarzy przeblask bólu w chwili, gdy myślała o matce, która porzuciła ją wiele lat temu. Jednak interpretacja tej obserwacji pozostawiała wiele do życzenia.

- Kelly, ja cię wcale nie potępiam. Podziwiam cię za to, że donosiłaś ciążę i urodziłaś dziecko, a potem oddałaś je ludziom, którzy pragnęli je mieć.

Kusiło ją by wyprowadzić go z błędu, ale nie zrobiła tego. Przed chwilą o mało co nie zakpiła z niego, gdy powiedział jej, że nie jest dziewczyną. Skoro tak bardzo chciał wierzyć, że miała nieślubne dziecko, które dała do adopcji, niech... niech trwa w swych złudzeniach. Ona go w nich utwierdzi. Utwierdzi aż do pewności.

#### 4

Naprawdę obmyśliła plan działania.

- Więc dlatego ciągnąłeś mnie dziś do łóżka?

Położyła rękę na czole i starała się zabrznieć gniewnie. Uznała, że całkiem nieźle jej to wyszło. Chyba naprawdę miała talent aktorski. - Myślałeś, że ci ze mną łatwo pójdzie - ziewnęła ostentacyjnie - że skoro miałam dziecko, wskoczę z tobą do łóżka mimo tego, że cię zupełnie nie znam.

Ukryła twarz w dłoniach i podglądała go przez palce.

- Myślisz pewnie, że robię takie rzeczy bez przerwy.

- Nieprawda, Kelly.

Wyglądał na zrozpaczonego. Chodził po pokoju bez celu; nie wiedział, co zrobić, co powiedzieć.

Stała się złośliwa, choć sądziła, że ma to za sobą.

- Myślisz, że jestem taną kobietą. Bezwolną. Rządzoną przez... podszepty zmysłów.

- Kelly, oczywiście, że tak nie myślę. - Złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie. - Nie rozumiesz? Przemawia przez ciebie brak szacunku dla siebie samej. To jest przyczyną twoich mylnych wniosków. - Objął ją czule. - Myślę, że to ojciec twojego dziecka jest odpowiedzialny za to, że tak się obwiniasz - mówił powoli, starannie dobierając słowa.

- Tak, tak, to on - zgodziła się Kelly. Jej głos ginął w jego grubym swetrze.

Brandt gładził ją delikatnie po włosach. Drugą ręką przyciskał ją do siebie. Chciał ją ochraniać. Nie zaznał takiego uczucia wobec żadnej kobiety od czasu związku z Michele.

- Co się stało, gdy zorientowałaś się, że jesteś w ciąży? - zapytał cicho.

Oczywiście wyobraźni ujrzał zrozpaczoną i przestraszoną Kelly, mówiącą niewrażliwemu i niedojrzałemu kochankowi o ciąży. Wzdrygnął się. Obraz Kelly z innym mężczyzną dziwnie go denerwował. Trudniej się było z nim uporać niż z obrazem jej bezbronnego, niewinnego dziecka.

Kelly też intensywnie pracowała nad tym obrazem. Była dziennikarką, powinna zrobić to solidnie. Dobrze, więc kto był ojcem tego wymyślonego dziecka?

- Wierzyłam, że to była jedyna w świecie wielka miłość. - rozpoczęła pompatycznie. - Potem powiedział mi, że kocha innego mężczyznę.

- Innego mężczyznę? - Brandt osłupiał. - Biedaczko.

- Tak - potaknęła, wciąż wtulona w jego sweter. Omal nie zaczęła chichotać. - Byłam pierwszą dziewczyną Richarda. Tłumaczył mi, że próbował zostać biseksualistą, ale nic z tego nie wyszło. Nie mógł kochać mnie tak, jak kochał swojego chłopaka.

- Nie miał prawa eksperymentować na tobie! - krzyknął Brandt. - Co za karygodne i egoistyczne zachowanie!

- Kiedy powiedziałam mu, że jestem w ciąży, stwierdził, że to tylko moja wina i że nie chce mieć do czynienia ani z dzieckiem, ani ze mną. - Kelly delektowała się dramatyzmem tej sceny. - Razem z Rupertem przeniósł się do San Francisco i otworzył salę ćwiczeń siłowych.

To było oryginalne. Wystawiła sobie piątkę za pomysłowość.

- Rupert? Sala ćwiczeń siłowych?

Może była za bardzo pomysłowa. Swemu kochankowi powinna była dać na imię Tom, a potem kazać mu otworzyć agencję ubezpieczeniową.

- Potem byłam zdana tylko na siebie - dorzuciła pośpiesznie, kierując rozmowę na odpowiednie tory. - Oddałam dziecko cudownemu małżeństwu, które od dwunastu lat nie mogło doczekać się własnego potomka. Bardzo kochają moje dziecko.

Zamknęła oczy i starała się wyobrazić sobie tę parę: kochających rodziców, których zawsze pragnęła mieć. Zadowolona była, że im właśnie dała swoje dziecko. Uśmiechnęła się. Ta część historii podobała jej się znacznie bardziej niż siłownia Richarda i Ruperta.

- Jesteś pierwszym mężczyzną, którego... pocałowałam od czasu, gdy Richard mnie opuścił. - To było godne wzmianki.

Richard i Rupert? Sala ćwiczeń siłowych? Przez chwilę wątpił w całą tę historię, ale jego obawy wydały mu się nieuzasadnione. Dziwna historia, ale czy on nie zrobił kariery, opisując rzeczy osobliwe, kuriozalne i niewytłumaczalne?

Poza tym pocieszanie Kelly sprawiało mu przyjemność. Wydawała się taka mała, bezbronna w jego ramionach.

- Kelly, rozumiem cię. - Uścisnął ją mocno. - Twój gniew i strach. To dlatego wycofałaś się tak nagle. Dlatego obawiałaś się, że chcę cię wykorzystać. Nie jestem podrywaczem. Owszem, miałem kontakty seksualne z innymi kobietami, ale zawsze były to związki angażujące obie strony.

Przymknęła oczy i przywarła do niego. Cudownie było przytulić się do tego silnego mężczyzny, być przez niego trzymaną w ramionach, myślała rozmarzona. Żadnych podtekstów seksualnych. Tylko czułość. Tylko komfort. Wtuliła się głębiej i objęła go w pasie, rozkoszując się ich bliskością. Chciała, by trwało to wiecznie.

Poczuła jego usta we włosach. Jego ciało naprężyło się.

- Kelly - szepnęła. - Nie musisz się mnie obawiać. Nie skrzywdzę cię.

Wyczuła zmianę w jego pieszczotach. Już nie koił jej w ramionach, próbował ją podniecić. Jej ciało zesztyniało. Gorejące namiętności rozbudzone wcześniej, przerodzone w ledwie tłący żar, teraz znowu rozpały się z całą mocą.

- Nie!

Wyrwała się i odepchnęła go obiema rękami. Ponieważ zbyt wiele chciała mu ofiarować. Ponieważ byli sami, i jeśli miał zamiar zanieść ją do sypialni...

- Nic się między nami nie zmieniło. - Oskarżała jego i siebie również. - W dalszym ciągu nie znamy się i...



- I właśnie się poznajemy - odparł spokojnie. - Zaczynamy się też rozumieć.  
- Co nie znaczy, że wskoczę z tobą do łóżka.

Brandt skrzywił się.

- Wiem. Ja wprost przeciwnie.

Nie mówił tego ze złością ani z wyzwaniem. Przypatrywała mu się, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Może pogłędamy telewizję, a potem pójdziemy spać? Osobno - dodał - w osobnych sypialniach.

Włączył telewizor, wziął ją za rękę i posadził na sofie. Siedzieli blisko, ale nie dotykali się. Na kolanach Kelly rozsiadł się Butter. Brandt uśmiechnął się do niej. Kelly odwzajemniła się mu tym samym.

- Jutro zacznę przygotowania do naszej podróży do Avidy - zaczął. - Zadzwoń pod numer, który dostałem zeszłej nocy. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, będziemy mogli wyruszyć już pod koniec przyszłego tygodnia.

Sięgnął, by pogłaskać kota. Dotknął jej uda.

- Brandt! - ostrzegła go i zdjęła jego dłoń.

- Kelly! - powtórzył, przedrzeźniając ją.

- Miałaś zostawić mnie w spokoju - rzuciła mu ostre spojrzenie. - Po tym wszystkim, co przesłałam. Po dziecku, Richardzie i Rupercie, siłowni i w ogóle.

Skręcał ją paroksyzm śmiechu. Z oczami skierowanymi w dół, szybko zajęła się głaskaniem grubego, lśniącego futra Buttera.

Brandt przyglądał się jej. Twarz miała spokojną, ale ramiona dziwnie jej podrygiwały. Czy się śmiała? To raczej nie to; chyba płakała.

- Kelly.

Chciał do siebie odwrócić jej buzię.

Skoczyła na równe nogi i podeszła do okna. Jeżeli dalej chce ciągnąć tę farsę z Richardem i Rupertem, musi być bardziej opanowana.

W tym momencie program telewizyjny został przerwany i nadano komunikat meteorologiczny. Mówiono o trudnych warunkach drogowych stworzonych przez zamieć. To przypomniało Brandtowi, że nie wraca dziś wieczorem do domu.

- Czy mogę skorzystać z telefonu? - wstał. - Muszę zadzwonić.

- Telefon jest w kuchni.

Patrzyła za nim, gdy wychodził z pokoju. Do kogo chciał dzwonić o tej godzinie? Dlaczego? Kelly weszła cichutko do małego korytarza prowadzącego do kuchni i nie zauważona przez Brandta zaczęła nasłuchiwać. Była nie tylko ciekawa. Odezwał się także jej instynkt samoobrony.

- Corrine? - zapytał ciepłym głosem. - Pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli dam ci znać, że ugrzązłem, kochanie. Nie wracam dziś na noc do domu.

Kelly zamarła. Corrine? Dzwonił do jakiejś kobiety, żeby powiedzieć jej, że nie wróci na noc do domu? W lot zrozumiała całą gorzką prawdę. Brandt Madison mieszkał z kobietą.

- Nic się nie martw, Corrine. Jestem u przyjaciela. Tak, u znajomego.

Słuchała, jak nabiera tę kobietę swym nędznym wykrętem. Wzbierała w niej gwałtowna złość. U znajomego, dobre sobie. Szkoda tylko, że tak się przejęzyczył i pomylił płeć. Znajomego w koszuli nocnej. Którego omal nie uwiódł! Jak śmiał okłamywać Corrine? Jak śmiał ją oszukiwać? Po prostu zapomniał nadmieniść, że mieszka z kobietą, kiedy doprowadził do tego, że pragnęła go... że czuła...

Ręce Kelly zacisnęły się w pięści. Ostatkiem sił powstrzymała się przed wtargnięciem do kuchni i wyrwaniem mu słuchawki. I powiedzeniem tej biednej Corrine, kim był jego „znajomy” i jak śmiało sobie z nim poczynał.

Jednak nie odważyła się na to. Przekradła się obok kuchni do swojej sypialni i zamknęła drzwi na klucz. Bardzo chciała stanąć z nim twarzą w twarz, ale instynktownie czuła, że byłaby na z góry straconej pozycji. Może początkowo odczułaby satysfakcję, wymierzając mu policzek, ale prędzej czy później wykorzystałby swą przewagę nad nią. Nie fizyczną. Nie obawiała się z jego strony przemocy.

Jego metody były zbyt wyrafinowane. Mógł podporządkować ją sobie w daleko bardziej

perfidny sposób. Poprzez uwiedzenie. Oboje byli świadomi jej uległości. Jej duch mógł nie poddawać się, ale ciało było zdradzieckie. Przypomniała sobie, jak przytulała się do Brandta: jego usta na swoich, jego język w jej ustach, jego ręce wędrujące po jej ciele. I to, jak wiała się i pojękiwała z rozkoszy, chcąc więcej.

Poczuła, że robi jej się zimno. Wskoczyła do łóżka i naciągnęła kołdrę, ale to jej nie rozgrzało. Przez chwilę pozwoliła Brandtowi Madisonowi niebezpiecznie zbliżyć się do tej części swej psychiki, którą dawno temu odkryła, dającą złudzenie bezpieczeństwa skorupą. I po raz pierwszy od bardzo dawna poczuła się zagrożona, przestraszona i okropnie, przeraźliwie samotna.

- Przystało padać. Od rana pługi odśnieżają drogi. Nie powinieneś mieć żadnych kłopotów z dotarciem do domu. - Kelly wsypywała sobie płatki kukurydziane do mleka, nie spoglądając nawet na stojącego obok Brandta. - Mam dziś dużo pracy, więc...

- Chcesz się mnie pozbyć - westchnął. - Na tyle jestem rozgarnięty.

- Naprawdę? To dlaczego jeszcze tu jesteś?

Usiadła na taborecie i zaczęła jeść, zwracając baczna uwagę na to, by nie patrzeć w jego kierunku.

- Kelly, czemu nie chcesz powiedzieć mi, co źle robię? Dlaczego tak się zachowujesz? Czemu zabarykadowałaś się wczoraj w swojej sypialni i nie odpowiedziałaś, gdy pukałem do drzwi?

- Położyłam się, kiedy rozmawiałeś przez telefon. Nie słyszałam twojego pukania. Spałam.

- Kelly, przez telefon rozmawiałem raptem trzy minuty. Nie mogłaś przez ten czas zamknąć drzwi, położyć się i zasnąć.

- Zawsze zasypiam w chwili, gdy kładę głowę na poduszce - skłamała. - Zresztą postąpiłam cholernie rozważnie zamykając drzwi, skoro podstępnie chciałeś się do mnie dostać.

- Nie robiłem nic podstępnie - zapewnił ją. - Podszedłem do twoich drzwi, kiedy nie zastałem cię w pokoju.

Chciałem powiedzieć dobranoc i...

- No to dlaczego tego nie powiedziałaś, zamiast walić w drzwi i wrzeszczeć przez dwadzieścia minut?

- A! - Oczy mu zabłyśły. - Więc jednak słyszałaś mnie? Powiedziałaś, że byłaś pogrążona w głębokim śnie i nie wiedziałaś nic o moim pukaniu.

- Musiałabym leżeć chyba w grobie, żeby nie słyszeć tego rabanu - odparła.

- Więc dlaczego przynajmniej się nie odezwałaś? Mógłbym zrozumieć to zamykanie drzwi. Jeżeli się mnie boisz, ale...

- Ja się ciebie nie boję! - zaprzeczyła gorliwie. - Mam cię po prostu dosyć! Właśnie dlatego nie otworzyłam ci. Bo byłam zmęczona odpieraniem twoich... twoich nie chcianych zalotów. I dlatego też się nie odzywałam. Miałam po dziurki w nosie rozmów z tobą.

Brandt popatrzył na nią przeciągle.

- Moich zalotów nie można chyba nazwać nie chcianymi.

- Pewna jestem, że taka egoistyczna, egomaniakalna, niezaspokojona i nienasycona kreatura jak ty, mogłaby w to uwierzyć.

- Do licha, jesteś lepsza niż słownik synonimów! Jeżeli sposób twojego pisania przypomina choć po części twoją mowę, twój redaktor naczelny zużywa na poprawki co najmniej tuzin długopisów.

- Mój naczelny jest zadowolony z mojego pisania. - Kelly spokojnie zjadła następną łyżkę płatków, wpatrując się w talerz.

Brandt obserwował ją, krzywiąc usta w grymasie niezadowolenia. Nie mógł jej rozgryźć. Odrzuciła go bardzo skutecznie zeszłej nocy, zamykając drzwi. Ale dlaczego?

Powstrzymał się od zgarnięcia od tyłu kosmyka kasztanowych włosów, który opadł jej na oczy. Doskonale pamiętał, jak trzymał te miękkie, jedwabiste włosy, kiedy podtrzymywał jej głowę i całował ją. Wspomnieniu towarzyszyło nieprzyjemne uczucie. Wczoraj bardzo jej pragnął.

Wciąż na nią patrzył. Miała lekko pochyloną głowę, włosy całkiem spadły i zakryły jej twarz - jakby kurtyną. Odśloniły natomiast jej szyję. Bardzo chciał pocałować to ponętne

miejsce. Pod zielono-niebieską bluzką, którą nosiła do niebieskich spodni rysowały się jej piersi. Znów powróciły wspomnienia wczorajszego wieczoru. Pamiętał, jak patrzył na nie, jak je całował i pieścił. I jak pojękiwała z zadowolenia w jego ramionach.

Przeklął w duchu. Pragnął jej w tej chwili tak samo jak wczoraj. A ona, z powodów o których nie miał pojęcia, zdecydowała, że jest tak pociągający, jak wirus grypy i traktowała go odpowiednio do tego założenia.

- Kelly - zaczął, ale była już na nogach, wylewając reszkę płatków do zlewu.

- Muszę już iść - spojrzała znacząco na zegarek - o dziesiątej mam ważne spotkanie.

Poszedł za nią do pokoju stołowego. Dlaczego była tak wrogo do niego nastawiona? Wczoraj wieczorem ufała mu. Czuł się jej bliski i wiedział, że z nią było to samo.

Coś mu zaświtało. Ubiegłej nocy przekroczył pewną granicę jej komfortu psychicznego i zareagowała na to, odpychając go. Mógł jej na to pozwolić, może nawet powinien. Miała skomplikowane wnętrze. Jedno, co było pewne, to to, że zagmatwa jego proste, znormalizowane życie.

Przyciągała jego uwagę, pobudzała wyobraźnię i wzbudzała jego zainteresowanie, co nie udało się dotychczas żadnej kobiecie oprócz Michele.

Złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie.

- Zaryzykuję nawet posądzenie mnie o brutalność, ale nie wyjdiesz stąd, dopóki nie wyjaśnimy sobie tego nieporozumienia.

- Nie zauważyłam żadnego nieporozumienia!

„Muszę zachować zimną krew” - ostrzegła się w duchu. Ogarnęła ją dzika pasja, ale postanowiła nie okazywać tego, żeby nie pomyślał, że jej na nim zależy. Powiedziała tylko:

- Wiem o Corrine.

Patrzył na nią zdziwiony.

- Co wiesz o Corrine?

- Co? To, że - na miłość boską - mieszkasz z nią.

- Jasne. Wprowadziła się z dziećmi rok temu, kiedy Ross został służbowo wysłany do Bejrutu. Wraca za miesiąc i wtedy wszyscy przeniosą się do Columbii, następnego miejsca jego pracy.

Wpatrywała się w niego. Coś tu nie grało.

- Kto to jest Ross?

- Ross Collins to mój szwagier - odparł zniecierpliwiony. - Mąż Corrine.

Kelly nerwowo przełknęła ślinę.

- Corrine jest twoją siostrą?

- Oczywiście. Mówiłaś przecież, że ją znasz.

- Nie znam. - Pokręciła głową. - Powiedziałam tylko, że wiem o niej.

Spłynęła na nią potężna fala ulgi. Zrozumiała to, do czego nie chciała się przyznać przed sobą samą: była chora z zazdrości, gdy pomyślała o innej kobiecie w życiu Brandta.

- Sądziłam... sądziłam, że jest twoją kochanką. Że dlatego mieszka z tobą.

Nastąpiła chwila ciszy. Kelly kręciło się w głowie. Nigdy nie była zazdrosna, nie miała do tego podstaw. Zazdrość zawsze zawiera element posiadania, a ona nigdy nie należała do nikogo ani nie miała nikogo, kto należałby do niej. Nigdy nie uważała, że można uważać kogoś za swoją własność. Ale Brandt...

Obleciał ją zimny strach. Jak mogła wierzyć, że znaczy coś w jego życiu? Znała go tak krótko. Nie miała żadnego powodu żeby uważać, że był... jej.

- Myślałaś, że Corrine mieszka i żyje ze mną? - Przyglądał się jej. - Skąd tak głupi pomysł przyszedł ci do głowy?

Skrzywiła się. Nie miała ochoty przyznać się, że podsłuchiwała jego rozmowę telefoniczną.

- Chyba... chyba doszłam do mylnego wniosku.

- Chyba tak - powiedział złośliwie. - Myślałaś, że żyję z jakąś kobietą i w tym samym czasie robię podchody do ciebie.

Kelly wpatrywała się w niego. Serce waliło jej w piersi. Nie był więc taki nieosiągalny. On też kierował się emocjami. Wszystko wyglądało zupełnie inaczej.

Brandt powoli układał sobie wszystko.

- Więc to jest powód do wyzywania mnie? Dlatego zachowywałaś się, jakbym był czymś,

co należałoby jak najszybciej zetrzeć z podeszwy swojego buta?

Zagryzła dolną wargę i z wahaniem przytaknęła.

- Powiniennem się wściec, że posądzasz mnie o takie historie. Już się wściekłem. -  
Potrzęsnała głową. Był zdenerwowany, ale powoli się uspokajał.

- Kelly, nigdy nie zrobiłem nic, co uzasadniałoby taki brak zaufania.

Zbliżył się do niej.

Odsunęła się.

- To przez moje tragiczne przeżycia z Rupertem - odparła szybko. Chciała zająć go opowieściami o jej urazach psychicznych, żeby przestał zgłębiać motywy trzymania go na dystans. - Od tamtej pory zawsze miałam kłopoty z zaufaniem.

Brandt zmarszczył brwi.

- Rupert? Myślałem, że to był Richard.

- Tak, tak, oczywiście, Richard.

Nerwowo przeczesła palcami włosy. Boże, naprawdę był bystry. Richard, Rupert, co za różnica. Jemu widocznie robiło różnicę. Patrzył na nią dziwnie.

- To dlatego, że zawsze uważałam Ruperta - hmm - za głównego sprawcę tej tragedii.

Spojrzał na nią uważnie.

- Sprawy między nami posuwają się w szybkim tempie, Kelly. Może po prostu potrzebowałaś tego nieporozumienia, co? Żeby stworzyć między nami dystans? - Wydawał się być przejęty i pełen zrozumienia.

Zachęcona i ośmielona tym, skinęła głową.

- Chyba czasem wymyślam coś żeby... żeby trzymać się z daleka od ciebie.

- Dlaczego? - zapytał cicho.

- Bo sprawiasz, że czuję się tak... jak się czuję.

Przysunął się i stanął tak blisko, że ich ciała niemal się stykały.

- Że co czujesz, Kelly? - zapytał niskim, głębokim głosem, który zdawał się ją pieścić. -  
Powiedz mi.

Nagle otworzyły się drzwi wejściowe i Kelly odskoczyła od niego jak oparzona. Brandt zaklął cicho pod nosem. Do mieszkania wtargnęła ładna, mała brunetka i młody, zarośnięty mężczyzna z kamerą w ręku.

- Susan! - krzyknęła drżącym głosem Kelly. - Miałaś kłopoty z dojechaniem do domu?

- Główne drogi są już przejezdne - odparła Susan. Kelly, to Peter Naddox, nasz fotograf. Uwięziony razem ze mną w Evanston ubiegłej nocy - dodała, uśmiechając się do niego załomie.

- Cześć Peter - powitała go Kelly. - Cieszę się, że wróciliście bez przeszkód. Przepraszam, nie mogę zostać i pogadać, lecę spotkać się z Cindy.

Z mocno bijącym sercem złapała z wieszaka przy drzwiach jasnozieloną kurtkę i wybiegła, nawet nie spoglądając na Brandta.

- Pa, Kel - zawołała za nią Susan. Potem odwróciła się i spostrzegła Madisona. Reakcja była natychmiastowa, jak z najgłupszego serialu telewizyjnego: zrobiła wielkie oczy. Osłupiała.

- Brandt Madison. - Wyciągnął do nich rękę na powitanie. Tylko Peter uściśnął ją. Susan stała jak słup soli, nie odrywając od niego wzroku.

- Utknąłem tu dziś na noc - rozpoczął konwersację. - Kelly tak się spieszyło, że mnie nie przedstawiła.

- Susan Lippert. Czy... czy spałeś tutaj? - zapiszczała - z Kelly?

Brandta bawiło jej niedowierzenie.

- Uhm.

- Cholera! - Susan opadła na sofę. - Kawaler Miesiąca znów atakuje. I to Kelly! Gdybym sama cię tu nie widziała, nigdy bym w to nie uwierzyła.

- Dlaczego nie? - zapytał z zaciekawieniem. Powinien już pójść, ale usiadł koło Susan. Chęć dowiedzenia się czegokolwiek o tajemniczej Kelly Malloy okazała się zbyt silna. - Ty także - hmm - ugrzęzłaś wczoraj, i to nie sama.

Susan natychmiast spojrzała na Petera.

- Zgadza się, ale Kelly spędzająca noc z mężczyzną... - Wzruszyła ramionami z

zakłopotaniem. - Będziemy jeść śniadanie. Jadłeś już, czy zjesz z nami?

- Nie, nie jadłem, i owszem, chętnie się do was przyłączę, wstał i uśmiechnął się. - Kelly... zapomniała zaproponować mi coś do zjedzenia. To niedopatrzenie świadczyło wyraźnie o tym, że chciała się go jak najszybciej pozbyć.

Susan potrząsnęła głową.

- Cóż, musisz być wyrozumiały. Kelly nie jest przyzwyczajona do nocnych gości. Prawdę powiedziawszy, jesteś pierwszym, jakiego tu widzę, od kiedy wprowadziłam się tu trzy lata temu.

- Czy często się... umawia? - zapytał od niechcienia.

- Można tak powiedzieć, ale zawsze pamięta, by absztyfikantów zostawiać po tamtej stronie drzwi - odparła uszczypliwie. Może i przed tobą powinna była je zamknąć? Jest moja dobra przyjaciółką i nie chciałbym dowiedzieć się, że ktoś ją zranił.

- Hej, Susan, kto pstrykał te zdjęcia? - zapytał Peter przyglądając się kolekcji dziwacznie oprawionych fotografii.

- Ja - odparła Susan z dumą. - Mówiłam ci wczoraj, że interesuję się fotografią. Nie wierzyłeś mi.

Peter uśmiechnął się.

- Sądziłem, że to tylko haczyk. Żeby mnie złowić, wiesz?

- Gdyby tu była Kelly, nazwałaby cię próżnym, zapatrzonym w siebie wilkiem - zaśmiał się Brandt - albo egocentrycznym, egomaniakalnym, nienasyconym i niezaspokojonym insektem. Między innymi.

- Ho, ho, zdaje się, że było tutaj gorąco - zastanawiała się głośno Susan. - Spałeś w pokoju Kelly czy moim?

- Pierwsza odpowiedź się liczy.

- W moim, to jasne. Powinam wiedzieć od razu.

- Kim są ci ludzie na fotografiach, Susan? - dopytywał się Peter, wyraźnie starając się zwrócić na siebie jej uwagę.

- To moja rodzinna. Całkiem duża. Wszyscy z wyjątkiem tej, malej, ubranej na niebiesko czarnej dziewczynki. To Cindy. Młodsza Siostrzyczka Kelly.

- Ma czarną siostrę? - Brandt wziął fotografię i przyjrzał się jej uważnie. Mała, może dziewięcioletnia Murzynka uśmiechała się do niego.

- Młodsza Siostrzyczka. Z dużej litery - poprawiła go Susan. - Kelly występuje jako Starsza Siostra. Każdą sobotę od dziesiątej do trzeciej spędza z Cindy. Trwa to już od dwóch lat. Bardzo udany związek.

Podziwiał ją za to, że poświęcała swój czas upośledzonemu dziecku. Kelly Malloy była nie tylko piękna. Uczucia, jakie w nim wzbudzała, wykraczały zdecydowanie poza poziom hormonalny.

- Gdzie są jakieś fotografie Kelly? - zapytał Susan. Chciał się dowiedzieć o niej czegoś więcej.

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Kelly ci nie mówiła? Nie ma żadnej rodziny. Wychowywała się w kilku domach zastępczych.

Był poruszony.

- Nie ma nikogo?

Susan zjeżyła się.

- Mówisz tak, jakby była jakimś biednym dziewczątkiem z powieści Dickensa. Jej by się to nie podobało. Nie jest sama na świecie. Ma Cindy, Buttera, mnie i swą pracę w redakcji, i masę przyjaciół.

- Ale żadnych krewnych? - nalegał Brandt. A jednak oddała dziecko do adopcji? A może nie? Był pełen wątpliwości.

- Nie, nikogo. Mogę dać ci radę? - zmierzyła go przeciągłym spojrzeniem. - Nie pytaj ją za dużo o przeszłość. Rzadko o niej mówi. Myślę, że to dla niej bolesne. Wiedzie szczęśliwy żywot, więc po co odgrzebywać stare dzieje.

- Robisz wreszcie to śniadanie, czy masz zamiar gadać cały dzień? - Peter złapał ją za rękę, przyciągnął do siebie i pocałował namiętnie.

Brandt odebrał ten niewerbalny znak od drugiego mężczyzny. Tamten upominał się o swoje. Brandt patrzył na nich, splecionych w mocnym uścisku.

- Chyba już pójdę - rzucił, nie zwracając się właściwie do żadnego z nich. - Zjem coś po drodze. Miło było was poznać.

Żadne z nich nie odpowiedziało. Brandt wziął płaszcz i teczkę. Wyszedł i cicho zamknął za sobą drzwi.

- Masz paszport?

Nawet nie przywita! się z nią. Ani nie przedstawił. Kelly zaniemówiła na chwilę, zastanawiając się dlaczego uważał, że natychmiast rozpozna jego głos. Oczywiście, że poznała. Ale on nie powinien był tego zakładać z góry.

„Wspinam się na coraz wyższe wyżyny absurdu” - złącała się w duchu. Zawsze była uosobieniem racjonalności - dopóki w jej życie nie wkroczył Brandt Madison. Sprawił, że mówiła, robiła i czuła dziwne rzeczy. Rzeczy, o których bała się mówić, których bała się robić i odczuwać. Miał nad nią władzę, której nie rozumiała: z jednej strony obawiała się go, z drugiej - przyciągała ją.

- Kelly, jesteś tam? - odezwał się.

- Tak. I mam paszport - odpowiedziała chłodno. „Dam sobie z nim radę” - zapewniła się. Będzie obojętna, obca. Będzie go trzymać na dystans.

- To dobrze. Kelly, po południu dzwoniłem do agencji adopcyjnej Przyjaciół Dzieci. Zachowywali się bardzo powściągliwie, dopóki nie powiedziałem im, że rozmawiałem z Caristą osobiście i że to on zgodził się na mój przyjazd do Avidy. Wtedy zrobili się straszliwie uczynni. Pojechałem do nich - to takie małe biuro - dali mi tam mnóstwo papierków...

- Jakich papierków? - Bardzo chciała przytrzeć mu nosa, ale ciekawość zwyciężyła. Zresztą, te informacje były niezbędne do przygotowania jej artykułu.

- Przeróżnych: prawa obowiązujące w stanie Illinois, formularz 1-600 Amerykańskiego Urzędu Imigracji i Naturalizacji. Muszą od nas pobrać odciski palców, i to w dwóch egzemplarzach. Jeden dla policji stanowej, drugi dla federalnej.

- Nie sądziłam, że będziemy ocierać się o agencje stanowe i federalne - odparła wolno. - Czy to co robimy, to przestępstwo?

- Przerazona? - Brandt zaśmiał się. - Za późno, żeby się wycofać, Kelly. Ludzie Caristy bardzo się starają. Już załatwiają naszą sprawę.

Westchnęła ciężko.

- Co takiego?

- Caristą nie zostawi w spokoju żadnej nitki wiodącej do kłębka. Wydaje się, że ma przyjaciół na wszystkich szczeblach związanych z przygotowaniem adopcyjnymi. Za pewną opłatą wszystkie da się zrobić.

- Opłatą? - powtórzyła jak echo. - Chyba łapówką?

- Zapłaciłem gotówką pięć tysięcy dolarów. Wręczyłem je uroczej babuni - recepcjonistce. Co dalej stanie się z tymi pieniędzmi - albo kto je dostanie - o tym nie mówiliśmy. Nie padły żadne nazwiska. Jedyne, co mam na taśmie, to obietnica starszej pani, że jakieś dobre i wpływowe dusze przyspieszą załatwienie moich papierów tak, abym wraz z żoną mógł jak najszybciej polecieć do Avidy po dziecko.

- To naprawdę była łapówka - skonstatowała niezadowolona.

- Kelly, nie defraudujemy skarbu państwa ani nie przekupujemy urzędników, nie robimy też nic wbrew prawu. Zbieramy materiały, sprawdzając jednocześnie Caristę i to, czy należy mu się więzienie.

- W dokumentach napisano, że jesteśmy mężem i żoną, nieprawdaż? To, dzięki Bogu, bezczelne kłamstwo.

- Uważaj! Nawet tacy bezwzględni, łasi na kobiety, próżni i przebiegłi rozpustnicy doświadczają uczuć.

Uśmiechnęła się. Jak mogła pozostać obojętna i na dystans, jeżeli żartował z siebie samego?

- Kelly, czy nie moglibyśmy spotkać się wieczorem i omówić naszą wyprawę? - Jego głos

zmienił się. - Mogę być u ciebie za dwadzieścia minut.

- Nie, Brandt! - odpowiedziała szybko. Nie była gotowa na to, by znów go zobaczyć. Potrzebowała więcej czasu, aby nauczyć się niwelować jego potężny wpływ. Spojrzała na Buttera liżącego łapy. - Mam inne plany na dzisiejszy wieczór. Spędzam go z przyjacielem. - Nie było potrzeby dodawać, że to koci przyjaciel.

- Możemy tymczasem odłożyć naszą rozmowę, Kelly, ale musi się ona odbyć. Chciałbym też usłyszeć odpowiedź na pytanie, które zadałem ci dziś rano.

To pytanie przez cały czas kołatało jej się w głowie, jakby dopiero co je wypowiedziała: „Sprawiam, że co czujesz?” Zadrżała. Niewiele brakowało, a powiedziała mu. Gdyby nie nagle pojawienie się Susan, słowa, które by padły, zostałyby użyte później przeciwko niej.

- Zupełnie nie mogę sobie przypomnieć o czym rozmawialiśmy dziś rano. - Miała nadzieję, że jej głos brzmiał naturalnie.

Znajomość psychologii była naprawdę pomocna. Gdyby nie zdawał sobie sprawy z tego, że Kelly próbuje chronić się przed uczuciami, jakie żywi do niego, jej wykręty doprowadziły go do szewskiej pasji.

- Zastanów się nad tym, Kelly - powiedział bardzo miękko.

- W każdym razie, możesz liczyć na to, że odświeżę twoją pamięć.

Kelly wyczuła niedopowiedzianą, zmysłową obietnicę w jego głosie. Zamierzał odświeżyć jej pamięć innymi niż słowa sposobami. A ona tego właśnie pragnęła. To było najgorsze. Przymknęła oczy. Znow w jej wnętrzu rozgorzał płomień pożądania.

- Dobranoc, kochanie. - powiedział cicho.

Ostrożnie odłożyła słuchawkę. Wciąż słyszała w uszach jego głos. Przez jakiś czas wpatrywała się bezmyślnie w przestrzeń przed sobą.

Butter zeskoczył z krzesła i owinał się wokół jej kostek. Podniosła go i zaniósła do salonu.

- Przez ciebie odmówiłam randki, staruszk. Susan wyszła z Peterem, więc będziemy cały wieczór sami.

Usiadła na sofie, układając kota obok siebie. Butter zamruczał, jakby chciał coś powiedzieć.

- Nie, wcale nie żałuję, że powiedziałam Brandtowi Madisonowi. Jestem zajęta. - Kot mruzczał, kiedy mierzwiła jego futro. - Jest przekonany, że miałam dziecko! I uwierzył w całą tę beznadziejną historię z Rupertem, Richardem i siłownią. Łatwiej to przelknąć niż fakt, że nigdy dotąd... - westchnęła. - W tempie, które narzucam nie stanie się to nigdy.

Kot przyjrzał się jej żartobliwie i przewrócił się na grzbiet Kelly podrapała go po brzuchu. Miałknął z zadowoleniem.

- Stanowimy przecież parę, co, staruszk? Parę wyrzutków. Znalazłam cię na ulicy tak samo, jak oficer Malloy znalazł mnie. Wydaje mi się, że oboje pojawiliśmy się znikąd.

Kot złapał jej rękę w łapy i polizał czule. Ujęto ją to.

- Myślę, że nie dowiemy się nigdy, kim byliśmy. Ale jest coś, czego jestem pewna. Nigdy nie porzuciłabym nikogo - człowieka czy zwierzęcia - kto by mnie potrzebował. Zrobiłabym wszystko, żebyśmy tylko byli razem.

Butter ziewnął i mruknął wymijająco.

- Powinieneś powiedzieć: „Ja też”, ty stary cyniku.

Uśmiechając się do siebie i do kota, przytuliła go mocno.

## 5

- Skóra mi cierpnie, gdy na niego patrzę - szepnęła do Brandta Kelly. Jej wzrok był utkwiony w niewysokim, ciemnowłosym mężczyźnie, który siedział na fotelu po drugiej stronie przejścia jumbo jeta. - Wygląda jak łasica i ciągle się na nas gapi.

Brandt spojrział w jego stronę. Napotkał zimne spojrzenie czarnych oczu. Lekko się uklonił. Mężczyzna odwzajemnił ukłon.

- Całkiem niezłe porównanie. - Brandt pochylił się ku Kelly. - Jak go tylko zobaczyłem, przyszło mi do głowy, że jest podobny do fretki.

Spotkali go rankiem na lotnisku O'Hare, kiedy oddawali bagaż do sprawdzania przed lotem do Avidy. Mężczyzna przedstawił się im jako Alfredo Para de Leon, pracownik agencji Przyjaciół Dzieci, i powiedział, że będzie im towarzyszyć w drodze do Avidy, aby „ułatwić postępowanie adopcyjne”. I od tej pory nawet na chwilę nie spuścił ich z oczu.

- Przyczepił się do nas jak rzep psiego ogona od chwili, gdy w Miami zmieniliśmy plany - szepnęła Kelly, unikając nieruchomego wzroku mężczyzny. - Myślałam, że pójdzie za mną do toalety.

- Z całą pewnością przysłano go także z innych powodów.

- Chyba po prostu szpieguje dla Caristy - zauważyła. - Nie robi tego najlepiej.

- Też tak sędzę. Pozostaje tylko pytanie: dlaczego? Czy Carista wie, że jestem dziennikarzem i podejrzewa, że moim zamiarem nie jest adopcja dziecka? A może to rutynowa obserwacja każdej pary?

- A z jakiego innego powodu zatrudniałby szpiega, jeśli nie dla ochrony swoich ciemnych sprawek?

- Mnie też się wydaje, że Carista ma coś do ukrycia.

Zielone oczy Kelly znów zatrzymały się na twarzy Para de Leona. Spostrzegła, że ciągle ich obserwował.

- Jest coś w jego twarzy, jakby groźba. To uporczywe spojrzenie jego malutkich oczek. Co będzie, jeżeli on nas naprawdę o coś podejrzewa? Jak myślisz, co zrobi?

- Nie wiem. Nawet przez chwilę nie wolno nam wzbudzić jego podejrzeń. Musimy mu udowodnić, że jesteśmy jedynie szczęśliwą parą.

Brandt delikatnie podniósł rączkę oparcia dzielącą ich fotele.

Kelly przyglądała się temu z niesmakiem.

- Mam lepszy pomysł. Udawajmy, że jesteśmy na skraju rozpadu naszego związku i że adoptowanie dziecka jest dla nas ostatnią deską ratunku. Ale, ponieważ nasze małżeństwo nie jest jeszcze ocalone, więc spokojnie możemy być na dystans.

- Powiedziałem w agencji, że jesteśmy niezwykle szczęśliwą parą. Para de Leon oczekuje od nas właśnie tego. Jeżeli nie damy mu na to dowodów, na pewno zacznie coś podejrzewać - objął ją ramieniem, nachylił się i rozłożył jej fotel. - Do tej pory niezbyt przekonująco odgrywałeś rolę kochającej żony. Nie spoglądałaś na mnie, nie rozmawiałaś i odsuwałaś się ode mnie nawet wtedy, gdy przypadkowo cię dotknąłem.

Kelly musiała tak robić. Nawet niezamierzony dotyk przyspieszał bicie jej serca. Po tym, jak przyrzekła sobie, że będzie twarda, było to najstraszliwsze odkrycie.

- Zabierz te ręce! - syknęła przez zaciśnięte zęby.

- Nie zrozumiałaś, o czym mówiłem? To nie jest reakcja oddanej żony. - Przycisnął ją do na pół rozłożonego fotela i przysunął się jeszcze bliżej. Prawie leżał na niej. Spokojnie szeptał jej do ucha:

- W Miami wyjaśniałem panu Para de Leonowi, że boisz się latać. Miało to usprawiedliwić twoje zachowanie. Ale teraz musisz się rozluźnić, Kelly. Dajmy mu pokaz czułej scenki małżeńskiej. Obejmij mnie za szyję i...

- Jak mnie nie puścisz w tej chwili, to mu zademonstruję scenkę wojenna, Madison.

Położyła mu ręce na ramionach, by go odepchnąć; palce wtopiły się w jego miękkie, beżowy sweter. Jego ramiona były jednak zbyt mocne.

- On na nas patrzy, Kelly. Teraz nie może jednak zobaczyć twojej twarzy, bo cię zasłania. Wszystko co widzi, to nas dwoje, leżących tutaj w gorącym najprawdopodobniej uścisku.

- Zaraz zobaczy, jak fruwasz, kiedy cię stąd wyrzucę! Ruszaj się, Madison!

Chciała go odepchnąć, ale Brandt tylko jeszcze bardziej się natężył i nie drgnął nawet o milimetr.

Zaczął delikatnie muskać ustami jej szyję.

- Och, Kelly, tak dobrze smakujesz, i pachniesz tak słodko. Myślałem o tobie bez przerwy przez ostatni tydzień.

- Złaż ze mnie! - syknęła. Raz jeszcze próbowała go odepchnąć, ale nie miała tyle siły. - Nie mogę cię ruszyć z miejsca, ty słoniu. Wstawaj! Zgnieciesz mnie!

- Ale podoba ci się to!

Działał jej na nerwy. Niemal leżał na jej piersiach. Jedną ręką dotykał jej biodra. Czuła jego kolano pomiędzy nogami. I zęby na wargach, potem delikatnie gładzący je język.

Udało jej się złapać oddech.

- Nie... wcale nie! - wysapała. Cudowne doznaniaomalże nie powodowały utraty przytomności. Policzki pały, kiedy traciła panowanie nad sobą.



- Tak, to ci się podoba. - Obejmował ją silnie jednym ramieniem, drugą ręką gładząc jej ciało. - Ciekawa jesteś, skąd wiem? - składał pocałunki na jej powiekach, policzkach, podbródku i z powrotem na ustach. - Cała drzysz.

- Wzdrygam się. Z... z obrzydzenia!

Brandt zachichotał głośno.

- Daj spokój, Kelly. Nie ma powodu zaprzeczać, że mnie pragniesz. - Złapał zębami skrzydełko jej ucha i wgryzał się w nie namiętnie. Efekty tego poczuła gdzieś głęboko w swym wnętrzu.

Nie ma powodu zaprzeczać, że go pragnie? Kelly walczyła z ogarniającą ją, alarmującą słabością. Już nie przeszkadzał przygniatający ją ciężar. Ich ciała zdawały się idealnie do siebie pasować. Było to bardzo podniecające. Ich spojrzenia spotkały się.

Przez cały zeszły tydzień unikała go, zdecydowana zniweczyć jego panowanie nad jej ciałem. Rozmowy telefoniczne utrzymywała w tonie służbowym. Jednakże w chwili, gdy ujrzała go dziś rano na lotnisku, wiedziała, że wszystkie te wysiłki poszły na marne. Serce zabiło jej mocno, gdy tylko podszedł do niej. Słaba strona jej natury czekała na niego.

Wiedziała, że on jej pragnie; nie robił nic, by to ukryć. Sądziła, że jej opór musi wydawać się dziwny i niczym nieuzasadniony. Oboje byli dorosłymi, dojrzałymi ludźmi. Dlaczego nie zgadzała się na ten romans, skoro Brandt tego chciał? Przecież ona też tego chciała!

Jednak jej trzeźwy umysł odmawiał poddania się fizycznym zachciankom i potrzebom. Znała siebie dostatecznie dobrze, by zdawać sobie sprawę z tego, że nie mogłaby kochać się z mężczyzną, do którego nic nie czuje.

Potrzeby fizyczne nieuchronnie idą w parze z potrzebami emocjonalnymi. Kelly nigdy nie pozwalała sobie angażować się uczuciowo, ponieważ przeczuwała, że jej własne potrzeby, niczym nie skrepowane, stanowiły zbyt duży ciężar dla drugiego człowieka. Każdy odsunąłby się do niej, gdyby tylko poznał ogrom jej potrzeb emocjonalnych, tak jak zrobiła to jej matka.

Kelly nigdy nie miała wątpliwości, że to była jej wina, że zostawiła ją matka. Była trudnym dzieckiem – powiedział jej to jeden z pracowników opieki społecznej. Dużo płakała, wymagała nieustannego zainteresowania, zabierała zbyt dużo czasu przybranym rodzicom. Dlatego przierzucano ją z jednego domu do drugiego, aż w końcu została wychowanką stanu Illinois.

Kelly wyobrażała sobie swoją matkę, doprowadzoną do granic wytrzymałości przez jej płacz i wymagania. Matka nie mogła sobie z nią poradzić i zostawiła ją. Później kolejne matki zastępcze oddawały ją z powrotem do domu dziecka. Kiedy miała pięć lat, ostatecznie pojęła, o co chodzi. Od nikogo niczego nie żądać, gdyż w przeciwnym razie można zostać porzuconym. Ani nie oczekiwać niczego od innych, ponieważ inni nie chcą (bądź nie mogą) tych oczekiwań spełnić. Życie było łatwiejsze, a ludzie bardziej przyjaźni, gdy o nic się nie prosiło. Nie było wtedy głupich nadziei i oczekiwań, które nieuchronnie przeradzały się w dotkliwy zawód.

Kelly pojęła to dobrze. Nigdy potem nie pozwoliła sobie samej, by rządziły nią emocje lub jakiegokolwiek potrzeby własne. Jej umysł był zdyscyplinowany i uporządkowany - aż do momentu, gdy na horyzoncie pojawił się Brandt Madison.

Nie ma powodu zaprzeczać, że go pragnie? Że go potrzebuje? Od tego zależy całe jej życie.

- Wcale cię nie chcę! - parsknęła. - Nie potrzebuję cię, ty... ty...

- Próżny, zawsze zadowolony z siebie wilku? - podsunął Brandt, muskając jej usta.

- Ty płytki, zidiociały podrywaczu, ociekający... - Głos

Kelly zachwiał się, gdy dłoń Brandta ruszyła pewnie i celowo w kierunku jej łona. Niebiesko-czarna spódnica uniosła się do pól uda. Dłoń Brandta ślizgała się po gładkiej powierzchni pończoch i Kelly straciła poczucie rzeczywistości. Widok dużej dłoni i mocnych palców poruszających się w górę jej ud zamroczył ją.

- Przestań! - zdołała wyszeptać.

Brandt obciągnął jej spódnicę, tak że zakryła kolana.

- Widzisz? Nie musisz się mnie obawiać, Kelly. Nie mam zamiaru uczynić w miejscu publicznym nic, co wprawiłoby cię w zakłopotanie. Nie mam zamiaru - gdy będziemy sami - uczynić czegokolwiek, czego byś nie chciała.

Wygładził jej niebieską kamizelkę i poprawił kołnierzyk czarnej bluzki.

Jego humor przemieszany z podnieceniem sprawił, że poczuła się miękka i słaba. Gdy czubkiem języka dotknął koniuszka jej języka, poczuła wypełniającą ją gorącą falę. Jej ręce, jakby obdarzone własną wolą, objęły go za szyję. Nie mogła powstrzymać chęci przyciągnięcia jego głowy ku sobie i zasmakowania mocnego dotyku jego ust. Powieki nieznacznie ciążyły.

Brandt delikatnie gryzł jej wargi.

- Kelly - zaczął miękko. Ich oddechy mieszały się z sobą. - Tak dobrze trzymać cię w ramionach. Przez cały tydzień snułem fantastyczne wizje, w których trzymałem cię w ramionach. Kupiłem nawet bilety pierwszej klasy, ponieważ chciałem, byśmy czuli się swobodniej.

Jego usta dotknęły ją - delikatne, miękkie i zachęcające. Przymilając się nie pozwalał na żadne protesty, nie niepokoił i dawał oparcie. Pocałunek, który pozwalał kobiecie czuć się bezpiecznie i przytomnie do momentu, gdy kręciło się w głowie i było za późno na opór. Do momentu, gdy umysł zasnuwała mgła, a ciało poddawało się erotycznym wrażeniom i nic już się nie liczyło.

To był zbyt wyrafinowany pocałunek dla takiej nowicjuszki. Kelly poczuła się miękka jak z gumy i cudownie uległa.

- Pozwól mi się całować! - zażądał Brandt.

Wpatrywała się w niego rozszerzonymi i sennymi oczyma. Coś tu nie grało. Nawyrzucała mu, a gdy zaczął ją pieścić, ona nawet nie oponowała. A teraz żądał jeszcze więcej. Nie miała siły protestować.

- Brandt, ja...

Gdy tylko otworzyła usta, wsunął w nie swój zwinnie język. zagłębiając się w ciepłą wilgotność. Nie miała czym oddychać, całe powietrze uszło z jej płuc. Powieki opadły.

Jak błogo było utonąć w tak silnie nęcącym wirze namiętności! Czy nie było bezpiecznie poddawać się namiętnym pocałunkom w samolocie? W takim otoczeniu pocałunki mogły tylko pobudzać i kusić, ale nie mogły prowadzić do dalszych zażyłości. Czyż nie mogła w takiej sytuacji sprowadzić tego wszystkiego do poziomu wyłącznie fizycznego, uczucia pozostawiając bezpiecznie na boku?

Czytała, że dla dziewczycy necking jest jednym z najśłodszych i najbardziej podniecających doznań: rosnące pożądanie, pokusy i igranie z ogniem bez obawy o spalenie się. Nigdy nie oddawała się seksualnym rytuałom dorastania; była zbyt powściągliwa i przezorna, miała zbyt dużo zahamowań. Więc dlaczego nie miałyby się cieszyć z szansy doświadczenia przyjemności, których dotychczas była pozbawiona?

I wykorzystwała dobrze swą szansę... gorący, spragniony nacisk jego ust... sposób, w jaki uwodził ją jego język...dręczące ciepło jego dłoni, gdy znajdowały się całkiem blisko, odbierających oddech, ale nigdy właściwie nie dotykających tam, gdzie aż do bólu pragnęła być dotykana.

Czuła się podniecona, pożądana i bardzo kobieca. Zmysłowa i malutka w obliczu jego despotycznej męskości. I trochę więcej niż oszalała na jego punkcie.

Na razie była bezpieczna. Mimo oszołomienia słyszała wewnętrzny głos, ostrzegający ją przed głębszą zażyłością. Po prostu była sama zbyt długo, żeby nagle całkowicie zaufać komuś drugiemu, w dodatku - mężczyźnie. W tym samolocie nie będzie siedziała wiecznie, ostrzegał ją wyraźny głos dochodzący z głębi. Co się stanie, gdy znajdzie się na ziemi i Brandt będzie nalegał na podtrzymanie gry w „szczęśliwe małżeństwo”? Czy się na to zgodzi tylko dlatego, że teraz jest jej dobrze?

Nagle otworzyła oczy. Co on mówi? Wiedziała, że coś powiedział, po chwili uprzytomniła sobie sens jego słów: „Przez cały tydzień snułem fantastyczne wizje, w których trzymałem cię w ramionach. Kupiłem nawet bilet pierwszej klasy, ponieważ chciałem, żebyśmy czuli się swobodniej...”. Zamarła.

Zauważył to natychmiast. Była zdumiona tym, jak dokładnie wyczuwał najdrobniejsze zmiany w jej zachowaniu.

- Kelly? - Poczł, że zeszywniała. Odchylił się, by spojrzeć jej głęboko w oczy. I nie spodobało mu się to, co w nich zobaczył. Przezorność. Podejrzenia. Wrogość? - O co chodzi,

kochanie? - szepnął, a ona była gotowa natychmiast zamknąć oczy i przywrzeć do niego całym ciałem.

Ale nie mogła, po prostu nie mogła. On z premedytacją zaplanował uwiedzenie jej. Dla niego byłaby tylko przyjemnym urozmaiceniem życia, jedną z wielu, jakie miał od czasu śmierci żony. Ale dla niej...

Oczami wyobraźni widziała już to, co stałoby się, gdyby zdecydowała się na romans z Brandtem. Potrzebowałaby go tak bardzo, że nie mógłby tego znieść. Zostawiłby ją, a ona cierpiałaby, samotna i nie chciana.

Wróciły stare wspomnienia. Wspomnienia tak ponure i przejmujące, że niemalże rozdzierające duszę. Kelly wzdrygnęła się. Nauczyła się znosić porażki. I nie chciała się w nic angażować.

Usiadła tak gwałtownie, że Brandt nie zdążył się odsunąć i zderzyli się boleśnie głowami. Kelly zobaczyła wszystkie gwiazdy.

Brandt również.

- Jeżeli próbowałeś rozłupać mi czaszkę, udało ci się. - Krzywiąc się przyłożył rękę do pulsującego bólem czoła.

Kelly też dotkliwie czuła uderzenie, ale powstrzymała się od okazania tego. Była twarda i silna, fizycznie i psychicznie. Brandt Madison musi być tego świadom. Nie była słabiotką kobietką, dziewczynką marzącą o lizaku na patyku. Zrobiłaby wszystko, by go przekonać, że nie uda mu się jej uwieść.

- Jesteś tylko... beznadziejnym, apodyktycznym podrywaczem - syknęła.

Brandt opadł z jękiem na swoje siedzenie.

- Dość tych przymiotników! - Pulsowanie w jego głowie było niczym w porównaniu z pulsowaniem w zupełnie innym miejscu. Wszystko się skończyło - wspinać się na niebotyczne wyżyny przyjemności tylko po to, żeby zostać z nich strąconym. I w dodatku lądować na głowie!

Kelly spojrzała na Para de Leona. Wciąż ich obserwujący agent nie wysilił się nawet, żeby otworzyć kolorowy tygodnik spoczywający na jego kolanach. Czy zorientował się, o co chodziło? Od palców do czubka głowy przeszedł ją dreszcz.

- Nie dotykaj mnie, Madiosn! - szepnęła, czując powtórnie na sobie rękę Brandta. Była świadoma badawczego zaciekawienia Para de Leona i nie było jej łatwo mówić takie rzeczy z przyklejonym do twarzy uśmiechem, mającym go zmylić. - Masz trzymać ręce z dala ode mnie przez całą resztę wyprawy!

- Och, przestań, przecież chcesz, żebym nie trzymał ich z dala - cedził Brandt. - Jesteś spragniona ich dotyku, Kelly. Umierasz z tego pragnienia. Widać to nawet przez wszystkie te mury i bariery, które stawiasz. Chcesz mnie tak samo jak ja ciebie, ale jesteś zbyt przerażona, by to przyznać, nawet przed sobą.

- Nie!

- Tak, maleńka. Ale nie możesz walczyć ze mną i z sobą przez wieki. W końcu przyjdiesz do mnie, Kelly. A ja poczekam, aż będziesz tego pewna, ponieważ jestem niespotykanie cierpliwym człowiekiem.

- Mylisz się fatalnie, jeżeli sądzisz, że stanę się ofiarą zarozumiałego, prestigitatorskiego....

- Oho, znowu się zaczyna - przerwał jej błaznując. Zaczynij od razu od „egoistycznego, egomaniakalnego i nienasyconego insekta”.

Rozbawił ją tym. Jak można obrazić kogoś, kto się nie daje obrazić? Kto reaguje na zaczepki uśmiechem? Nic do niego nie docierało. Zawrzała gniewem.

- Jak nie przestaniesz mi dokuczać, to...

- To się przesiądziesz? - podsunął skwapliwie. - Może siądziesz koło Para de Leona?

- Może! - zerwała się na równe nogi. Zauważyła puste siedzenie obok agenta. Gdyby tylko Para de Leon tak bardzo nie przypominał łasicy. Albo fretki. Gdyby tylko jego nieruchomo utkwione spojrzenie nie przyprawiało ją o gęsią skórę!

Niechętnie popatrzyła na Brandta. Napotkała jego wzrok i uśmiech. Serce na moment przestało jej bić, a potem ruszyło ze wzmożoną siłą. Miał piękne usta... Samo przyglądanie się im przywoływało wspomnienia zmysłowej rozkoszy, jego ust na jej ustach, jego języka drążącego wewnątrz w jej buzi. Dotknęła swych ust. Czuła delikatne mrowienie, tak jak wtedy,

gdy on ich dotykał.

Nigdy żaden mężczyzna nie miał takiej władzy nad nią. „Brandt Madison jest niebezpieczny” - upominała siebie. Mógł ją sparaliżować samym spojrzeniem. Zawsze musi pamiętać, że jest przebiegły jak... jak łasica! Szkoda, że nie malowało się to na jego twarzy, tak jak w przypadku ich towarzysza.

- Przepraszam. - Głos jej drżał, była zmieszana.

Brandt posłał jej znaczący uśmiezek, był świadom siły, z jaką ją pobudzał. Kelly poszła do toalety, znajdującej się z przodu przedziału pierwszej klasy. Wyszła z niej po dłuższej chwili, gdy zaniepokojony jej długim pobytem za zamkniętymi drzwiami steward zaczął się do niej dobijać.

Brandt sączył drinka, chrupiąc orzeszki. Była mu wdzięczna, że nie dopytuje się o powód jej wydłużonej nieobecności.

- Napijesz się czegoś? - spytał. - Może wina?

- Nie, dziękuję. Po alkoholu robię się śpiąca. - Sięgnęła po czerwoną torbę pod siedzeniem.

- Wolę podszlifować mój hiszpański. - Wyjęta z torby kilka podręczników i przewodnik po Ameryce Południowej.

Brandt przyjrzał się jej uważnie.

- Uczyłaś się hiszpańskiego, przygotowując się do podróży? - Jej dokładność zrobiła na nim wrażenie. On nawet nie pomyślał, żeby nauczyć się chociaż najpotrzebniejszych zwrotów. Nie przyszło mu też do głowy, żeby kupić jakiś przewodnik, z którego dowiedziałby się, co warto zobaczyć w Avidzie. Wydało mu się, że Kelly podchodziła do ich wyprawy z niekłamany entuzjazmem.

- Uczyłam się przez dwa lata hiszpańskiego w szkole średniej, miałam też jakieś kursy na studiach.

Otworzyła rozmówki, zadowolona z faktu, że nie musi patrzeć na Brandta. Sądziła, że uspokoiła się, kiedy siedziała w toalecie, ale jego bliskość znów przyspieszała jej puls. Moc oddziaływania Brandta na jej zmysły była niesamowita. Szalona. Magiczna... „Z pogranicza czarnej magii” - poprawiła się. Potencjalnie destrukcyjna.

- Kiedyś nawet dość dobrze porozumiewałam się w tym języku - mówiła dalej, ponieważ musiała coś powiedzieć. Ciągłe patrzył na nią tymi swoimi złotymi oczami. Jego wzrok palił ją, robiło jej się gorąco, znowu czuła w całym ciele dreszcze pożądania. - Kiedyś myślałam, że przeniosę się na Florydę albo do Teksasu. Wtedy hiszpański na pewno by się przydał.

Wziął przewodnik i przerzucił kartki.

- Jaką skończyłaś uczelnię? - zapytał, aby podtrzymać rozmowę.

- Uniwersytet w Chicago. Studiowałam pięć i pół roku, bo pracowałam i musiałam jakoś pogodzić naukę z pracą, a czasami pracę z nauką.

- Z jaką pracą? - był ciekawy.

- Byłam kelnerką, później nianią, sprzątałam prywatne domy, pisałam na maszynie.

Roznosiłam też gazety. Nie chciałam być uzależniona od stypendiów. Nie chciałam mieć sterty długów, kiedy zakończę edukację.

Policzki Kelly zaróżowiły się. Zdawała sobie sprawę z tego, że paplała bez przerwy, żeby ukryć jego wpływ na nią, zdenerwowana jego bliskością.

- Utrzymywałaś się sama i skończyłaś studia bez żadnej pomocy rodziny? Godne podziwu.

- Bez zbędnych pochwał, proszę - przerwała mu. - Robiłam, co musiałam. Byłam na utrzymaniu stanu Illinois do osiemnastego roku życia i w końcu miałam tego dość. Postanowiłam sama zarobić na swoje utrzymanie.

- Gdzie są twoi rodzice. Kelly? - zapytał prosto z mostu.

Nie było to jej ulubione pytanie.

- Nie wiem. - Nie zdawała sobie sprawy z obronnego tonu swojego głosu.

Brandt przysunął się bliżej, zaintrygowany.

- Co o nich wiesz?

- Słuchaj Madison, nie zabawiaj się w detektywa. Zachowaj swoje pytania dla Para de Leona i Przyjaciół Dzieci. Z nikim nie rozmawiam o moich rodzicach. Należą do przeszłości i nie mają związku z moim obecnym życiem.

Łatwiej było zamknąć temat w ramy tabu niż przyznać, że nie wie się absolutnie nic o

człowieku, który ją spłodził i zniknął z życia jej i kobiety, która ją urodziła, a potem porzuciła w ciemnej, zalanej deszczem alei. Nie byli parą, z której można być dumnym, i - jak zwykle - myśl o nich przeszła ją bólem.

Brandt nie odzywał się, czekając, co Kelly powie dalej. Skrzywił się na cierpki i szorstki ton jej głosu. Doskonale zauważył jej surową pozę i nagły smutek, malujący się w jej pociemniałych oczach, gdy mówiła o przeszłości. Pomijając jej agresywne zapewnienia, wydało mu się, że jest bardzo mała i że łatwo ją zranić. Poczł przemożną chęć objęcia jej i ukojenia, bez żadnego seksualnego podtekstu.

On wyrastał w zwartej i wspierającej się nawzajem rodzinie. Trudno mu było wyobrazić sobie dzieciństwo bez poczucia bezpieczeństwa, jakie dają kochający rodzice. Kelly spędziła szesnaście lat, zmieniając domy jak rękawiczki, ale potrafiła jednak wykształcić swój mocny charakter, wyznaczyć sobie i osiągnąć cele, stać się nie spaczonym, dorosłym człowiekiem.

Nawet jej traumatyczny romans, który zaowocował nieślubnym dzieckiem, nie sprowadził jej z raz obranej drogi. Pozbierała się jakoś i żyła dalej. Umiała wyjść z każdej opresji, zawyrokował Brandt.

Zastanawiał się, dlaczego był dumny z jej siły. Kiedy rzucił na nią okiem, ogarnęła go fala czułości. Podziwiał ją, był z niej dumny. Wiedział już, że chce od niej więcej niż tylko nie zamierzone przez nią fizyczne pożądanie. Pragnął jej szacunku; chciał, żeby mu wierzyła, żeby go potrzebowała, żeby go lubiła.

Niestety - Kelly Malloy uznała, że jest płytki, apodyktyczny i beznadziejny. Bez przerwy obrzucała go epitetami. Dlaczego? Co zrobił, że zasłużył na taką opinię? Po krótkim przeanalizowaniu ich znajomości doszedł do wniosku, że Kelly nie włączyła z nim, tylko z siłą przyciągającą ją do niego. Jej wrogość była obroną, służyła do trzymania go na dystans. Na pierwszy rzut oka, Kelly Malloy, która umiała wyjść z każdej opresji - uniknęła urazów powodowanych dzieciństwem pozbawionym uczuć. Ale rysy w jej psychice, które musiały się przez to pojawić, były ukryte bardzo głęboko i niewidoczne na zewnątrz. Chyba, że ktoś przyjrzał się bliżej jej zachowaniu.

Kelly czuła, że na nią patrzy i spojrzała w jego kierunku. Ostrożne zielone oczy napotkały oczy złote i zamyślane. Rosło w niej podniecenie, które wstrząsało każdym nerwem jej ciała.

Brandt chrząknął.

- Chciałabyś coś bezalkoholowego do picia? - zapytał, gdyż wiedział, że nie odpowie na nic, co nie było przyziemne. - Zawołam stewardesę, żeby ci coś przyniosła.

Kelly zaskoczyło to niewinne pytanie. Podejrzewała, że będzie chciał się więcej dowiedzieć o jej nieznanach rodzicach, była całkowicie zdecydowana odmówić jakichkolwiek dalszych wyjaśnień. Ale byłoby niegrzecznie nie odpowiedzieć na uprzejmą propozycję.

- Dziękuję, napiłabym się piwa imbirowego.

Upewnił się, że dostanie je błyskawicznie. Potem zaoferował się, że przepytą ją z hiszpańskiego. Resztę lotu spędzili powtarzając hiszpańskie zwroty, ćwicząc poprawną wymowę i przepytując się ze słówek.

Alfredo Para de Leon najwyraźniej uznał, że nie warto się nimi dalej zajmować. Poprawił się na fotelu i otworzył swój tygodnik.

## 6

Kelly z przerażeniem wpatrywała się w podwójne łożo. Wydawało jej się, że zajmuje całą sypialnię. Oprócz łóżka był tam jeszcze tylko dywan, szafka nocna i wąska komoda.

- Nie będę tu z tobą spała! - syknęła, świadoma obecności nieodłącznego szpicla w pokoju po drugiej stronie korytarza. - Para de Leon powiedział, że będziemy mieli apartament. Co najmniej dwa pokoje! Jeden dla ciebie, drugi dla mnie.

Brandt zajrzał do małego pomieszczenia z tyłu sypialni. Było mniejsze niż standardowa garderoba. Wtłoczono w nie dwa niezbyt wygodne krzesła.

- Podejrzewam, że to jest salon naszego apartamentu - zauważył złośliwie. Łazienka była jeszcze mniejsza. - Cóż, nikt nie obiecywał, że Casa Carista będzie konkurował z hotelem Hilton w Avidzie.

Wylądowali w Avidzie dwie godziny temu. Para de Leon wepchnął ich do taksówki, która przywoziła ich do Casa Carista - małego hotelu, gdzie agencja Przyjaciół Dzieci zawsze umieszczała potencjalnych rodziców. „Ten, który ułatwi im wszystko” zajął się każdym

drobiazgiem, od zarejestrowania ich w recepcji, przez pokazanie im apartamentu (dokładnie naprzeciw swego własnego, po drugiej stronie korytarza), aż do dania napiwku młodemu chłopcu, który przyniósł ich bagaże. Kelly i Brandt nie byli ani przez chwilę sami, dopóki nie zamknęły się za nimi drzwi hotelowego pokoju. Patrzyli teraz na siebie, stojąc po przeciwnych stronach łóżka.

- Nie będę spała z tobą w tym samym łóżku! - powtórzyła gniewnie. Serce wyskakiwało jej z piersi na samą myśl o tym. - Powiedz Para de Leonowi, że musimy dostać drugi pokój.

- A jaki powód mam mu podać? Dlaczego szczęśliwe małżeństwo, które przyjechało adoptować dziecko, chce dostać osobne pokoje, Kelly?

- Powiedz mu, że chrapiesz i że nie mogę przez to spać. Powiedz mu, że ja lunatuję i że ty nie możesz przez to spać. Jesteś pisarzem, powinienes mieć wyobraźnię. Wymyśl cokolwiek, bo ja nie zostanę z tobą w tym pokoju.

Brandt powstrzymał westchnienie. Był zmęczony po długim locie. Ponadto podejrzewał, że położenie miasta na tej wysokości - ponad tysiąc sześćset metrów nad poziomem morza - przyczyniło się także do jego znużenia. Za to Kelly najwyraźniej czuła się doskonale. Błyszczały jej oczy, pełna energii przemierzała nerwowo pokój.

W sumie nie miał nic przeciwko dzieleniu z nią pokoju i łóżka. Ona wręcz przeciwnie. To spostrzeżenie rozkręciło go trochę.

- Kelly, musimy zostać razem w tym pokoju - wyjaśnił cierpliwie. - Nie ma żadnego sensownego powodu, żeby było inaczej.

- Co powiesz na to, że wołałabym raczej wyskoczyć z samolotu bez spadochronu niż spać z tobą w jednym łóżku?

Skrzywił się.

- Jak to leci u Szekspira? „Myślę, że pani zanadto protestuje?”

Spojrzała na niego groźnie.

- Ty byś powiedział to samo, nieprawdaż? Wierzysz głęboko, że nie można ci się oprzeć i że każda kobieta czeka tylko na skinienie twego palca, żeby wskoczyć ci do łóżka?!

Doskonale była świadoma faktu, że jeśli tak się stało, pewnie by się poddała. Wyobraźnia podsuwała jej obrazy ich obojga leżących nago, splecionych, dotykających się rękoma i ustami, smakujących, szukających... Gdyby te wizje budziły w niej odrazę! Mogłaby poprowadzić przeciwko niemu uwieńczoną sukcesem kampanię, gdyby obrzydzenie i strach dołączyły się do jej gniewu.

Ale obrazy te nie napawały jej odrazą ani strachem, za to kusily i dręczyły. Pragnęła go pomimo niebezpieczeństwa, jakie stanowił dla jej bezpiecznego, uporządkowanego życia.

Kelly spostrzegła swoje odbicie w lustrze w łazience. Miała rozplamioną twarz - nie tylko z powodu jawnego pogwałcenia jej zasad, było w niej jeszcze coś, czego nie umiała nazwać. - Podniecenie? Pobudzenie? Cokolwiek to było, bardzo ją denerwowało.

- Nie pójde z tobą do łóżka! - przysięgła, podnosząc głos.

- Ciii - ostrzegł Brandt - chyba nie chcesz, żeby Para De Leon i reszta obsługi hotelu usłyszała, jak się kłócimy.

- Nie obchodzi mnie, czy słyszą, czy nie! - odparła zaciętrzewiona, ale już znacznie ciszej.

W oczach Brandta malowało się rozbawienie.

- Och, Kelly. - Zaśmiał się grubym głosem i złapał ją za rękaw. - Uspokój się, kochanie. Nic się tu nie wydarzy, chyba że ty będziesz tego chciała. Doskonale o tym wiesz, i dlatego jesteś taka zażenowana, prawda? Ponieważ to ty chcesz...

- Zażenowana? - Kelly uwolniła swą rękę z jego uścisku. Jestem wściekła! I nie zamierzam tu z tobą zostać. Idę na dół do recepcji zażądać innego pokoju.

Brandt rozważał, czy jej na to pozwolić. Był przekonany, że jej prośba nie będzie spełniona, ponieważ nic w tym hotelu nie działo się bez zgody Caristy lub Para de Leona. Ufał, że Kelly ich nie zdradzi, nieważne, jak by była na niego wściekła.

Kelly porwała swą czerwoną torbę i ruszyła do drzwi.

- Powodzenia - rzucił za nią ironicznie. Postanowił, że nie będzie jej powstrzymywać. Prawdopodobnie nie zdawała sobie sprawy, że prowadzi walkę nie tylko z nim, ale także z własnymi pragnieniami. Chciał pozwolić jej wyjść z błędnego koła w sposób przez nią samą obrany.

- Zacznę się rozpakowywać, bo ja zamierzam pozostać w tym pokoju.  
Kelly zbiegła ze schodów. W okienku zobaczyła znużonego recepcjonistę, wpatrującego się bezmyślnie gdzieś w przestrzeń przed sobą. Zdeterminowana, podeszła do niego.  
- Czy jest tu jakaś wolna sypialnia?  
Zajął jej pięć minut przekonywanie go, że ona i jej mąż nie chcą zmienić pokoju, że ten, który dostali jest bez zarzutu, ale że ona chce dostać inny pokój. Dla siebie.  
- Nie zostanę w jednym pokoju z tym mężczyzną - krzyknęła żarliwie po hiszpańsku.  
Natychmiast wzbudziła zainteresowanie recepcjonisty.  
- Pokłóciła się pani z mężem? - przerzucił się na angielski z wymownym uśmiechem.  
Przytaknęła i dodała, że chce pokój tylko dla siebie.  
Recepcjonista wzruszył ramionami.  
- Przykro mi. Nic się nie da zrobić - chyba bardzo lubił to powiedzenie i powtórzył jej jeszcze raz: - Nic się nie da zrobić.  
- Dlaczego nie? - dopytywała się Kelly.  
- Nic się nie da zrobić - popatrzył na nią z cieniem męskiej wyższości. - Za chwilę będzie po kłótni. I będzie pani zadowolona, że dzieli pokój z mężem.  
To była doprowadzająca do szału męska solidarność. Kelly wrzała.  
Nie miała wątpliwości, że gdyby Brandt poprosił o pokój, nie usłyszałby, że „nic się nie da zrobić”.  
Potrząsnęła głową i gęste włosy opadły jej na ramiona. Recepcjonista popatrzył na nią z uznaniem. Kelly spojrzała na niego z niesmakiem.  
- Idę na spacer - oznajmiła i pomaszerowała do drzwi. Postanowiła, że nie zniży się do wejścia z powrotem na górę do Brandta i tego pokoju, który zmuszona była z nim dzielić. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Brandt wcale nie zajął się rozpakowywaniem walizki. Usiadł na łóżku i czekał na powrót Kelly. Postanowił, że nie wspomni o ich kłótni ani słowem. Zaproponuje, żeby wyszli gdzieś na obiad i poprosi ją, żeby wybrała którąś z restauracji spośród rekomendowanych w przewodniku. Zadowolony z ułożonego przez siebie planu wyciągnął się wygodnie i czekał.

Po chwili zaczęło mu się nudzić i zdecydował, że sam sprawdzi listę restauracji. Przypomniał sobie, że przewodnik został w czerwonej torbie Kelly, którą wybiegając jak burza, zabrała z sobą. Spojrzał na zegarek. Minęło już dwadzieścia minut. Postanowił zejść na dół i zobaczyć, jak Kelly radzi sobie ze swą podręcznikową hiszpańszczyzną i targuje się o pokój z recepcjonistą, mówiącym łamaną angielszczyzną. To musi być niezłe widowisko.

Uśmiechając się szedł do holu. Nie wiedział, że jest śledzony, dopóki nie zobaczył Para de Leona, stojącego tuż obok niego przy recepcji.

- Słyszałem jak wychodził pan z pokoju. Czy życzy pan sobie czegoś? - zapytał zaniepokojony agent.

Kelly tam nie było. Uśmiech Brandta przerodził się w grymas niezadowolenia. Zwrócił się do recepcjonisty.

- Moja... moja żona zeszła tu jakiś czas temu.

- Nie słyszałem, jak wychodziła z pokoju - wtrącił się Para de Leon.

Brandt rozzłościł się naprawdę. Nie przykładał zbyt wielkiej wagi do faktu, że każdy krok był śledzony.

- Ale jednak wyszła - warknął. - Zeszła do recepcji.

Recepcjonista skrzywił się.

- Tak, była tutaj. Wściekła jak diabli. - To powiedzonko też mu się wyraźnie podobało, więc je powtórzył: - Wściekła jak diabli.

- Naprawdę? - dopytywał Para de Leon.

Recepcjonista skinął głową.

- Prosiła o inny pokój. Powiedziałem jej, że nic się nie da zrobić. - Uśmiechnął się do Brandta. - Nic się nie da zrobić - dodał z upodobaniem.

Ciemne brwi Para de Leona uniosły się.

- Prosiła o inny pokój? - Popatrzył na Brandta. - Dlaczego?

Brandt powstrzymał westchnięcie i przyrzekł sobie, że skręci Kelly kark za wrobiecie ich w

tę kabałę. Jeżeli istniał jakiś pewny sposób wzbudzenia podejrzeń Para de Leona co do ich małżeńskiego szczęścia, to ona realizowała go doskonale.

- Mieliśmy drobną utarczkę - wyjaśnił. Nie było w tym cienia kłamstwa.

- Mówiła, że nie chce dzielić pokoju z tym mężczyzną. - Recepcjonista okazał się bardzo pomocy.

Brandt popatrzył na niego z wyrzutem.

- Tak, tak mówiła. Moja żona jest bardzo wrażliwa i... impulsywna - dodał, wzruszając ramionami.

- Ma niedobry charakter. - Para de Leon przetransponował słowa Brandta, wyrażając męskie współczucie.

Brandt westchnął.

- Jest... hmm... bardzo zawzięta.

- Kobiety! - mruknął Para de Leon.

Recepcjonista pokiwał głową, podkreślając męską solidarność.

- Była wściekła jak diabli, gdy powiedziałem jej, że nie ma dla niej pokoju. Potem wyszła.

- Co? - krzyknęli razem Brandt i Para de Leon.

- Poszła na spacer.

- Spacer? Ale przecież ona w ogóle nie zna miasta - wykrzyknął Brandt. - Może się zgubić. Nie ma żadnych pesos. Wymieniłem dolary na lotnisku, ale jeszcze nie zdążyłem jej dać meksykańskich pieniędzy.

Troska przezwyciężyła wzbierający w nim gniew. Kelly nie było już od pół godziny.

- Czy w mieście są jakieś niebezpieczne dzielnice? - zwrócił się do Para De Leona. Głupie pytanie. W każdym dużym mieście były niebezpieczne dzielnice. Nie chciał nawet myśleć o tym, że Kelly mogłaby znaleźć się w jednej z nich.

Agent zmarszczył brwi.

- Nie najsmardziej jest spacerować na południe do Bolivar Circle. Roi się tam od gangów kieszonkoców i złodziejasków. Trzeba też uważać w kolejce linowej i na jej stacji u podnóża Mansambra Peak. Poza tym są tu slumsy. - Uśmiechnął się nieznacznie. - Nie sędzę, żeby pana żona tam zawędrowała, senior Madison. Prawdopodobnie ogląda sklepy, z pewnością wkrótce się tym zmęczy i wróci do hotelu. Będziemy na nią czekać. - Rozsiadł się w fotelu. - Przynies mi kawy - rozkazał przyglądającemu im się młodemu chłopcu. - I jakieś gazety. Amerykańskie gazety - dodał, patrząc na Madisona.

Brandt usiadł w drugim fotelu. Nie mógł zrobić nic innego, mógł tylko cierpliwie czekać na Kelly. A kiedy wróci... - Zmarszczył brwi, a na jego twarzy pojawił się niepokój.

Kelly ruszyła w kierunku centrum. Przyglądała się leżącym na sklepowych wystawach wyrobom ze skóry, biżuterii i ręcznie tkanym materiałom. Jej wzrok przyciągały zwłaszcza kolorowe, wełniane poncza. Może kupi sobie jedno przed wyjazdem z Avidy - byłaby to oryginalna i praktyczna pamiątka z tej wycieczki.

Lecz dziś była zbyt zdenerwowana, aby w pełni rozkoszować się atrakcjami miasta. Była wściekła na Brandta za zamiar wciągnięcia jej do łóżka podstępem. Była wściekła także na siebie - zarówno za to, że pragnęła Brandta, jak i za to, że nie umiała sobie z nim poradzić. Jeżeli da się ponieść emocjom, da mu tym samym do ręki broń, którą będzie mógł ją głęboko zranić.

Nigdy! - powiedziała na głos. Wiedziała, co to znaczy być zranioną, i nie chciała czuć się tak znowu. Znalazła sposób na życie bez tego bólu i nie zamierzała dla kilku dreszczy rozkoszy ryzykować utraty z trudem wypracowanego spokoju ducha.

W niepojęty sposób wykształcił się w niej naiwny sentymentalizm, który łącząc nierozzerwalnie seks z miłością, wiązał jej ręce wbrew jej nowoczesnym poglądom. A ponieważ wiedziała, że nie odwzajemniona miłość powodowała ból, żeby go uniknąć - musiała unikać seksu. Wydawało się to tak logiczne, kiedy szła ulicami Avidy, zastanawiając się na tym. Dlaczego wszystko komplikowało się niemiłosiernie, gdy tylko Brandt Madison popatrzył jej w oczy?

Dzielnica handlowa była otoczona wieloma okazałymi budowlami, odwiedzanymi przez turystów i mieszkańców Avidy. Muzeum Narodowe, arena walki byków. Narodowa Galeria



Sztuki i inne atrakcje spowodowały, że gniew Kelly i jej dotychczasowe przemyślenia ustąpiły miejsca zainteresowaniu otaczającą ją rzeczywistością. Była w obcym mieście, w obcym kraju, na obcym kontynencie i powinna to wykorzystać. Powędrowała więc dalej i w końcu stanęła przed stacją kolejki linowej. Kolejka łączyła miasto z szczytem Monsambry. Zdecydowała się pojechać na górę.

Miała właśnie wejść do budynku stacji, gdy zauważyła grupę bacznie jej się przyglądających, obdartych dzieciaków. Stały niedaleko ze wzrokiem utkwionym w jej czerwonej torbie. Kelly wspomniała o ostrzeżeniu przewodnika o kieszonkowcach i złodziejaskach, napadających na niczego nie spodziewających się turystów.

Do tej pory nawet nie pomyślała o swoim bezpieczeństwie. Po Chicago chodziła sama od początku szkoły. Ale wiedziała, co się święci: na zewnątrz budynku było pusto, a gang podchodził coraz bliżej.

Najmłodszy z nich, mały, czarnooki, bosy chłopiec nie mógł mieć więcej niż pięć, sześć lat. Zauważyła, że pomimo niskiej temperatury żadne z dzieci nie miało butów. Choć było kalendarzowe lato położenie miast na dużej wysokości wykluczało prawdziwe ciepło. Klimat bardziej przypominał wiosnę. Nie było tak gorąco, żeby chodzić bez butów.

Obawy Kelly rozwiały się tak szybko, jak się pojawiły. Czuła pewien rodzaj pokrewieństwa z tymi dziećmi: ona też została znaleziona właśnie na ulicy.

- Hola - zawołała do nich po hiszpańsku. Dzieci stały nieruchomo, zdziwione tym pozdrowieniem. - Szukam kogoś - ciągnęła posługując się poprawną hiszpańszczyzną. - Możecie mi pomóc?

Dzieci podeszły bliżej. Było ich siedmioro. Co zrobić, żeby okazać im dobrą wolę i sympatię? Zastanawiała się przez chwilę i wpadła na pewien pomysł. Sięgnęła do torby i wyjęła mały aparat fotograficzny.

- Chciałam wam zrobić zdjęcie - wyjaśniła. Dzieci wpatrywały się w nią z zaciekawieniem, ale i lekką podejrzliwością. - Chciałabym mieć zdjęcie ludzi mieszkających w Avidzie. - Uśmiechnęła się do nich. - Możecie mi pozować?

Jako że sama nieczęsto była fotografowana, rozumiała, że propozycję nie sposób było odrzucić. Wypieszczone dzieci kochających rodziców traktowały fotografowanie jako rzecz zupełnie normalną; te, które nie miały nikogo, kto chciałby uwiecznić je na kliszy - były uszczęśliwione samym pomysłem.

Nie wymyśliła tego najgorzej. W jednej sekundzie otoczyły ją śmiejące się i pokrzykujące, a później zdziwione, kiedy aparat wywołał i wyrzucił zdjęcie.

Kelly zrobiła osiem odbitek, dając po jednej każdemu dziecku i zostawiając sobie ostatnią. Lody zostały przełamane. Każde dziecko przedstawiło się. Było wśród nich sześciu chłopców i jedna dziewięcioletnia dziewczynka - Marisol. Kelly opowiedziała im swą zmyśloną małżeńską historię i podała powód, dla którego znalazła się w Avidzie. Zabrała ich wszystkich kolejką na górę Mansambra i cieszyła się ich szczerymi reakcjami. Jechali kolejką po raz pierwszy, choć spędzali mnóstwo czasu w okolicach stacji. Wiedziała, szukali kieszeni do obrobienia i portfeli do wyjęcia. Za pieniądze wymienione wcześniej w przypadkowo napotkanym banku kupiła na górnej stacji soki owocowe i słodycze.

Robiło się już ciemno, kiedy zjechali na dół. Kelly spojrzała na zegarek.

- Chyba powinnam wracać do hotelu. - Miała długą drogę powrotną przed sobą. Kręciło się jej lekko w głowie. - Nie wiecie, gdzie mogę złapać taksówkę? - spytała, nagle zbyt zmęczona, by wracać na piechotę. Nadmiar energii, który umożliwił jej dotarcie tak daleko, zniknął bezpowrotnie.

Jeden ze starszych chłopców, Juan, troskliwie podprowadził ją do ławki i kazał na niej spocząć. Później, wraz z innym chłopcem pobiegł gdzieś i wrócił po chwili z taksówką.

- Gracias. Dziękuję wam bardzo. - Uśmiechnęła się i sięgnęła do torby. - Mam zamiar zapłacić wam za pozowanie.

Dzieci zrobiły wielkie oczy, gdy wyjęła pesos. Podała je Juanowi.

- Podzieliś je między wszystkich, dobrze, Juan?

Potaknął, zaskoczony.

- Seniorita Kelly, proszę wrócić jutro - rozczulił się najmłodszy, Diego.

Uścisnęła go. Kochała dzieci i czuła się związana z tymi obdartusami. Chciała zobaczyć ich

jeszcze raz.

- Jutro o pierwszej - obiecała. Odjeżdżała pośród chóru żegnających ją głosów.

Taksówkarz był niezwykle uprzejmy. Podejrzewała, że nieźle przepłaciła, lecz była zbyt zmęczona, by targować się o cenę. Zegarek pokazywał prawie ósmą, była głodna i zmęczona, zaczynała boleć ją głowa. Pragnęła znaleźć się jak najszybciej w Casa Carista. W pokoju... który dzieliła z Brandtem. Była tak wyczerpana, że nawet ta myśl nie była w stanie nią wstrząsnąć. Rozwiąże ten problem później. Czuła dotkliwy ból głowy, prawie zawroty. To z głodu, pomyślała. Musiała coś zjeść.

Z trudem weszła do hotelowego holu, zastanawiając się, czy możliwe będzie zamówienie jedzenia do pokoju. Była zupełnie nie przygotowana na czekające ją powitanie.

- Jest wreszcie! - zawołał Para de Leon, zrywając się na równe nogi i zrzucając plik gazet na podłogę.

Recepcjonista - ten sam, który nie chciał dać jej pokoju - wyskoczył zza kontuaru i krzychał coś po hiszpańsku.

- Kelly! - Kiedy wpatrywała się w osłupieniu w Para de Leona i recepcjonistę, nagle, jakby spod ziemi, pojawił się Brandt i złapał ją w ramiona.

- Dzięki Bogu, nic ci się nie stało! - Zwrócił się do recepcjonisty. - Proszę zawiadomić ambasadę i policję, że pani Madison szczęśliwie wróciła. - Pijane oczy zmierzyły ją przenikliwie.

- Wszystko w porządku, Kelly? Nic ci się nie stało?

Próbowała oswobodzić się ze stalowych dłoni.

- Oczywiście, że nic mi się nie stało. Poszłam na spacer i zwiedzałam miasto. Dlaczego coś mogłoby być nie w porządku?

Brandt zacisnął palce jeszcze mocniej.

- Nie było cię przez prawie cztery godziny! Nie mieliśmy pojęcia, gdzie się podziewasz! Dzwoniliśmy właśnie do ambasady amerykańskiej, czy czasem nie zgłosiłaś się do nich. Powiadomiliśmy policję, że się zgubiłaś.

- Zgubiłam? Wcale się nie zgubiłam. Spędziłam czas bardzo przyjemnie. Pojechałam kolejką na Monsambre i...

- Pani tam pojechała! - przerwał jej Para de Leon. - To niebezpieczne miejsce dla samotnych kobiet. Zresztą dla każdego turysty. Grasują tam bandy kryminalistów, czekających tylko na takie osoby jak pani.

Czy to Para de Leon zaszczerpił w głowie Brandta to absurdalne przekonanie? Ich szpicel z pewnością był rozdrażniony, że mu się wymknęła. Kelly przeszła go lodowatym spojrzeniem.

- Wszyscy, których spotkałam, byli pomocni i uprzejmi. Pomyślała o swych młodych przyjaciółach, ich radość ze zdjęć, przejażdżki kolejką i smakołyków na górze. - Avida to urocze miasto - dodała uśmiechając się.

- Urocze miasto? - powtórzył za nią Brandt. Coś w nim pękło. Był chory ze zmartwienia, wyobrażając ją sobie jako ofiarę tysiąca napaści, zbyt zdenerwowany, żeby później ujrzyć ją wchodzącą do holu i oznajmującą beztrzesko, że uganiała się radośnie po tym „uroczym mieście”.

Przez ostatnie cztery godziny odgrywał szalejącego męża i wczuł się w tę rolę znakomicie. Zapomniał, że Kelly nie była jego wrażliwą i impulsywną żoną. Przez chwilę stał się prymitywnym samcem, zagrożonym utratą swojej samicy.

- Pójdiesz ze mną! - pociągnął ją w stronę schodów. - Natychmiast!

Kelly próbowała mu się wyrwać. Nie rozumiała dramatyzmu sytuacji; nie uważała się za zaginioną. Miała coraz silniejsze zawroty głowy, ale odezwał się jej zaczepny charakter:

- Nie pójdę z tobą! Ani nie będę dzielić z tobą tego pokoju.

Para de Leon i recepcjonista wykrzykiwali coś histerycznie. Krzyczeli zbyt szybko, żeby Kelly mogła wszystko zrozumieć, udało jej się tylko wyłapać kilka oderwanych zwrotów: „traktować kobietę”, „pokazać, kto jest panem”. Brandt mógł nie rozumieć hiszpańskiego, ale ona nie miała wątpliwości, że przez ostatnie cztery godziny indoktrynowali go, wpajając zasady machismo.

Kelly rozzłościła się.

- Nie będę tak traktowana ani pouczana przez nikogo! - powiedziała to po angielsku i hiszpańsku, żeby wszyscy trzej zrozumieli ją dokładnie. - I nie idę do tego pokoju. Idę... idę na obiad. Jestem głodna!

- Jesteś głodna! - ryknął Brandt. - Nie byłem w stanie pomyśleć, nawet o jedzeniu przez te godziny. Umierałem ze zmartwienia, widząc cię ranną, leżącą w jakiejś plugawej norze. Bóg wie gdzie... - Głos mu się załamał. - A ty wchodzisz sobie, jak gdyby nigdy nic, i myślisz tylko o jedzeniu.

- Naoglądałaś się za dużo filmów sensacyjnych, Brandt. - Kelly roześmiała się. „Plugawa nora” była jakby żywcem wzięta z mrocznego, sensacyjnego kina, które w żaden sposób nie przypominało tak przyjemnie spędzonego przez nią czasu. - Bawiłam się doskonale. Nie powinieś dać się ponosić swej wybujałej wyobraźni.

Brandt odburknął coś cicho. To była kropla przepełniająca kielich! Protekcyjny humor u osoby, która naraziła go na tortury jego wyobraźni. Przerzucił dziewczynę przez ramię chwytem strażackim i zaczął wchodzić po schodach. Pochwały Para de Leona i recepcjonisty odbijały się echem, mieszając się z pełnymi oburzenia okrzykami Kelly.

Wszedł do malej sypialni, zamknął drzwi na klucz i bezceremonialnie rzucił ją na łóżko. Jeżeli przedtem nie czuła się najlepiej, teraz niesienie do góry nogami znacznie pogorszyło jej stan. Ukłękła jednak, obciągając spódnice.

- Jestem... - zdążyła powiedzieć tylko tyle.

- Nic nie mów. Usiłuję zdecydować, czy potrząsnąć tobą, czy wlać ci, czy też cię zamordować, i wszystko co powiesz, może być użyte przeciwko tobie.

- Nic mi nie zrobisz! - Miała już nudności, bardzo trudno jej było wytrwać. - Jestem wolnym człowiekiem. Mogę chodzić gdzie mi się podoba. Wystarczy jeden pies strzegący mnie w czasie tej podróży, nie oczekuj, żebym była wdzięczna drugiemu!

Zeszła z łóżka, przewiesiła torbę przez ramię i pogładziła włosy. Podejrzewała, że musi wyglądać okropnie: potargana, z rozmazanym makijażem, w niemiłosiernie pomiętym ubraniu. Opanowało ją nagle straszliwe znużenie. Ostatkiem sił podeszła do drzwi. Jeśli nie zje czegoś natychmiast, umrze z głodu!

- Czy w tym hotelu jest jadalnia? Jeżeli tak, idę tam coś zjeść. Jeśli nie, wychodzę na obiad do miasta. I nie próbuj mnie zatrzymać!

Brandt przypatrywał się jej. Gniew wypalał się w nim w miarę powrotu racjonalnego myślenia. Był psychicznie wykończony. Otarł czoło ręką i na moment zamknął oczy.

- Nie idź, Kelly - powiedział zmęczonym głosem. - Myślałem... chciałem... próbowałem... - przerwał z westchnieniem. - Mam nadzieję, że jesteś zadowolona. Chyba gadam bez sensu...

Kelly nie odpowiedziała, zaskoczona jego widocznym wyczerpaniem. Miał podkrążone oczy. Był chory ze zmartwienia o nią? Dotarło do niej znaczenie tych słów. Nie mógł jeść, bo się o nią bał? Przełknęła nerwowo ślinę. I wzięła głęboki oddech.

- Przepraszam, jeżeli byłam przyczyną zmartwienia. - Szukał jej oczu, więc natychmiast wbiła wzrok w spłowiały dywan leżący na podłodze. Wpatrywała się w kolorowe wzory tak intensywnie, jakby uczyła się ich na pamięć.

- Nie przypuszczałam, że możesz się niepokoić. Przyzwyczajona jestem do spacerów w pojedynkę. Po Chicago zawsze chodzę sama.

- Teraz nie jesteś w Chicago. - Uśmiechnął się lekko. - Masz przewrażliwionego męża.

- Zapamiętam. - Próbowała odwzajemnić uśmiech. Znowu poczuła się niedobrze. Oparła się o poręcz łóżka.

- Kelly? - Brandt był przy niej w jednej chwili. Podtrzymał ją. - Kelly, zrobiłaś się całkiem biała.

- Jesteś pewien, że nie zielona? - usiłowała dowcipkować. Zauważyła troskę w jego oczach.

- Brandt, czuję się okropnie - wyznała. - Poczułam się dziwnie, gdy wysiadłam z kolejki, ale robi się coraz gorzej.

Doprowadził ją do łóżka i pomógł usiąść. Położyła się od razu i zamknęła oczy. Pokój wirował. Było jej niedobrze, żołądek podchodził do gardła.

- Kelly, idę prosić Para de Leona, by wezwał doktora. - Głos Brandta przebijał się przez łoskot, jaki czuła w głowie.

- Lepiej zawołaj księdza. Umieram - jęknęła, nie otwierając oczu. - Trzymaj się ode mnie z daleka. To może być zaraźliwe.

- Kelly, idę wezwać pomoc! - Nie widziała przerażenia na jego twarzy i była zbyt chora, by usłyszeć niepokój w jego głosie. - Zaraz wracam, kochana.

Wybiegł z sypialni. Para de Leon wciąż był w holu. Rozmawiał z młodą kobietą w obcisłej czerwonej mini sukience i niesamowicie wysokich szpilkach. Była bardzo mocno umalowana i wyperfumowana.

- Kelly nie czuje się dobrze! - krzyknął i opisał objawy. - Potrzebny jest doktor.

- To pewnie soroche, choroba górską - odparł Para de Leon z przekonaniem. - Za dużo dziś chodziła. To zbyt duży wysiłek, poza tym nie jest przyzwyczajona do tej wysokości. Sporo turystów na to choruje. To nic poważnego.

- Mam zadowolić się pana diagnozą? Nie jest pan lekarzem! - Brandt spojrział na niego groźnie.

- Proszę zamówić matę de coca... - ciągnął Para de Leon, ciągle patrząc na swą towarzyszkę. Brandt zaczął się denerwować. Miał stać spokojnie i patrzeć, jak Para de Leon łączył oczy do awidańskiej dziwki, i w tym samym czasie snuje hipotezy na temat stanu Kelly?

... To herbata z liści koki. Bardzo skuteczna w leczeniu objawów soroche - mówił dalej agent, małymi oczkami świdrując wydatny biust kobiety. Mruknął coś po hiszpańsku i kobieta skinęła głową, uśmiechając się przy tym.

Brandt zacisnął pięści. Kelly leżała na gorze, chora. A jeżeli to było coś poważnego? Czyba jej nie straci?

Odegnął od siebie tę myśl. Nie, tak się nie stanie. Nie pozwoli na to. Stracił już Michele. Nie może jeszcze stracić Kelly. Z błyskiem w oku złapał Para de Leona za koszulę i podniósł przerażonego do góry.

- Zadzwoń pan w tej chwili po doktora. Lepiej, żeby był tu za dziesięć minut. Zrozumiał pan? Bo jeśli go nie będzie, to pan tego pożałuje, senor. Bardzo pożałuje. Zrozumiano?

Para de Leon zapłonał ze wstydu.

- Tak, oczywiście, Senor Madison. Niepotrzebnie się pan denerwuje, Senor Madison. Żona wkrótce poczuje się lepiej. Zaraz wezwę lekarza.

Dziwka patrzyła na Brandta z podziwem. Zignorował ją i pospieszył na górę. Kelly leżała na łóżku z zamkniętymi oczyma.

- Doktor niedługo tu będzie - powiedział cicho i usiadł przy niej. Wziął jej rękę. Była lodowato zimna, więc ogrzewał ją dotykiem swych dłoni. - Wszystko będzie dobrze - dodał uspakajająco. Sięgnął po jej drugą rękę.

Kelly otworzyła oczy. Całe jej ciało pokrył pot. Nie pamiętała, by kiedykolwiek czuła się tak słaba i bezsilna.

- Jestem tu obok, gdybyś mnie potrzebowała.

Gdyby go potrzebowała... Słowa te brzmiały donośnie w jej skołatanej głowie. Nie potrzebowała nikogo. Ale to miło, że był obok. Jej obrona przed nim załamała się. Przyjemnie było to słyszeć. Przyjemnie było mieć go koło siebie.

Lekarz potwierdził diagnozę Para de Leona. Kazał jej odpoczywać i zalecił niewielką dietę. Zapisał także tabletki od bólu głowy i herbatę z liści koki.

- Doktor powiedział, że jutro poczujesz się lepiej - oznajmił Brandt po jego wyjściu.

- Już się czuję lepiej. Leżenie pomaga, dopóki się nie poruszam. Brandt, czy ta herbata, którą mam pić, ta robiona z liści koki - czy to z tego robi się kokainę?

- Boisz się, że cię oszołomi i że to wykorzystam? - zakpił. Bładość jej twarzy zniknęła powoli i cieszyło go, że patrzy na niego jakby rozgniewana. Rzeczywiście czuła się lepiej; nie było to nic poważnego i powinno się szybko zakończyć. Nagle uświadomił sobie, jak bardzo mu na niej zależy. Wstrząsnęło nim, że stało się to tak szybko. Nie miał czasu tego przewidzieć. Przyciągała go. Intrygowała. Podniecała. Ale do tej pory nie zdawał sobie sprawy z tego, że się w niej zakochał.

- Nie jestem taka bezsilna - odparła Kelly. - I będę całkowicie bezpieczna, dzieląc to łóżko z tobą dziś w nocy, ponieważ soroche wyposażyło mnie znakomicie przeciw wszelkiego rodzaju rozpustnikom. Jeżeli tylko podniosę głowę z poduszki, zarzygam natychmiast całe

łóżko.

- To, oczywiście, powstrzyma każdego rozpustnika - odparł oschle. Tak oschle, że ją tym rozbawił.

Zaraz jednak skrzywiła się.

- Nie roźmieszaj mnie. Okropnie boli mnie głowa. - Przyłożyła palce do tętniących skroni.

Brandt znów się zaniepokoił.

- Doktor zostawił tabletki od bólu głowy. - Przyniósł dwie niebieskie pigułki i wodę do popicia. Udało jej się przełknąć je na leżąc. Ciągle czuła się niepewnie i bała się nawrotu nudności, gdyby usiadła.

Chłopiec hotelowy przyniósł matę de coca. Brandt zamówił ponadto kanapki z kurczakiem dla obojga. Pomógł Kelly wypić herbatę przez słomkę, a potem ją nakarmił.

Wypicie herbaty i zażycie tabletek przyprawiło ją o senność. Ziewnęła. Trudno było powstrzymać opadanie powiek. Ale kiedy poczuła dłonie Brandta na pasku swojej spódnicy, spojrzała na niego zaniepokojona.

Brandt prawie się roześmiał.

- Nic się nie bój kochanie, nigdy w życiu nie byłaś bardziej bezpieczna. Twoja obawa przed zwróceniem obiadu jest bardzo sugestywna. Chcę tylko rozpiąć kilka guzików, żeby ci było wygodniej.

- Och. - Kelly ponownie zamknęła oczy, uspokojona całkowicie. Było jej ciepło, czuła się cudownie rozmarzona, tak jakby odpływała na dryfującej wysoko po niebie chmurze.

- Moja koszula nocna jest w walizce - oznajmiła sennie. Zapomniała o skromności i ostrożności. Chciała żeby jej było wygodnie, a wygodniej było spać w koszuli niż w ubraniu.

Brandt znalazł koszulę, białą, z miękkiej bawełny, z kwadratowym dekoltem i szerokimi rękawami. Bardzo się starał tak po prostu zdjąć Kelly spódnice, sweter i bluzkę. Ale ręce mu się trzęsły, a ciało męźniało w odpowiedzi na jej uległość.

Przyglądał się jej, kiedy leżała na łóżku z zamkniętymi oczami i piersią falującą w rytm równego, spokojnego oddechu. Kształt jej biustu pod koronkową halką hipnotyzował go. Spod halki prześwitywał skąpy biustonosz i kuse, białe majteczki.

Brandt przełknął ślinę. Jej piersi miały śliczny kształt, niemalże nie mieściły się w cienkim, przezroczystym staniku. Przypomniawszy sobie, jak idealnie pasowały do jego dłoni. Dreszcz wstrząsnął całym jego ciałem. Nie mógł oderwać od niej oczu. Kusila go jej delikatna szyja, jej wąska talia i szczupłe, pięknie wyrzeźbione biodra i uda.

Zdawał sobie sprawę z tego, że się poci, choć w pokoju wcale nie było ciepło. Czy odważyłby się dotknąć jej jeszcze raz? Czy powinien dokończyć jej rozbierania, czy włożyć koszulę przez głowę już teraz? Kelly zdecydowała za niego.

- Pospiesz się - mruknęła, senna i niecierpliwa. Podniosła w górę ręce, żeby ułatwić mu ściągnięcie halki.

Brandt wziął głęboki oddech i ściągnął ją, potem znów zaczerpnął powietrza i zdjął cienkie rajstopy, odsłaniając jej zgrabne nogi. Kelly wyciągnęła się i uśmiechnęła. Brandtowi zaschło w gardle. Jego ciało tężało z podniecenia. „Opanuj się, Madison - ostrzegał się. - Była chora, a teraz jest pod działaniem pigułek i herbaty. Tylko egoistyczny, egomaniakalny, nie zaspokojony insekt mógłby wykorzystać kobietę w takim stanie.”

Uśmiechnął się na wspomnienie tych słów. Wyobraził sobie Kelly ciskającą w niego te obelgi, z pałającymi oczyma, bystrą i szybką. Chciał, by była właśnie taka, kiedy będą się kochali po raz pierwszy, pełna ognia i namiętności, tak samo jak on napięta i wypełniona pożądaniem.

Zdecydowanym ruchem zsunął ramiączka jej stanika i rozpiął go. Śpiąca dziewczyna stanowiła wielką pokusę i zadrzał na myśl o tym, że pewnego dnia posiadzie tę powabną, delikatną kusicielkę.

Ale jeszcze nie teraz. Kelly ufała, że zaopiekuje się nią, a to wykluczało kochanie się, obojętnie jak bardzo tego pragnął. Przyjdzie czas i na to. Kelly może jeszcze tego nie wiedzieć, ale należała już do niego.

Ostrożnie zdjął stanik i naciągnął koszulę. Nagle uderzył go jej dziewiczy wygląd. Za bardzo fantazjuje. Przecież przyznała się, że urodziła dziecko...

Dlaczego wciąż do tego wracał? Była to część zagadki, którą stanowiła Kelly. Nie mogła

rozmawiać z nim o swoich rodzicach, a bez żenady opowiadała o swoim romansie i porzuconym dziecku.

Zmarszczył brwi. Kiedy westchnęła i przekręciła się na bok wyglądała jak niewinne i kruche dziecko. Pragnął jej całej: jej miłości i zaufania tak samo jak jej ciała. Uważnie ją nakrył i nachylił się, by pocałować ją w policzek.

Kelly leżała, pograżona w spokojnym półśnie. Przebywanie pod czyjąś opieką stanowiło luksus i delectowała się nim w pełni. Dziwne, jak szybko złe samopoczucie czyniło człowieka zależnym i potrzebującym...

Usłyszała szmer wody w łazience. Wiedziała, że Brandt brał prysznic. Nakarmił ją i przebrał, położył do łóżka i pocałował na dobranoc. Opiekował się nią jak dzieckiem, a jej - tak silnej, niezależnej i samowystarczalnej - sprawiało to ogromną przyjemność!

Myśl ta raniła ją. Nie powinna była na to Brandtowi pozwolić; nie mogła oddać nawet najmniejszej części swej niezależności, bo będzie jej potrzebowała, kiedy Brandt ją opuści. Co do tego, że ją opuści nie miała wątpliwości. Brakowało jej tego, co podtrzymuje w innych miłość. Zdołała zatrzymać przy sobie matkę tylko przez dwa lata, potem już nikogo nawet tak długo. Jak ktoś taki jak ona, mógłby żywić nadzieję na zatrzymanie przy sobie takiego faceta jak Brandt Madison?

Kiedy chwilę później Brandt wrócił do sypialni z grubym, białym ręcznikiem zawiązanym wokół bioder, Kelly spała. Popatrzył na nią zafascynowany jej pięknem. Wyglądała tak młodo i bezbronne - i pociągająco. Skrzywił się, gdy uprzytomnił sobie, jak bardzo na niego działała. Chyba powinien wrócić pod zimny prysznic.

I wtedy zauważył ślad łez na jej policzkach. Przebiegł go dreszcz. Czyżby Kelly płakała? Sprawilo mu to przykrość. Chciał odegnać od niej troski, obronić przed bólem. Albo przynajmniej dzielić go z nią.

- Kelly? - zawołał ją cicho, ale nie odpowiedziała. Spała głęboko. Zdjął ręcznik, założył niebieskie spodnie od piżamy i ostrożnie wślizgnął się do łóżka...

## 7

Ranne słońce, wpadające do pokoju przez cienkie, białe firanki, obudziło Kelly. Leżała na brzuchu na środku łóżka, z koszulą zamotaną wokół ud. Pognieciona poduszka wciśnięta była w zagłówek. Potargane i rozczochrane kasztanowe włosy opadały w nieładzie na jej twarz. Podniosła głowę, zgarnęła włosy i spojrzała na Brandta. Zwisiał z brzegu łóżka, ściskając pod głową poduszkę. Jedną nogę opierał o podłogę, prawdopodobnie po to, by utrzymać zdobyty przez siebie kawałek materaca. Przytrzymał róg kołdry, jej reszta leżała na podłodze.

- Nadajesz zupełnie nowego znaczenia powiedzeniu „szalona w łóżku” - odezwał się, potrząsając głową.

Szybko obciągnęła koszulę i usiadła.

- Usiłowałam wytłumaczyć ci, że to nie jest dobry pomysł, żeby spać razem.

- Owszem, usiłowałam. Ale sądziłem, że to dlatego, że jesteś nieśmiała. Zapomniałaś mnie ostrzec, że spanie z tobą w jednym łóżku narazić może na utratę życia albo przynajmniej kończyn.

- Śpię bardzo niespokojnie - przyznała.

- Niespokojnie, to mało powiedziane, skarbie. Czuję się tak, jakbym stoczył czterdziestorundową walkę z Rocky'm Balboa. I w dodatku ją przegrał. - Jęknął przy wstawaniu. - Kopałaś, waliłaś, tłukłaś i łomotałaś. Zrzucałaś poduszkę i kołdrę i za każdym razem, gdy je podnosiłem, pozbywałaś się ich znowu. W pewnym momencie, kiedy leżałaś w poprzek łóżka, próbowałem zasnąć na podłodze. Niestety, dywan jest za cienki i cały czas czułem kafelki. Musiałem wrócić na ring.

- Przepraszam - mruknęła. Gapiąc się na niego uprzytomniła sobie, że po raz pierwszy widzi go niekompletnie ubranego. Patrzyła zafascynowana na jego szerokie, mocne ramiona i owłosioną klatkę piersiową. W porównaniu z potężnymi ramionami miał bardzo wąskie biodra.

- Co ci się śniło? - Przeciągnął ręką po włosach. - Że jesteś zawodnikiem olimpijskiej drużyny zapaśników?

- Nie wiem. Nigdy nie pamiętam snów. - Była to prawda. Nigdy nie wiedziała, jakie boje toczyła w nocy jej podświadomość i nad jakimi demonami odprawiała egzorcyzmy.

Spojrzała na jego twarz. Miał jednodniowy zarost, a na czoło spadały mu skręcone włosy. Wyglądał bardzo męsko i seksownie. Mrówki przeszły jej po karku. Przecież spędziła z nim tę noc. „Bijąc go - przypomniał jej niezawodny głos wewnętrzny. - Spanie ze mną nie było dla niego erotycznym przeżyciem; nazwał mnie bokserem i zapaśnikiem. Tak się nie mówi o dziewczynie z marzeń.”

Powstrzymała westchnięcie.

- Wezmę prysznic i umyję głowę.

- Jak się czujesz? Nadal masz nudności?

- Nic z tych rzeczy. Czuję się rewelacyjnie. - Spała niespokojnie, ale głęboko i obudziła się naprawdę wypoczęta. Przynajmniej fizycznie. Zerwała się i pobiegła do łazienki.

- Kelly? - Głos Brandta powstrzymał ją w pół drogi. Odwróciła się zdziwiona. - Nie odpowiedziałas mi jeszcze na pytanie, które ci zadałem tamtej nocy, kiedy była śnieżycą.

Starła się wyglądać na opanowaną.

- Pytanie? - Patrzyła, jak ruszył powoli w jej kierunku. Coś migotało w jego ciemnozielonych oczach. Pomyślała, że powinna pójść do łazienki i zamknąć za sobą drzwi na klucz. Ale stała jak wmurowana. Długie, szczupłe palce Brandta zacisnęły się na jej ramionach.

- Sprawiam, że jak się czujesz? - spytał niskim głosem, który zdawał się ją pieścić.

Kelly wstrzymała oddech. Stali tak blisko siebie, że czuła ciepło emanujące z jego ciała. Męski zapach wypełniał jej nozdrza. Zesztywniała i zaczęła drżeć. Chęć dotknięcia go była nie do opanowania, silniejsza niż obawy i lęk. Jej ręce naturalnym ruchem powędrowały na jego pierś, palce wplątały się w porastające ją włosy. Były takie miękkie. Czuła bicie jego serca. Brandt położył swoje dłonie na jej rękach.

- Sprawiam, że jak się czujesz, Kelly? - zapytał ponownie.

Zaschło jej w gardle.

- To trudno określić. Nie... nie mogę znaleźć odpowiednich słów.

- Spróbuj - nalegał nieśmiało.

- Przyprawiasz mnie o zawrót głowy - odparła w końcu. - Jestem ożywiona i boję się zarazem.

- Brzmi to jak opis reakcji na jazdę kolejką w wesołym miasteczku. - To zabawne porównanie rozbawiło ją. I pomogło mówić dalej.

- Czuję się z tobą bezpieczna - wyznała. Przypomniała sobie poczucie bezpieczeństwa w momencie, gdy trzymał ją w ramionach.

- Będziesz ze mną zawsze tak bezpieczna, jak tylko będziesz chciała. - Pochylił się, by pocałować ją w szyję. Przeszły ją ciarki, gdy dotknął ją policzkiem. Nie opierała się. Jego duże dłonie ślizgały się po jej plecach, a potem wzdłuż bioder i pośladków. Z całej jego postaci emanowała wrażliwość i ciepło. Ciało Kelly rozpalało się. Zdawało jej się, że wyzwoliła się od siebie samej. Znikła jej małowówność.

- Sprawiasz, że się śmieję i że jestem wściekła. Czuję, że żyję, kiedy jestem z tobą. Czuję się z tobą swobodnie i dobrze.

- Ty też tak na mnie działasz - przyznał ochoczo.

Spojrzała w górę na jego twarz. Wiedziała, że chciał ją pocałować. Ona też tego bardzo pragnęła.

- Kelly. - Sposób, w jaki wymówił jej imię przyprawiło ją o dreszcze. Patrzyła na jego pochyloną głowę, zahipnotyzowana widokiem zmysłowych ust. Rozchyliła wargi.

- Senor Madison! - Donośny, nosowy głos rozległ się równocześnie z głośnym pukaniem do drzwi. Kelly odskoczyła od Brandta jak oparzona.

- To ja. Para de Leon - doszedł ich głos szpicla. - Oczekują nas za godzinę w sierocińcu. Czy będziecie państwo gotowi?

Brandt spojrzał na Kelly. Unikała jego wzroku.

- Tak - zawołał przez drzwi i cicho zaklął pod nosem. Postaramy się zdążyć.

Kelly uciekła do łazienki. Brandt usłyszał szcęk zamka.

- Zamówię śniadanie i każę przynieść do pokoju - zawołał do niej. Jediną odpowiedzią był plusk wody. Znów, mrużąc pod nosem, podniósł słuchawkę stylowego telefonu.

Ręcznie malowany znak Amigos del Ninos (Przyjaciele Dzieci) wisiał na drzwiach pokrytego dachówką i stiukami budynku. Kelly i Brandt stali wraz z Para de Leonem przed bramą, czekając w milczeniu, aż wysoka, ciemnowłosa kobieta ją otworzy. Kelly wzdrygnęła się i szczerze otuliła swetrem. Oprócz niego miała na sobie sukienkę w kwiaty z niewielkim dekoltem, obniżoną talią i rękawami do łokci - jedną ze swych ulubionych sukienek - i powinno jej być ciepło. Jednak chłód nie miał nic wspólnego z temperaturą powietrza. Odczuwała go na myśl o wejściu do tej instytucji. Między okresami przebywania w przybranych domach spędziła dużo czasu w różnych placówkach tego typu w Chicago. Nienawidziła ich. Domy Dziecka zawsze wywoływały w niej przykre wspomnienia.

- W porządku, Kelly? - zapytał cicho Brandt, pochylając się nad nią. Już w czasie jazdy taksówką zauważył niepokój na jej twarzy. Teraz była blada i drżała.

- W porządku. - Zmusiła się do uśmiechu i kiwnęła głową. - Nie martw się. To nie sorocha. - Obserwował ją bacznie.

- Obiecuj, że powiedz mi, jeśli poczujesz się nieszczęśliwie. - Objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

„Chyba nic się nie stanie, jeżeli przytulę się do niego na jedną, może dwie chwile” - pomyślała. I przyłgnęła do niego. Tak naprawdę wcale go nie potrzebowała, ale było przyjemnie mieć kogoś, na kim można się oprzeć. Choćby na chwilę lub dwie. Brama była otwarta i Para de Leon zaprosił ich gestem ręki do środka.

- Proszę, tędy.

Gdy dostrzegła ich odbicie w szybkach drzwi, pomyślała, że rzeczywiście wyglądają jak małżeństwo, które przyjechało adoptować dziecko. Była lekko podenerwowana, ale to było naturalne, któż nie byłoby w takiej sytuacji? Brandt obejmował ją jak dający oparcie, odpowiedzialny mąż. Wprowadzono ich do dużego, przestronnego pokoju, w którym stało dwanaście drewnianych, dzieciennych łóżeczek. Trzy młode kobiety w biało-niebieskich uniformach stały w pogotowiu pod ścianą.

- Niemowlęta - powiedział Para de Leon, wskazując na dzieci. Żadne nie ma jeszcze roku.

Kelly przyglądała się rzędom łóżeczek. Pokój był czysty i jasny, dzieci wyglądały na zadbane i dobrze odżywione. W tej chwili żadne nie płakało. Ale jej serce ścisnęło się na ich widok. Wszystkie były takie malutkie, potrzebujące domu. Wszystkie bez matek i ojców, chyba że ktoś zapłaci za nie Cariście i zostaną zaadoptowane przez jakąś rodzinę.

- Tu mamy salę jedno i dwulatków - objaśniał Para de Leon, prowadząc Kelly i Brandta do następnego pokoju. Obok był jeszcze jeden mały pokój do zabawy. Przebywała tam grupa dzieci pod opieką dwóch kobiet.

Kelly obserwowała ciemnowłosą i ciemnooką dziewczynkę, może dwuletnią, próbującą odebrać gumową piłkę niewiele młodszemu od siebie chłopcu. Chłopiec krzyknął i pobiegł do opiekunki, która odwróciła się, by złapać dziewczynkę. Kelly zobaczyła strach malujący się na twarzy dziecka. Chciała porwać ją w ramiona i uspokoić. Ale gdy ruszyła w jej kierunku. Para de Leon zawołał ich do pokoju starszaków. Starsze dzieci miały po trzy - cztery lata; w sierocińcu nie było dzieci powyżej czwartego roku życia - wyjaśnił Para de Leon w odpowiedzi na pytanie Brandta. Kelly wiedziała dlaczego. Ludzie chcieli brać tylko niemowlaki i małe dzieci. Nawet z uroczymi trzy i czterolatkami był już kłopot. Spędziła własne dzieciństwo świadoma tego, że jest już za duża, żeby ją adoptować.

- Państwo nie jesteście zainteresowani starszymi dziećmi, chcecie niemowlę, prawda? - przypomniał im Para de Leon, nie zwracając uwagi na dzieci w tym pokoju. - Wróćmy do sali z niemowlętami i niech państwo wybiorą synka lub córeczkę.

Kelly wpatrywała się w bawiącą grupę przedszkolaków. Dzieci biegały, rozmawiały i śmiały się.

- Co się dzieje z dziećmi, które kończą pięć lat, a nikt ich nie zaadoptował?

Para de Leon wzruszył ramionami.

- Odsyłamy je do państwowego domu dziecka. Jest o wiele większy, mają tam nawet szesnastolatki, ale dzieci przeważnie nie chcą przebywać tam tak długo. Większość zostaje służącymi u bogatych rodzin. Wiek pięciu, sześciu lat to odpowiednia pora na podjęcie pewnych obowiązków. Dzieci mają zapewniony dach nad głową i wyżywienie, to część umowy. - Znów wzruszył ramionami, zupełnie beznamiętnie. - Umowy korzystnej dla



wszystkich.

- Z wyjątkiem dzieci wykorzystywanych do pracy! - wybuchnęła Kelly. - Podejrzewam, że niektóre dzieci uciekają stąd i zaczynają nowe życie, na ulicy?

- Jeżeli uciekną, nie mają prawa powrotu. Ale nie zajmujmy się nimi dłużej i powróćmy do spraw przyjemniejszych. - Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. - Widzieliście już państwo małe dzieci. Które z nich wybieracie? - Dłonie Kelly zacisnęły się w pięści. Nie poruszyła się z miejsca.

- Trudno podjąć decyzję, prawda, Senora Madison? - Dostrzegł jej wrogie spojrzenie. Nie czuł się swobodnie w jej towarzystwie. Wczoraj przekonał się, że potrafi być nieobliczalna. Zwrócił się do spoglądającego na nią Brandta.

- Senor Madison, może zechciałby pan zabrać żonę do pomieszczenia maluchów, gdzie moglibyśmy dokonać transakcji?

- Kelly. - Brandt ujął ją pod rękę. - Chodź, kochanie.

Kelly pozwoliła się poprowadzić przez korytarz prowadzący do sali z niemowlętami. Wszystkie te dzieci były same na świecie, wszystkie potrzebujące rodziny i domu. Ich malutkie twarzyczki przesuwały się przed jej oczami jak klatki filmu. Tu przynajmniej miały szansę znaleźć rodziców i własny dom. Może zrobili z Brandtem źle, mieszając się do tego; jeżeli jakieś małżeństwo zdecydowało się już tu przyjechać, może to wystarczy...

- Brandt, chcę wrócić do hotelu - szepnęła mu do ucha i ścisnęła jego ramię. Spojrzał na nią.

- Nie czujesz się dobrze? - zapytał zaniepokojony.

- Czuję się świetnie. Po prostu nie chcę wracać do tych dzieci. Chcę wrócić do hotelu - odparła na tyle głośno, by mógł ją usłyszeć Para de Leon.

- Nie chce pani wrócić do tych dzieci? - powtórzył za nią Para de Leon. Patrzył na nią przez chwilę i powoli jego przebiegłą twarz rozjaśnił uśmiech. - Och, Senora Madison, chyba rozumiem. Pani nie chce jeszcze wracać do hotelu. Proszę za mną. Sądzę, że wiem, czego pani szuka.

Kelly i Brandt wymienili zdziwione spojrzenia i ruszyli za Para de Leonem po schodach na górę. Znaleźli się w nowej sali. Była tam trójka dzieci, żadne nie miało roku i wszystkie...

- Niebieskookie blondynki - oznajmił z dumą Para de Leon. Białe, tak jak pani i Senor Madison, Senora Madison. - Widzi pani, że nie ma powodu wracać do hotelu, nieprawdaż? - Był z siebie bardzo zadowolony. - Myślę, że znajdzie tu pani to, czego pani szuka.

Kelly skierowała ku niemu oczy pełne gniewu. Myślał, że się dąsa, bo nie podobały jej się dzieci, więc pokazał jej to, co miał najlepszego, doskonały towar dla niezdecydowanego nabywcy.

- Skąd pochodzą te dzieci? - spytał Brandt, chodząc od łóżeczka do łóżeczka.

- Mamy w Avidzie niebieskookich blondynów - odpowiedział rozradowany Para de Leon. Zwiększył dobry interes. - Chociaż większość mieszkańców naszego kraju to potomkowie Hiszpanów i Indian, pięć procent populacji jest pochodzenia europejskiego: niemieckiego, francuskiego, szwajcarskiego.

- Za jasne dzieci o niebieskich oczach trzeba chyba płacić w złocie tyle, ile ważą - rzucił Brandt od niechcienia. Kelly wiedziała, że włączył mały magnetofon w kieszeni płaszcza. Uzgodnili, że spokojnie poprowadzą rozmowę w tym kierunku i mieli nadzieję, że Para de Leon oskarży siebie i cały ten interes, co zostanie zarejestrowane na taśmie.

Para de Leon roześmiał się i zatarł ręce. Kelly prawie zagotowała się, patrząc na niego. Myliła się sądząc choć przez moment, że temu człowiekowi i jego wspólnikom powinno się pozwolić dalej uprawiać proceder sprzedaży dzieci. Dzieci zasługiwały na coś lepszego. Potrzebowały rodziców i domów, ale nie mogło tym kierować skąpstwo i stroniczość ludzi, takich jak Carista czy Para de Leon.

Kelly odwróciła się i zmierzyła Para de Leona przenikliwym wzrokiem.

- Ile pan sobie życzy za takie dziecko, senor? - spytała chłodno.

Chciała mieć pewność, że będzie miała dowody przeciwko temu odrażającemu człowiekowi i że ujawni jego machinacje całemu światu. Rząd będzie musiał wydać jakieś oświadczenie w tej sprawie, nie będą mogli się od tego uchylić. I może jakaś organizacja kościelna albo charytatywna przejmie sierociniec i legalnie znajdzie rodziców dla tych

biednych dzieci.

- No więc... - Kelly się niecierpliwiła. - Zdaję sobie sprawę, że jasne, niebieskookie dzieci muszą kosztować więcej niż ciemne i ciemnookie. Chcę wiedzieć, o ile więcej.

- Hm, Kelly, dlaczego nie pozwolisz, żebym ja porozmawiał z panem? - Brandt nie miał uszczęśliwionej miny. Nie była zbyt subtelna w naprowadzaniu Para de Leona na właściwy temat.

Para de Leon przeniósł wzrok na Brandta.

- Zdaje się, że pańska żona jest lekko poddenerwowana, Senor Madison - powiedział nieco ochryplym głosem.

- Tak, chyba ponoszą ją emocje - zgodził się Brandt, rzucając Kelly ostrzegawcze spojrzenie i biorąc ją za rękę. Kelly odsunęła się od niego.

- Przestań mówić o mnie tak, jakby mnie tu nie było!

- Nie wiadomo, czego się można po pani spodziewać - zauważył Para de Leon, z pewnością mając na myśli jej wczorajsze zniknięcie i scenę w holu. Posłał jej lizusowski uśmiech. - Senora Madison, nie ma żadnej potrzeby się denerwować.

- Porozmawiajmy wreszcie o kupnie dziecka - Kelly nie ustępowała. - Proszę wymienić sumę. Chcę tego chłopca w łóżeczku pod oknem.

Para de Leon wydawał się być przestraszony. Jasne było, że spodziewa się następnego jej wybuchu, i to w dodatku tutaj, w zakładzie Przyjaciół Dzieci. - Proszę, niech się pani uspokoi. Jeśli chce pani to dziecko, może je pani dostać za dwadzieścia pięć tysięcy dolarów amerykańskich.

- Prawdziwa okazja - odparła z sarkazmem. Para de Leon zleją zrozumiał.

- Tak, jest już w tym cena załatwienia potrzebnych dokumentów, zaświadczenia o adopcji i wizy dla dziecka. Wszystko w ekspresowym tempie. Będziecie państwo mogli zabrać je do Stanów za trzy, cztery dni.

- Przypuśćmy, że mam dwadzieścia tysięcy? - Kelly była nienasycona.

- Za dwadzieścia tysięcy możecie mieć państwo tę dziewczynkę - odparł, szybko pokazując dziecko. - Chłopiec kosztuje dwadzieścia pięć tysięcy. Zawsze tyle dostajemy.

- Oczywiście. Niebieskookie dzieci są warte więcej niż ciemnookie, chłopcy kosztują więcej niż dziewczynki. - Kelly zatrzęsała się ze złości. Pogardzała tym człowiekiem w imieniu wszystkich bezdomnych dzieci na całym świecie.

Para de Leon nie domyślał się niczego.

- Tak, zgadza się.

- Proszę podać sumę za tego chłopca, a dostanie ją pan - powtórzyła. Chciała, żeby zapis na taśmie był jednoznaczny i stanowił dowód nie do podważenia. - Sprzeda nam pan to dziecko za dwadzieścia pięć tysięcy dolarów? - Lekko podniosła głos.

Para de Leon spojrzał nerwowo na Brandta.

- Czyżby znów miała zamiar zacząć? - mruknął.

- Chcę się tylko upewnić, że naprawdę sprzeda nam pan to dziecko.

- Tak, oczywiście - przytaknął natychmiast - Jeżeli dacie mi państwo pieniądze, możemy zaraz zacząć podpisywać dokumenty. Brandt i Kelly spojrzeli na siebie. Mieli na taśmie dużo więcej, niż się spodziewali.

- Chcielibyśmy najpierw wrócić do hotelu i to omówić - wtrącił się Brandt. - Kelly jest błada. Powinna odpocząć. Nie chciałbym, żeby znowu zachorowała.

„Mamy doskonałe dowody” - pomyślał z radością. Kelly zrobiła świetną robotę, prowokując Para de Leona. Wszystko było na taśmie. Plan powiódł się doskonale. Teraz muszą się tylko wydostać z Avidy, najlepiej najbliższym samolotem.

- A gdybyśmy chcieli kupić ciemnoskóre dziecko? - naciskała Kelly, nie zważając na znaki dawane jej przez Brandta. Chciała wszystko dokładnie nagrać, bez żadnych niedopowiedzeń. - Ile kosztuje ciemnowłosa dziewczynka, mieszaniec?

Para de Leon zrobił się podejrzliwy.

- Senora Madison...

- A gdybyśmy chcieli kupić dwójkę indiańskich dzieci, czteroletniego chłopca i

dziewczynkę - niemowlę. Spuści pan z ceny?

- Si, si. - Rozgorączkowany Para de Leon przerzucił się na hiszpański.

- Proszę podać kwotę.

- Dziesięć tysięcy dolarów - warknął.

- Kupujesz jedno - drugie gratis. Dobrze opracowane prawa rynku - zauważyła. -

Rozumiem, że w te dziesięć tysięcy wchodzi oprócz dzieci opłata za wszystkie dokumenty.

- Tak - odpowiedział Para de Leon, coraz bardziej wstrząśnięty.

- Zabieram Kelly do hotelu. - Objął ją w pasie, wyprowadzając siłą z pokoju i pociągnął na dół. - Porozmawiamy, kiedy odpocznie.

- Ale ja... - usiłowała protestować.

- Zamknij się! - syknął przez zęby i ścisnął ją mocniej.

- Złapię taksówkę i odwiozę państwa do hotelu - nalegał Para de Leon. Nie opuścił ich nawet na chwilę. Zostali sami dopiero w swoim pokoju. W momencie, gdy zamykali drzwi, Brandt przytknął palce do ust, nakazując jej milczenie. Kelly obserwowała, jak przeszukuje bez słowa pokój. W końcu znalazł małe urządzenie elektroniczne ukryte pod ozdobnym abażurem.

- Coś nam tu rano podrzucili - skrzywił się, rozmontowując nadajnik. - Myślę, że robi się ślisko. Złożyli nam propozycję, a pieniędzy nadal nie widać.

Kelly przyjrzała się pluskwie.

- Nie pomyślałabym o tym, żeby tego poszukać. Jesteś prawdziwym Jamesem Bondem, Madison.

- A ty jesteś bystra jak woda, Malloy. Pytania, które rzuciłaś Para de Leonowi... -

Potrząsnął głową. - Sądziłem, że będziemy musieli robić podchody i posługiwać się aluzjami, zyskując tylko mgliste insynuacje. A ty nakłoniłaś go do podpisania nakazu aresztowania na Caristę i samego siebie.

- Robi mi się niedobrze, gdy o nim myślę - powiedziała zaciętrzewiona. - Mam nadzieję, że go zamkną, a klucz wrzucą do morza. Wyciągnęłabym z niego więcej, gdybyś mnie stamtąd nie wyprowadził.

- Byłaś lekkomyślna, Kelly. - Przyglądał jej się uważnie. - Dlatego cię stamtąd zabrałem.

Para de Leon zaczął się denerwować, bałem się, że sprowokujesz go do czegoś, na co nie byliśmy przygotowani. Pamiętaj, że mamy go teraz w garści. Przyznał się do sprzedawania dzieci.

- Wyższa cena za dzieci niebieskookie niż za te z oczami brązowymi! Więcej za chłopców niż za dziewczynki! I wynajem starszych dzieci! - Kelly płonęła. - Chciał dorzucić gratis czterolatka, jeżeli kupilibyśmy niemowlę. Dla niego czterolatek nie przedstawia żadnej wartości!

- Mamy wystarczające dowody, żeby wszcząć śledztwo, Kelly. Teraz musimy się jak najszybciej ulotnić z Avidy. Sądzę, że powinniśmy pojechać prosto do ambasady i poprosić o odwiezienie na lotnisko.

- Nie musimy powiadamiać Para de Leona, że rezygnujemy? Zaproponował nam przecież białe dzieci, nie mamy teraz żadnej wymówki. - Zbierało jej się na płacz. Odwróciła się szybko. Dobry Boże, czyżby miała się rozpłakać? Dlaczego?

- Możemy mu powiedzieć, że chcemy rudzielca o zielonych oczach. Nie widziałam tam takiego. Może trzymają go na strychu, żeby podbić cenę. - Usiłowała być dowcipna. Nie udało się. Głos jej drżał. Była zdziwiona swoją reakcją, zdziwiona łzami wypełniającymi oczy i spływającymi po policzkach. Od lat nie płakała w niczyjej obecności! Co się z nią działo?

- Przepraszam - rzuciła pospiesznie i pobiegła do łazienki.

Brandt złapał ją, zanim dobiegła do drzwi.

- Puść mnie! - Próbowwała mu się wyrwać. - Czuję się dobrze. To tylko... uczulenie.

- Uhhmm. - Okręcił ją, przycisnął do siebie i złapał w obręcz ramion. - Na co jesteś uczulona? Na Para de Leona?

Walczyła z jego uściskiem. Nie zważał na to, jego usta dotknęły czubka jej głowy.

- Niewielkie uczulenie może się skończyć poważną alergią.

Kelly przestała na moment się szarpać, żeby zebrać siły przed następnym atakiem. Wtedy

jej ciało zareagowało na bliskość Brandta. Był taki silny i ciepły; mogła się na nim oprzeć, czuła się przy nim bezpiecznie.

- Nie walcz ze mną, Kelly - szepnął, całując jej skronie i szyję. - Pragnę tylko trzymać cię w ramionach. Pozwól mi się trzymać, skarbie.

Stała spokojnie, porażona jego dotykiem i tym, co powiedział.

- Nie mogę patrzeć jak płaczesz - mówił dalej. - Kelly, ja...

- Wcale nie płaczę. Nigdy nie płaczę.

Powoli jej ręce objęły go w pasie.

- To nie są łzy? - Całował jej mokre policzki. Słyszała go jakby z oddali. Trzymał ją, czuła na sobie jego ręce. - To te dzieci, prawda? Obserwowałem cię w sierocińcu. Wyglądałaś, jakby ci miało pęknąć serce.

- Byłam przynębiona, zwłaszcza losem tych starszych. Nigdy nie będą miały swojego domu. Jeszcze o tym nie wiedzą. - Przełknęła głośno. - Ale dowiedzą się. Już wkrótce. A to... to boli, kiedy sobie zdać z tego sprawę. Wiedzieć, że jest się skazanym na samotność, że nikt cię nie chce. I już nigdy nie będzie chciał.

„Ona mówiła nie tylko o dzieciach z domu Przyjaciół Dziecka” - pomyślał. Poczł ukłucie w sercu. Ona mówiła o sobie.

- Ile miałaś lat, kiedy to zrozumiałaś, Kelly?

- Około pięciu. - Przytuliła się do niego mocno, była jak naprężona struna. - Byłam w wieku, w którym Carista wyrzuca dzieci z przytułku. Zajęło mi to dużo czasu. Powinnam była dojść do tego wcześniej, kiedy miałam dwa lata i moja matka zostawiła mnie na ulicy, nie fatygując się, żeby po mnie wrócić.

Zapadła cisza. Ręce Brandta znieruchomiały.

- Twoja matka cię porzuciła? - spytał cicho.

Więc powiedziała mu w końcu. Przeraziła się. Nigdy nikomu tego nie mówiła. Myślała, że prędzej umrze, niż zdradzi komuś swój największy sekret. A teraz wygadała się przed Brandtem Madisonem. Dlaczego to zrobiła? Ogarnął ją zupełnie niezrozumiały gniew. Łatwiej było wściekać się na Brandta niż stawić czoła prawdzie: tuliła się do niego jak dziecko i zdradziła swój największy, najgłębszy sekret! Była obnażona, bezbronna. Brzydziła się tego, bała się...

- Cholera, powiedziałam, żebyś mnie puścił! - Łzy znów płynęły jej po policzkach, wrywała mu się. - Nie masz prawa... prawa...

-... Trzymać cię wbrew twej woli - skończył spokojnie, nie puszczając ani na jotę i nie zważając na jej rozpaczliwe wysiłki. - Wiem, że jesteś na mnie zła, Kelly. Nienawidzisz rozmawiać o tym, co ci się stało. Nienawidzisz przypomnienia o tym, chociaż nigdy tego nie zapomnisz.

- Jak mogłabym zapomnieć? Porzucono mnie na deszczu, jak... jak worek śmieci! - Oblewały ją na przemian gorące i zimne poty. - To stało się w marcu - siedemnastego, jeśli chodzi o ścisłość. W dzień Świętego Patryka. Było zimno, nie miałam na sobie nawet swetra. Gdyby oficer Malloy mnie nie znalazł... - Trudno było jej mówić ze ściśniętym gardłem. Może jej matka miała nadzieję, że umrze tam, tej zimnej i deszczowej nocy w swej krótkiej sukience i płóciennych trzewikach? Odpowiedź wydawała jej się boleśnie oczywista.

- Znalazł cię policjant? - zapytał.

Przytaknęła.

- Władze dały mi po nim nazwisko Malloy. Nie był żonaty; mieszkał z matką i nie miał dziewczyny. Podejrzewam, że chcieli mu zrobić kawał, dając znalezionej na ulicy dziecku jego nazwisko. Potrzebowałam przecież jakiegoś nazwiska. Powiedziałam im tylko, że mam na imię Kelly i że mam dwa lata. Tylko tyle o mnie wiedzieli. Nie wiem nawet, kiedy się urodziłam. Zapisano siedemnasty marca, dzień, w którym mnie znaleźli.

Brandta przepełniał ból, gniew i żal.

- Kelly - zaczął, siadając z nią na łóżko. Biedna mała dziewczynka. Biedna mała Kelly.

Czuła, że może płakać przez milion lat. Co się stało z jej niezłomnym opanowaniem? Oparła ręce na jego piersi i usiłowała się podnieść.

- Pozwól mi wstać. Chcę zostać sama...

- Nie pozwolę ci wstać, Kelly. - Trzymał ją mocno, gładząc jej włosy i jej twarz delikatnymi ruchami dłoni. - Nie musisz zostawać sama, byłaś sama już wystarczająco długo. Koniec z tym. - Całował jej policzki, spijał łzy, muskał usta. - Teraz masz mnie, kochana.

Pomyślała, że próbuje ją uspokoić. Był miły i jego współczucie dla porzuconego dziecka - dla niej - było naturalne. - Byłaś taka dzielna, taka silna - powiedział, kołysać ją w ramionach.

- A teraz pokazałam, że potrafię być głupia i słaba - odpowiedziała mu z żalem. Była sobą zawiedziona. - Rozczulać się tak nad czymś, co zdarzyło się tyle lat temu...

- Smutek to nie słabość czy głupota, Kelly. Nie jest też głupotą kogoś potrzebować. Ani... kogoś kochać. Miłość daje siłę. - Delikatnie ujął jej podbródek i podniósł jej głowę. Kelly zadrżała na widok złotych refleksów w jego oczach. - Pozwól mi cię kochać, Kelly. Potrzebuję tej miłości.

## 8

Serce Kelly przestało na chwilę bić, a później zaczęło walić jak szalone. „Pozwól mi się kochać.” Jego słowa wciąż dźwięczały w jej głowie. Co znaczyły naprawdę? Jej ścisły umysł domagał się wyjaśnienia ich sensu. Musiała się tego dowiedzieć.

- Chcesz się ze mną kochać? - szepnęła.

Czuła, że jest bardzo blisko niego, bliżej niż kiedykolwiek. Był czuły, miły, sama rozmowa z nim kołała jej ból. Teraz chciała mu dać wszystko, czegokolwiek by pragnął, wszystko, co tylko mogła mu ofiarować.

Nigdy nie doświadczyła czegoś podobnego. Czyżby się w nim zakochała? Po raz pierwszy odsunęła na bok wszystkie stawiane przez siebie zapory i tamy. Chciała uczynić go szczęśliwym, nie zważając na cenę, jaką będzie musiała zapłacić. Jeżeli kochanie się ma to sprawić, jeżeli da mu to, czego potrzebuje... Jeżeli kochanie się z nią było tym, czego pragnął... ona także tego chciała, przyznała z bólem. Chciała się z nim połączyć, stać się jego częścią. Choćby tylko na chwilę.

- Chcę kochać się z tobą - odparł cicho. - Kelly, chcę ciebie. Potrzebuję cię, skarbie, ale nie chcę cię popędzać. Jeżeli chcesz jeszcze poczekać...

- Nie chcę. Pocałuj mnie, Brandt - przerwała mu szybko, podciągając się, żeby go pocałować. Czuła pod sobą jego naprężone ciało. Usłyszała jego szybki oddech, zanim ich usta zetknęły się z sobą. Kochała go, była tego pewna. A on jej pragnął. Czuła się szczęśliwa. Być upragnioną, być potrzebną człowiekowi, którego się kocha - czego jeszcze mogła chcieć?

- Ja też cię pragnę - szepnęła namiętnie. Powinna była powiedzieć, że go kocha, ale nie chciała, żeby pragnąc się jej zrewanżować, musiał kłamać. Chciała mu się oddać bez zobowiązań i złudnych nadziei. Przynęcała sobie, że nigdy nie będzie mu kamieniem u szyi i nie będzie żądać tego, czego nie mógł albo nie chciał jej dać.

- Kelly, moja kochana! - Pieścił jej usta. - Tak cudownie smakujesz. Miałem na ciebie ochotę przez cały czas, który wydawał się wiecznością.

Kelly próbowała złapać oddech, ale zdawało jej się, że płuca już nie pomieszczą więcej powietrza. Serce rozszalało się, słyszała w uszach jego łomot.

Jego język delikatnie obrysowywał jej usta; jego dłonie żarliwie poznawały jej ciało, pieszcząc piersi tak długo, aż jęczała z rozkoszy. Trzymał je w dłoniach, przez cienki materiał sukienki czuła jego ciepło. Tarł jej sutki kciukami, a ona skręcała się z bólu emanującego spod między ud, z zakończenia każdego najmniejszego nerwu, z pragnienia, powodującego drżenie całego ciała, z pragnienia, jakiego dotąd nie poznała.

- Och, Brandt - westchnęła. Pocałował ją namiętnie, wsuwając język do jej ust. Podniecało ją to. Powoli ją rozbierał, całując ukazującą się nagą skórę.

Zdjął z niej sukienkę, potem halkę. Położył ją na materacu, sam kładąc się obok. Jedną rękę położył na jej gołym brzuchu, druga posuwała się wzdłuż nie istniejącej linii od szyi do zaciętego dołka pomiędzy jej piersiami.

- Jesteś piękna - szepnął, pochylając się, by znów dosięgnąć jej ust. Czuła gorąco, żar, rozpierała ją potrzeba spełnienia.

- Jesteś słodka i silna. Jesteś mądra, jesteś zabawna, jesteś pełna zrozumienia.

Musnął ustami przezroczyście stanik i twarde, sterczące sutki, których już nie mógł ukryć

cienki materiał.

- I jesteś cholernie seksowna, tracę przy tobie głowę. - Zaśmiał się. - Och, Kelly, nie mogę uwierzyć w to, że cię spotkałem, że teraz jesteś tu ze mną.

Jego słowa podziały na nią jak afrodyzjak. Nigdy nie wyobrażała sobie, że ktoś będzie jej tak potrzebował, tak jej pragnął. „Nie mogę uwierzyć, że cię spotkałem.” Ona też nie mogła uwierzyć. Przez całe życie była zagubiona, a teraz... teraz on ja odnalazł.

Zdjął zręcznie stanik i dotknął jej nagich, czekających na niego piersi. Masował je delikatnie, potem pochylił się i wziął w usta jedną różową brodawkę. Krzyknęła, gdy dotknął jej gorącymi wargami, i wczepiła kurczowo palce w jego włosy.

- Tak, lubisz to - mówił, dotykając ustami jej brzucha i sięgając ręką jej skąpych majtek. - Ja też to lubię. Jesteś czuła, namiętna. Czy zdajesz sobie sprawę, jak to na mnie działa, że tak cię podniecam?

Cała drżała. Całą uwagę skupiła na dłoni pieszczącej jej brzuch. Dotknął jej pępka. Wstrzymała oddech. Jego palce powędrowały niżej.

Duża, ciepła dłoń wsunęła się pod majtki, długie palce zagłębiły się w nieco ciemniejszych włosach. Leżała bez ruchu, powstrzymując się od natarczywej chęci uniesienia bioder i rozłożenia nóg. Utkwiła w nim wzrok, robiło się jej coraz bardziej gorąco.

- Proszę - szeptała bezbronna w udęce zmysłów, ale pocałunek zamknął jej usta. Nie zdawała sobie sprawy, że broniła się zupełnie instynktownie. - Brandt, proszę.

Patrząc jej w oczy, jednym pociągnięciem ściągnął majtki.

- Czy tego właśnie chcesz? - mruknął. Jej biodra poruszały się bezwiednie w odwiecznym rytmie. Jego palce znalazły wilgotne ciepło, subtelnie poznając najmocniej reagujące miejsca. Wzdychała, wiała się i zaciskała uda na jego władczej ręce.

Dotknął jej najgłębszych, sekretnych miejsc i nagle pojawił się ból, tak nierozzerwalnie związany z rozkoszą, którą jej dawał, że nie była w ogóle pewna, czy rzeczywiście był to ból. Jęknęła cicho i przywarła do niego z zaciśniętymi oczami.

- Kelly. - Jego głos przebijał się przez otaczającą ją mgłę. - Kelly - szepnął jeszcze raz do jej ucha. Wymówione imię odbiło się jakby echem. - Otwórz oczy, Kelly.

Nie mogła dłużej udawać, że go nie słyszy. Powoli, niechętnie otworzyła oczy.

- Nie urodziłaś żadnego dziecka, Kelly. Miałem wątpliwości już wcześniej, a upewniłem się, widząc, jak patrzyłaś dziś na dzieci w sierocińcu.

Skinęła głową.

- Ta cała opowieść o Richardzie i Rupercie była...

- Wyssana z palca - dokończyła.

- Jesteś dziewczicą. Odkryłem to przed chwilą.

Potwierdziła, rumieniąc się i nagle wróciła do rzeczywistości.

- Zwariowałeś?

- Oczywiście, że nie zwariowałem, skarbie. - Wciągnął ją na siebie, głaszcząc po plecach. Znalazł i pieścił malutki dołek u ich nasady. Patrzył, jak zaniepokojenie znika z jej twarzy.

Była zupełnie bezbronna i potrzebowała miłości, jego miłości. Chronił ją, opiekował się nią. Należała do niego, pragnął jej poświęcić resztę życia.

Uśmiechnął się.

- Czy mogę zapytać, dlaczego wymyśliłaś panów R i ich siłownię?

Obrysowała palcem kontur jego ust.

- Byłeś z siebie tak zadowolony, kiedy wpadłeś na pomysł z moim dzieckiem, dlaczego miałam to popsuć? Dodałam tylko kilka kolorowych akcentów.

Dał jej leciutkiego klapsa.

- Dobrze mi tak. Zakpiłaś ze mnie, kiedy zlekceważyłem prawdę, którą próbowałaś mi powiedzieć, tak, Kelly? Stwierdziłem, że nie powinnaś odgrywać niewinnej dziewczicy, porwanej przez emocje.

- To się akurat zgadza. - Otarła się o niego prowokująco.

Przewrócił ją na plecy.

- Namiętna, urocza niewinność. - Znalazł jej usta i całował je powoli, mocno i gorąco.

Kiedy podniósł głowę, jej źrenice były rozszerzone, a twarz płonęła. - Słodka i głodna dziewczica, która będzie podniecającą i żywo reagującą kochanką.

Serce podskoczyło jej z radości.

- Tak sądzisz?

Całował ją żarliwie i czule.

- Jestem tego pewny.

Westchnęła i przytuliła się mocniej, a on znów ją pocałował. Z szybkością, która zdumiała ją, pocałunek stał się głębszy, zmienił się z czulego w namiętny.

Wsunęła swój język do ciepłej otchłani jego ust. Ich piersi stykały się. Wszystko, czego pragnęła, było zawarte w tym pocałunku. Pożądanie i potrzeba. Dawanie i branie. Partnerstwo i zrozumienie. Serce Kelly przepelniała miłość. Poczwała przyptyw gwałtownej, kobiecej siły, kiedy jego ciało zadrżało pod jej rękoma. Chciał być całowany i pieszczony. Pragnął jej. Był to najśłodszy podarunek, jaki mógł jej dać.

Położył ją. Pod plecami czuła miękkie prześcieradło. Spojrzała na niego kochającymi oczami.

- Nie chcę sprawić ci bólu - szepnął, schylając się nad nią, duży, mocny i podniecająco męski. - Będę delikatny, Kelly. Nie zranię cię. Nie bój się, kochanie.

- Nigdy - szepnęła. Oddawała mu się z rozkoszą, bez żadnych zobowiązań i oczekiwań. Cokolwiek wydarzy się później, nikt jej nie odbierze wspomnień tej chwili.

Ich ciała splotły się z sobą. Patrzył jej w oczy, kiedy w nią wszedł. Otworzyła się przed nim jak pęk kwiatu. Wstrzymała oddech, kiedy nadszedł ból i zaraz potem stała się jednością z mężczyzną, którego kochała.

To przechodziło jej wszelkie wyobrażenia. Mówiła mu to, o czym do tej pory bała się nawet myśleć, on szeptał także słowa tajemne i święte. Ruszała się razem z nim, dla niego, a pulsujące napięcie rosło i potęgowało aż do momentu, gdy jego ciało wygięło się po raz ostatni i kiedy krzyknął. Przytrzymała go mocno, gdy wstrząsnęły nim dreszcze rozkoszy rozchodzące się w jej wnętrzu, potęgując ekstazę prawie nie do zniesienia.

Kelly jęknęła i przywarła do niego całym ciałem, kiedy wypełniała ją jego miłość. Oboje pograżyli się w cudownym zapomnieniu.

Mogły minąć minuty albo godziny, zanim Kelly wyrwała się z tego magicznego wymiaru. Zwykły czas nie miał tu nic do roboty. Leżała w ramionach Brandta, wtulała się w jego spocone ciało. Jego duże dłonie nie odpoczywały. Czuła się jednocześnie ożywiona i omdlała, pobudzona i zaspokojona.

- Nie przypuszczałam, że to będzie tak cudowne - szepnęła i pocałowała go w szyję.

- Nie zawsze jest tak wspaniale. To było całkowite spełnienie prawdziwej miłości. - Musnął jej spuchnięte od pocałunków usta. - Spełniliśmy się oboje.

Uśmiechnęła się przebiegle.

- Nieźle jak na amatorkę, co, Madison?

Pocałował jej powieki nos i usta.

- Mam wystawić ci ocenę, Malloy? - Złapał ją za udo. - Piątka z plusem. Zaslugujesz na najwyższą pochwałę.

- Prawdziwe wyróżnienie z ust cieszącego się sławą w całym kraju Kawalera Miesiąca! Wiesz, że zawsze marzyłam o pójściu do łóżka ze zdobywcą Pulitzera, który lubi kuchnię włoską i jeździ granatowym maserati?

- Poważnie? Cóż, wystarczy para czarnych koronkowych majtek z wyhaftowanym numerem telefonu wysłana pocztą - i jesteś wciągnięta na listę.

Roześmiali się. Pieszczotliwie uszczypnęła go w brzuch. Złapał jej dłoń, podniósł do swoich ust i pocałował.

- Nie miałem pojęcia, jak szare było moje życie, dopóki ty go nie rozjaśniłaś - powiedział lekko ochryplym głosem, a oczy mu pociemniały. - Kocham cię, Kelly.

Słowa uwięzły jej w gardle. Spojrzała na niego oszołomiona. Czy się nie przesłyszała? Nikt nigdy jej tego nie powiedział. Chrzaknęła.

- Możesz powtórzyć?

Teraz Brandt popatrzył na nią.

- Nie dosłyszałam, co powiedziałeś.

Uspokojony, uśmiechnął się. Przycisnął ją jeszcze mocniej.

- Powiedziałem, że cię kocham, Kelly.

Uczucie szalonej radości wypełniło jej serce. Powiedział, że ją kocha! Zamknęła oczy i rozkoszowała się tą chwilą, była pewna, że zapamięta wszystko na zawsze: blask słońca na ścianie, otaczające ją ramiona, jego ciężar wgniatający ją w materac. Brzmienie jego głosu, kiedy wypowiadał słowa, których nigdy nie spodziewała się usłyszeć. „Kocham cię, Kelly.” Otworzyła oczy, spojrzała na niego i zastygła tak, ucząc się na pamięć każdego szczegółu jego twarzy. Jeszcze długo po tym, jak odejdzie od niej, będzie mogła odtworzyć ten cudowny moment i ponownie przeżyć ogarniające ją teraz szczęście.

Ujęła jego twarz w dłoń.

- Nie będziesz nigdy żałował, że to powiedziałeś, Brandt - oznajmiła z przejęciem, wpatrując się w niego szeroko rozwartymi, ciemnozielonymi oczami. - Nie dam ci powodu, żebyś tego żałował.

- Oczywiście, że nie, kochanie. - Uścisnął ją.

Powiedziała to, co chciała powiedzieć. Brandt był tak miły, żeby jej to powiedzieć, ponieważ wiedział, że trzeba to powiedzieć kobiecie, którą kocha się po raz pierwszy. Zdawała sobie sprawę, że nie należy tego brać poważnie, nie należy spodziewać się niczego po tej deklaracji. Brandt Madison miałby JĄ kochać? Była realistką, potrafiła odróżnić fantazję od rzeczywistości.

- Jesteś cudownym facetem, Brandt - westchnęła szczęśliwa. Zakochała się w prawdziwym księciu. Nigdy nie da mu pretekstu do tego, żeby poczuł się nieszczęśliwy albo przygnieciony jej potrzebami i pragnieniami. Nie będzie go do siebie przywiązywać, będzie mógł odejść, kiedy tylko zechce. Tak bardzo go kocha.

Uśmiechnął się i pocałował ją.

- To ty jesteś wspaniałą kobietą, najdroższa. - Ziewnął zupełnie nieromantycznie. - Przepraszam cię, skarbie. Jestem taki zmęczony. Oczy same mi się zamykają. Nie spałem dużo ubiegłej nocy.

- Tak się kończy spanie w jednym łóżku z zawodniczką olimpijskiej kadry zapaśniczej - docięła mu.

Ziewnął przeciągle.

- Chyba zaryzykuję znowu. Zdrzemnijmy się chwilkę, Kelly.

Położył się koło niej na boku i przyciągnął do siebie. Objął ją w pasie. Ich nogi splotły się. Po chwili już chrapał. Kelly leżała spokojnie w jego ramionach, ciesząc się jego bliskością, znajdując przyjemność w każdej chwili pozostawania w jego objęciach.

Jej zupełnie nie chciało się spać. Uniosła się lekko i spojrzała na zegarek. Minęło południe. Coś jej się przypomniało...

Usiadła. Brandt mamrotał przez sen. Przekreślił się na brzuch. Dzieci! Miała się z nimi spotkać na stacji pod Monsambłą o pierwszej. Szybko wyskoczyła z łóżka, uważając, by nie obudzić Brandta. Był taki zmęczony, biedaczek! Z czułością pocałowała go w policzek.

Nie zdarzało jej się nie pójść na umówione spotkanie. Zawsze dotrzymywała obietnic. Przejrzała walizkę i wciągnęła wąskie, szare spodnie i obszerną, jasną bluzkę w czarne pasy. Wzięła płócienne trzewiki, bo doszła do wniosku, że będą bardziej praktyczne na tę okoliczność. Prędko przyczesła włosy, złapała torbę i skierowała się ku drzwiom. Zatrzymała się na progu.

Brandt był na nią wczoraj zły, kiedy wyszła. Nie chciała denerwować go znowu. Wróciła i zostawiła małą kartkę: *Wyszłam spotkać się z przyjaciółmi na stacji kolejowej na Monsambłą.*

Podpisała K i zatknęła papier za lustrem. Cicho wyszła z pokoju.

Gdy tylko weszła do holu, dostrzegła Para de Leona taksującego wzrokiem piersiastą kobietę w krzykliwej sukience i najwyższych w świecie szpilkach. Przystanąła na chwilę i spojrzała na siebie. Czy biust tej kobiety był naturalny? Jeżeli tak, powinna się znaleźć w Księdze Rekordów Guinnessa!

Para de Leon był z całą pewnością oczarowany. Nie spuszczał jej z oka. Powiedział jej coś i kobieta skinęła i wzięła go po rękę. Kelly patrzyła, jak znikają w staromodnej windzie. Wyszła na zewnątrz. Mały szpicel był za bardzo zajęty, żeby zauważyć jej zniknięcie.

Żeby nie marnować czasu wzięła taksówkę i dotarła nią pod Monsambłą. Jej mali przyjaciele czekali przed budynkiem. Zauważyła buty na nogach Diega, miała nadzieję, że



przyczyniły się do tego pieniądze, które dała im wczoraj.

- Seniorita Kelly! Przyszła pani! - krzyknęła radośnie Marisol.

- Oczywiście. Dlaczego miałam nie przyjść? Powiedziałam przecież, że będę. -  
Uśmiechnęła się do nich. - Co będziemy dzisiaj robić?

- Seniorita Kelly, czy ma już pani dziecko? - zapytał poważnie Juan i Kelly spojrzała na niego zaskoczona. Przypomniała sobie, że powiedziała im, że przyjechała do Avidy adoptować dziecko. Żałowała, że ich okłamała i miała zamiar wszystko im wyjaśnić.

- My mamy dziecko dla pani! - oznajmiła triumfalnie Marisol, zanim Kelly się odezwała. -  
Niech pani pójdzie z nami. - Złapała Kelly za jedną rękę, a Diego za drugą. Zaintrygowana ruszyła za nimi.

Po niedługim czasie znaleźli się w zatłoczonej wiosce, której istnienia nawet nie podejrzewała. Nie było tu ani śladu szerokich, asfaltowanych ulic, wysokich budynków ani eleganckich sklepów. Otoczona chałupami droga była brukowana i brudna. Niektóre z nich były drewniane, inne zrobione z gliny, chrustu, błota i karbowanej tektury. Na końcu ulicy była studnia, przy której stała kolejka ludzi z wiadrami. Nie było kanalizacji. Nie było przewodów elektrycznych ani telefonicznych. Pudełka z tektury nie mogłyby być podłączone do linii wysokiego napięcia lub komunikacyjnych.

- Mieszkacie tutaj? - spytała. Serce jej trzepotało w piersi. Nigdy nie widziała takiego ubóstwa. Nigdy. Myśl o dzieciach mieszkających w takich warunkach raniła ją.

- Tu! - Juan wskazał jakąś chatę i po chwili weszli do jej jedynej izby. Wciąż trzymała za rękę Marisol i Diego.

W środku było ciemno. Jedyne meblami były stół ze złamaną nogą i krzesło. Na rozwieszonych sznurkach wisały koce. Na prymitywnym łóżku mała dziewczynka bawiła się lalką. W rogu pokoju dwoje dzieci (były to chyba bliźniaki) zabawiało się, rzucając do siebie kolorową piłkę.

Zdumiał ją widok zabawek w rękach dzieci. Wyglądały na całkiem nowe.

- To moja siostra, Carmelita. - Juan przedstawił ją z dumą. Przy łóżku siedziała z dzieckiem na ręku młoda, ładna kobieta. - Carmelita, to jest Seniorita Kelly.

Kelly uśmiechnęła się na przywitanie. Oczy Carmelity były pełne łez.

- Dziękuję pani za jedzenie dla dzieci i za zabawki - powiedziała po hiszpańsku.

Kelly wszystko natychmiast zrozumiała. Za część pieniędzy, które im wczoraj dała, dzieci kupiły żywność i zabawki dla najmłodszych. Popatrzyła z zadowoleniem na Juana, przypatrując się dzieciom Carmelity. Wydawał się taki dorosły. Czują dla niego podziw. Mógł przecież zostawić pieniądze tylko dla siebie, a on kupił jedzenie dla całej rodziny i zabawki dla małej siostrzenicy i siostrzeńców.

Carmelita wstała.

- Juan mówił mi, że pani szuka dziecka, że po to przyjechała pani do Avidy. - Podała Kelly niemowlę. - Proszę go wziąć. Jest pani.

Kelly zgłupiała. Dziecko wierciło jej się na ręku. Spojrzała w jego duże, ciemne oczy.

- Pani... pani chce oddać mi swoje dziecko? - Była przerażona, to było jakieś straszne nieporozumienie.

Dzieci zaczęły mówić wszystkie naraz. Maluch w jej objęciach popłakiwał. Carmelita usiadła na zmiętoszonym łóżku i szlochała. Kelly przez chwilę zastanawiała się, czy to nie jakiś koszmarny sen. Wiedziała jednak, że nie śni. To był koszmar, ale prawdziwy - koszmar, w którym żyła Carmelita i reszta dzieci. Siadła obok kobiety, którą wstrząsały spazmy płaczu. Była pewna jednego: Carmelita nie chciała oddawać dziecka.

- Juan - zwróciła się do chłopca, próbując uspokoić popiskujące niemowlę. - Powiedz mi, o co tu chodzi.

Juan wyglądał tak, jakby także miał się za chwilę rozplakać. Zaczął opowiadać, wpatrując się w zarzuconą słomą podłogę.

Przez ostatnie pięć lat mieszkał z siostrą i jej rodziną. Mąż Carmelity, Antonio, był dobrym człowiekiem, ciężko pracował. Starali się zaoszczędzić pieniądze, żeby się stąd wynieść. Ale ciągle rodziły się dzieci. Pół roku temu, na dwa miesiące przed urodzeniem się małego Louisa... Kelly zmarła. Wiedziała, co chłopiec powie, zanim jeszcze padły te słowa. Antonio, ojciec Louisa - zmarł. Popatrzyła na dzieci, na załamana Carmelitę.

- Tak mi przykro - odezwała się cicho. Chciało jej się płakać.

Antonia potrącił samochód. Zginął na miejscu - dokończyła Carmelita. - Gdy Louis się urodził, przyszedł ten sęp Carista i chciał go kupić.

- Carista? - Kelly wstrzymała oddech. - Manuel Carista?

Carmelita potaknęła.

- Przychodzi tu często i kupuje dzieci od ludzi zbyt biednych i zbyt zdesperowanych, by mu odmówić. Obiecuje im, że dziećmi zaopiekują się bogate rodziny z Ameryki, które mieszkają w pięknych domach i mają wszystko. Ale ja nie mogłam sprzedać mojego maleństwa. Nawet teraz... - zaszlochała. - Nie mogę jednak go tu zostawić. Nie mam pieniędzy. Muszę go oddać. Ale nie mogę go sprzedać temu człowiekowi. Juan mówił, że pani jest miła i wielkoduszna i że szuka pani dziecka. Dam pani moje dziecko. Czy weźmie pani Louisa do Ameryki i stworzy mu dobry dom?

Kelly słyszała rozpacz w głosie Carmelity, widziała rozterkę na jej twarzy. Nagle jej myśli powędrowały gdzie indziej. Czy jej matka nie mogła też być tak zrozpaczona i zdesperowana jak Carmelita? Czy nie była zmuszona postąpić wbrew sobie, zaślepiona brakiem nadziei i strachem?

Małej Kelly już nic nie mogło pomóc. Ale był jeszcze czas, żeby uratować małego Louisa i jego rodzinę. Oddała dziecko Carmelicie; gdy tylko znalazło się u niej na rękach natychmiast przestało płakać. Wiedziała, że postępuje słusznie. Z torebki wyjęła portfel. Miała sto pięćdziesiąt swoich dolarów i siedemset pięćdziesiąt z wydawnictwa na koszty podróży. Oczywiście, musiała zapłacić za posiłki i połowę sumy rachunku za hotel, ale... Kelly podała Carmelicie zwitek banknotów.

- Miejsce Louisa jest przy tobie, tu, z rodziną, w Avidzie. Dobrze zrobiłaś, że nie sprzedałaś go Cariście. - Przerwała na sekundę. - Możesz wymienić amerykańskie pieniądze?

W pokoju panowała cisza. W końcu Carmelita kiwnęła głową.

- Carmelita, chcę ci pomóc - ciągnęła Kelly. Może, gdyby ktoś pomógł jej matce, nie musiałaby zostawić swego dziecka na ulicy Chicago w tę deszczową noc. - Będę przysyłać pieniądze co miesiąc. - Nie wydawała dużo na siebie i Buttera, więc mogła sobie na to pozwolić.

Juan uśmiechnął się szeroko. Objął siostrę, wpatrując się w darowane jej pieniądze. Kelly wyciągnęła notes i długopis.

- Jaki jest wasz adres?

- Proszę przysyłać pieniądze do kościoła, do ojca Ramona - odparł Juan. - Chodźmy, zaprowadzę tam panią.

Kelly zgodziła się.

- Czy później zaprowadzisz mnie do kilku kobiet, które sprzedały swe dzieci Cariście? Chciałabym zapoznać się z faktami...

Trzy godziny później Kelly żegnała się ze swoimi młodymi przyjaciółmi na stacji kolejki. Bez namysłu podała Marisol swój aparat fotograficzny i rolki nie wykorzystanych filmów.

- Przysyłajcie mi wasze zdjęcia od czasu do czasu. Ojciec Ramon ma mój adres.

Z ojcem Ramonem poznała się w starym, zrujnowanym kościółku na obrzeżach wioski. Zakonnik ubolewał nad ubóstwem swych parafian i z wdzięcznością przyjął jej propozycję pomocy. Potem Juan zabrał ją do pięciu młodych kobiet, które opowiedziały jej, jak Carista je podszedł. Za dzieci dostały równowartość stu dolarów. Carista obiecał im, że „pomocze znaleźć bogatych rodziców i dobre domy dla ich dzieci”. Oferowana suma wydawała się majątkiem, a obietnica zapewnienia dzieciom wspaniałego życia była nie do odrzucenia. Żadna z kobiet nie miała pojęcia, że Carista zarobił na dzieciach fortunę, a Kelly nie miała serca im tego powiedzieć.

Przypomniała sobie, jakiej ceny żądał Para de Leon - dziesięć tysięcy dolarów - i krew się w niej zagotowała. Teraz bardziej niż kiedykolwiek marzyła o tym, żeby aresztować te dwa ludzkie sępy, żerujące na nieszczęściu innych, i ukrócić ich przestępczy proceder.

Kelly uściskała każde z dzieci na pożegnanie. Nie miała ani centa, więc nie było mowy o taksówce, jednak perspektywa pójścia na piechotę do hotelu nie przerażała jej. Uśmiechnęła się do siebie. Była ciekawa, co Brandt powie na jej rewelacje. Historie opowiedziane przez matki i ich taśma wystarczą, żeby założyć dwóm handlarzom poważną sprawę.

Wróciła myślami do kochanka. Przeszły ją przyjemne dreszcze na myśl o ponownym ujrzeniu go, całowaniu, dotykaniu...

Taksówka podjechała tak blisko krawężnika, że Kelly musiała uskoczyć w bok.

- A podobno tylko w Nowym Jorku w taksówkach jeżdżą wariaci - mruknęła. Krzyknęła, gdy tylne drzwi taksówki otworzyły się i ktoś wystawił rękę w jej kierunku. Duża, silna dłoń złapała jej nadgarstek i wciągnęła ją do środka.

9

- Brandt! - wrzasnęła, gdy cisnął ją na siedzenie obok siebie. Zamknął drzwi i kazał kierowcy ruszyć. - A to niespodzianka? - Uśmiechnęła się do niego uradowana. - Właśnie wracam do hotelu. - Nagle zauważyła, że patrzył na nią groźnie.

- Brandt? Czy coś się stało?

„Czy coś się stało? ona jeszcze pyta! Takim niewinnym tonem!” - pomyślał wzburzony.

- Tak, Kelly, zdecydowanie coś się stało. Jeździłem po mieście godzinami, próbując cię znaleźć. Cholera! - zagrzmał.

- Gdzie byłaś, do diabła?

Była zdumiona.

- Pojechałam pod Mansambkę, żeby spotkać się z przyjaciółmi. Zabrali mnie...

- Wyszłaś z hotelu beze mnie i włóczyłaś się po mieście z... Z kim właściwie ty się spotkałaś, Kelly?

Nie podobał jej się ton ani to, co mówił.

- Spotkałam się z dziećmi, które poznałam wczoraj. Obiecałam im, że przyjdę dzisiaj i...

- Pozwól, że powiem ci, co o tym myślę - przerwał jej, wściekły. - Widziałaś, jak wczoraj martwiłem się o ciebie, gdy zniknęłaś, wiedziałam, co czułem, i całkowicie to zlekceważyłaś (nie mówiąc już o odrobinie zdrowego rozsądku), robiąc dzisiaj to samo!

Przyjrzała mu się uważnie. Miał ściągniętą twarz, malowała się na niej złość. Miał szorstki głos, był obcesowy. Bezwiednie odsunęła się od niego w stronę okna.

- Zostawiłam... zostawiłam ci wiadomość - odparła cicho.

- Wiadomość? - wybuchnął - Wiadomość! To mnie miało uspokoić? Budzę się i widzę świstek, na którym jest napisane, że polazłaś do jednego z najniebezpieczniejszych miejsc w tym mieście, do miejsca, które graniczy ze slumsami, ciesząc się najgorszą sławą przestępców w Ameryce Południowej...

- Slumsy naprawdę były okropne, ale nie powiedziałabym, żeby roiło się w nich od przestępców. Chodziłam tam z dziećmi i nikt mnie nie zaczepił. Wręcz przeciwnie, wszyscy byli bardzo mili i serdeczni.

- Chodziłaś po slumsach Monsambry? - Brandt cedził słowa. Był zupełnie czerwony, właściwie purpurowy. Kelly wpatrywała się w niego zafascynowana. - Taksówkarz powiedział mi, że mordują tam kogoś przynajmniej raz dziennie. W zeszłym tygodniu znaleźli tam businessmana z Florydy z poderżniętym gardłem!

- Może handlował narkotykami? - zaproponowała nieśmiało. - Nie widziałam nikogo, kto by wyglądał na podrzynacza gardła.

- A skąd możesz wiedzieć, jak ktoś taki wygląda? Mała, głupia kobietka! Nie zdajesz sobie sprawy, gdzie byłaś?! - krzyczał. Narastający w ciągu ostatnich godzin strach o nią przerodził się w wybuch wściekłości, gdy zdał sobie sprawę z faktu, że w ogóle nie uświadamiała sobie grożącego jej niebezpieczeństwa.

- To miejsce jest tak niebezpieczne, że ostrzegają przed nim wszystkie przewodniki turystyczne! I jeszcze ten Para de Leon. To przestępca, Kelly. Założył przecież u nas pod-słuch! Nie przyszło ci do głowy, że mógł zacząć nas podejrzewać?

Miałby ułatwioną sprawę, gdyby znalazł cię samą w slumsach...

- Ale mnie nie znalazł - odparła z przekonaniem. - Para de Leon był zajęty kobietą, która ma największy biust w Ameryce Południowej. W życiu by sobie o mnie nie przypomniał. Nie zauważył, kiedy wyszłam.

Zrozumiał, że nie zdawała sobie sprawy z powagi sytuacji. Jego złość sięgnęła zenitu.

- Teraz za to wie, że wyszłaś. Szuka cię, Kelly. Na szczęście nie ma pojęcia, że jesteś taka głupia, a ja mu tego nie powiedziałem. Poszedł szukać cię po sklepach - czyli tam, gdzie poszłaby każda normalna, młoda dziewczyna.

- Nigdy nie twierdziłam, że jestem normalna - rzuciła od niechcienia. - Przez całe życie nie miałam nic wspólnego z normalną normalnością.

- A gdzie się podziała twoja mózgowica? Z nią też nie miałaś nic wspólnego? - wysapał.

Spojrzała na niego ukradkiem i z trudem przełknęła ślinę. Myślała, że serce jej pęknie. Zaczynała powoli rozumieć. Brandt miał całe popołudnie na rozważenie swej pochopnej deklaracji. Teraz wpadł w panikę; nie było co do tego cienia wątpliwości. Chciał pozbawić ją złudzeń i rozwiązać plany na przyszłość, które mogłaby snuć po tym, jak powiedział, że ją kocha. Jak gorzko teraz tego żałowała.

Przeszył ją straszliwy ból. Wbiła paznokcie w zaciśnięte dłonie. Wiedziała od początku, że będzie chciał ją zostawić, ale nie spodziewała się, że nastąpi to tak szybko. Chciała być z nim dłużej, chciała mieć więcej wspomnień. Ale jeżeli to ma być najważniejsza w jej życiu nauka - zapamiętaj ją dobrze. Pragnienie czegoś wcale tego nie przybliżało. Trzeba się było z tym pogodzić, i to im prędzej, tym lepiej.

Wyprostowała się, powstrzymując łzy.

- Nie chodziłam tam dla przyjemności. Pracowałam dalej nad materiałem o sierocińcu. Mój notes jest pełen zeznań matek zmuszonych do sprzedania Cariście swych dzieci.

- Mam gdzieś Caristę.

- Dam ci ten notes, jeśli chcesz - była uprzejma. - Znajdziesz tam nazwiska, daty i sumy.

Podala mu notes i znów skryła się za murem budowanym przez lata. Pokaże mu, że nie dba o to, że on już jej nie chce. Ich związek zaczął się na płaszczyźnie służbowej i tak się skończy.

- Zawiozłeś już taśmę do ambasady?

Brandt wpatrywał się w nią. Widział dokładnie jej maskę.

Rozjuszyło go to.

- Niestety, jeszcze tam nie byłem. Szukałem ciebie! Co za niedopatrzenie, że nie pomyślałem o slumsach? Mógłbym cię tam znaleźć zabawiającą się w Lois Lane - reporterkę z włokącym się za nią gangiem młodocianych złodziejasków.

Im dłużej mówił, tym bardziej się od niej oddalał. A ona robiła się coraz bardziej obca. W końcu postanowił złośliwością pokonać spokój i zmusić ją do płaczu. Chciał, by płakała tak jak dziś rano. Wtedy mógłby wziąć ją w ramiona i kochać, a dzielący ich mur zostałby zburzony. Ale nie mógł jej dotrzeć. Im dłużej się starał, tym bardziej był odległa. Fizycznie siedziała tuż koło niego, psychicznie była o lata świetlne dalej.

Kelly wyczuła jego desperację. Była pewna, że dobrze ją odczytała. Chciał się od niej uwolnić. Była powodem jego wściekłości i musiał ją od siebie odepchnąć. Przypuszczała, że wiele lat temu tak samo zareagowała jej matka. Coś, co w niej było - ta wrodzona cecha, która sprawiała, że nikt nie mógł jej pokochać - kazało tej biednej kobiecie porzucić ją.

A teraz Brandt zachowywał się w ten sam sposób. Z tą różnicą, że Kelly nie była już małym, potrzebującym miłości dzieckiem. Teraz była dorosłą kobietą i mogła pójść swoją własną drogą.

Na prośbę Brandta taksówkarz zawiózł ich do Ambasady Amerykańskiej. Tam, po rozmowie z urzędnikami zawiadomiono policję. Powiadomiono władzę także o materiałach, których kopie udostępnił ambasadzie Brandt i Kelly.

Młody żołnierz piechoty morskiej eskortował ich do hotelu. Spakowali się szybko i pojechali na lotnisko. Żołnierz miał rozkaz pozostać z nimi do czasu, aż wejdą na pokład samolotu do Miami. Na lotnisku dowiedzieli się, że Para de Leon został aresztowany w hotelu w towarzystwie dobrze znanej avidiańskiej puty.

- Charles, zanim wejdziemy do samolotu, chciałabym cię o coś poprosić. - Kelly zwróciła się z uśmiechem do patrzącego na nią z zachwytem młodego marynarza.

Była czarująca i przemiła dla tego chłopaka, całkowicie inna niż w stosunku do Brandta.

- Czy pożyczysz mi równowartość dziewięciu dolarów w pesos?

- Oddam oczywiście - dorzuciła szybko. - Chcę kupić jakiś prezent dla mojej Małej Siostrzyczki. Myślę, że spodoba jej się indiańska lalka ze sklepu z upominkami.

- Nie ma sprawy. - Sięgnął do kieszeni i wyjął pieniądze z portfela. - Kup największą.

- Jesteś wspaniały! - Kelly promieniała. - Jutro wyślę ci pieniądze. Obiecuję, Charles.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- Dlaczego musisz pożyczać pieniądze? - zapytał ostro Brandt, zły, że nie zwróciła się z tym do niego. Przecież wiedziała, że oddałby jej wszystko. Po tym jak doprowadziła go do szaleństwa ze strachu o nią, powinna wiedzieć, ile dla niego znaczy.

Kelly zastanawiała się, czy mu odpowiedzieć. Ostatnie dwie godziny nie były najgorsze, nie musiała zwracać się do niego bezpośrednio. Raniło ją mówienie, nawet patrzenie na niego.

- Gdzie są pieniądze na twoje wydatki? - naciskał. - Mówiłaś, że masz też własne pieniądze...

- Nie mam już żadnych pieniędzy - przerwała.

- Przecież nic nie kupiłaś... - przerwał, żołądek podszedł mu do gardła. - Boże, okradli cię w tych slumsach. - I nie pisnęła mu nawet słówka. Jasne, przecież był na nią tak wściekły, gdy tylko ją zobaczył, że nie dał jej dojść do głosu.

Miał wyrzuty sumienia.

- Kelly, powiedz, co się stało. Nie jest jeszcze za późno, żeby pójść na policję i...

- Nikt mnie nie okradł. Dałam komuś te pieniądze. - Brzmiało to jak prowokacja.

- Dałaś komuś swoje wszystkie pieniądze? - wtrącił się zdumiony Charles. - Wszystkie?

Kelly potaknęła. Brandt odetchnął, że Charles przejął dochodzenie.

- Komu je dałaś, Kelly?

- Carmelicie, młodej matce, która chciała oddać mi swoje dziecko, żeby nie musiała sprzedawać go Cariście.

- Ile jej dałaś? - indagował zaciekawiony żołnierz.

- Dziewięć stów - odpowiedziała niechętnie. Widziała, jak wymieniają między sobą spojrzania. - Potrzebowała ich bardziej niż ja.

- Dałaś dziewięćset dolarów obcej kobiecie? Której nigdy dotąd nie widziałas ani nigdy więcej nie zobaczysz? Dobry Boże, potrzebny ci psychiatra!

- Chciałam pomóc Carmelicie i Louisowi - wysapała, dotknięta do żywego. - Ona go kocha, a dziecko powinno być z matką. A zresztą, jeśli mam ochotę oddać komuś swojego ostatniego centa, tobie nic do tego!

Poszła do małego sklepiku z pamiątkami. Dwaj mężczyźni odprowadzili ją wzrokiem.

- Nie spotkałem w życiu kogoś, kto oddałby dziewięćset dolarów nieznanemu osobie - dziwił się Charles. - Czy ona jest bogata?

- Wręcz przeciwnie - odparł ponuro Brandt. - Zarabia pewnie mniej od ciebie.

- Aha. To jakaś wariatka? - skonkludował żołnierz.

- Ona... ona ma inny stosunek do świata. - Brandt próbował tłumaczyć Kelly. Chciał zrozumieć motyw jej postępowania, ale ostatnio miał zupełny mętlik w głowie. Był pewien tylko jednej rzeczy: popełnił duży błąd, pozwalając sobie na sen, po tym jak się kochali. Powinien był powiedzieć jej to wszystko, co powinna usłyszeć.

Kochała się po raz pierwszy, i dlatego to nie był odpowiedni czas na odwrócenie się bokiem i zasypianie! Ale był tak wykończony bezseną nocą i nasycony fantastycznym zbliżeniem, że nie mógł powstrzymać się od zamknięcia oczu. A Kelly wydawała się tak szczęśliwa, pewna jego miłości. Co jej kazało zostawić go, pójść do tych cholernych slumsów i wałęsać się tam z bandą chuliganów? Teraz była przy nim, ale jednocześnie bardzo daleko od niego.

Wróciła, trzymając pod pachą lalkę w plastikowej torbie.

- Daj mi mój bilet, Brandt.

Bez wahania podał jej kopertę. Mieli jeszcze przed sobą całą drogę, żeby wszystko wyjaśnić. Trzygodzinny lot do Miami, przesiadkę i lot do Chicago.

- Pierwsza klasa? - Kelly studiowała bilet. Przypomniała sobie ich lot do Avidy, pocałunki Brandta i jego pieszczoty. Naukę hiszpańskiego, to, że jej pragnął, a ona mu się opierała. Do jej oczu znów napłynęły łzy, ale nie rozplakała się.

Zabawne, jak wszystko może się zmienić w przeciągu kilku dni. Teraz on jej nie chciał. A ona wcale by się nie opierała. Ale przyrzekła sobie nie narzucać się. Przeszywający ją ból był gorszy od ciosu w żołądek. Cóż, trzeba było przestać myśleć i zacząć działać.

- Idę wymienić ten bilet na klasę turystyczną - oznajmiła. Zaczynała myśleć logicznie. Dostanie zwrot różnicy w cenie i w Chicago będzie mogła wziąć z lotniska taksówkę do domu.

- Kelly, nie bądź śmieszna! - wysapał Brandt, ale nie spojrzała na niego i ruszyła prosto do kasy. Poszedł za nią. Usiłował jej to wyperswadować. Po chwili przyłączył się do nich Charles.

Dostała nowy bilet Oddalała się od niego coraz bardziej...

- Kelly, na miłość boską, możesz siedzieć w drugim końcu samolotu. Ja siądę z przodu, ty w tyle! - Był bezsilny.

- To jest myśl! - odparowała zwięźle. - Nie będę musiała wysłuchiwać twoich wrzasków.

- Nie wrzeszczałem na ciebie przez cały nasz pobyt tutaj - zaprotestował.

- Owszem, wrzeszczałeś. Nadal wrzeszczysz. Wiem, że myślisz, że jestem głupia, ale mam dość wysłuchiwania tego.

- Kelly, wcale nie myślę, że jesteś głupia! Jesteś nieroztropna. I impulsywna. - Wyobraził ją sobie w slumsach, gdzie niebezpieczeństwo czaiło się za każdym rogim. - I lekkomyślna.

Za każdym razem, gdy pomyślał, jak łatwo mógł ją stracić miał ochotę zabić ją za to narażanie się.

- Życie jest pełne niebezpieczeństw. Nie ma potrzeby dodatkowo kusić losu.

Skinęła głową.

- A ty nie będziesz tracił czasu na zamartwianie się o idiotkę, która tak postępuje.

Rozumiem. - Wszystko było jasne jak słońce. Nie chciał jej. Ten ranek to była fatalna pomyłka, której teraz żałowała. Dawał jej to do zrozumienia pod przykrywką troski o nią. Brandt Madison był gentelmanem: nie byłby tak okrutny, by powiedzieć jej prosto z mostu, żeby znikła. Na szczęście była na tyle bystra, żeby odebrać ten niewerbalny przekaz. I była na tyle dumna, żeby na to odpowiednio zareagować.

Była zdecydowana.

- Idę do odprawy. - Zwróciła się do żołnierza. - Charles, dziękuję za wszystko. Miło było cię poznać.

- I wzajemnie. - Uśmiechnął się i podali sobie ręce. - Powodzenia, Kelly. Staraj się - hmm - piklować swoich pieniędzy.

Zebrała swoje rzeczy i nie oglądając się, pospiesznie poszła w kierunku bramki. Brandt popatrzył za nią ponuro.

- Czy rzeczywiście na nią wrzeszczałem? - powiedział do siebie, ale odpowiedział mu Charles:

- Wydierałeś się na nią od kiedy was zobaczyłem.

Brandt patrzył zakłopotany.

- Myślałem, że dziś oszaleję, martwiąc się o nią. Za każdym razem, kiedy myślę, co jej się mogło zdarzyć - wpadam w furię.

Żołnierz zachichotał.

- Jak mamusia, której dziecko wybywa, nie mówiąc dokąd. Jest szczęśliwa gdy wraca, ale jednocześnie wściekła na siebie o to, że się tak bała i drze się na nie.

Brandt skrzywił się.

Dokładnie tak. Wszyscy to znali. Takiej reakcji matki doświadczyło każde dziecko, przynajmniej raz w życiu.

Dopiero w samolocie ta myśl uderzyła go. Czy Kelly też tego doświadczyła? Czy ktokolwiek zachowywał się irracjonalnie, bojąc się o nią? Jeżeli nie, jego dzisiejsze zachowanie było dla niej zagadką. A jeśli nie dojrzała miłości i troski w jego oczach, a tylko powierzchowny gniew i wściekłość? Co sprawiło, że odsunęła się tak nagle, jeśli zaledwie kilka godzin wcześniej oddała mu się cała i kochała go tak mocno?

Musiał z nią porozmawiać! Ale Kelly siedziała w zatłoczonej klasie turystycznej, gdzie nie było ani jednego wolnego miejsca. Zaprzyjaźniła się z bardzo młodą kobietą, podróżującą z dwójką małych dzieci i przykleiła się do nich jak rzep do psiego ogona aż do samego Miami. Każda próba rozmowy z nią kończyła się niepowodzeniem. Za każdym razem dwie szczebiotki i ich nie mniej rozmowna mamusia pochłaniały całkowicie jej uwagę.

Gdy dotarli do Chicago zdołała jakoś odebrać bagaż i złapać taksówkę, i związała mu. Kiedy dzwonił do niej do domu - jak tylko przyjechał do siebie - telefon odebrała Susan Lippert

- Kelly jest już w łóżku - powiedziała pogodnie. - To chyba ta zabójcza droga z Avidy. Biedna Kelly wyglądała jak wrak, gdy zobaczyłam ją w drzwiach. Powiedziała, że jest

skonana i poszła od razu do siebie. Zostawię jej wiadomość, że dzwoniłeś.

- Nie wspominała nic o naszej wyprawie? - zapytał ostrożnie.

- Nie, tylko to, że jest zmęczona po podróży.

Brandt zdrętwiał. Susan nie miała zamiaru zawołać Kelly do telefonu. Czy naprawdę spała, czy tylko zabarykadowała się w swoim pokoju, celowo się od niego odgradzając? Już raz tak zrobiła, kiedy podejrzewała, że Corrine jest jego kochanką. Tylko przy użyciu siły fizycznej miał wtedy okazję, aby się wytłumaczyć.

Teraz nie mógł znaleźć się blisko niej. Zdusił pomruk niezadowolenia.

- Susan, wiesz może czy Kelly wybiera się jutro do biura? - starał się być uprzejmy, a z pewnością nie miał na to ochoty. Był zmęczony, zniechęcony i zawiedźmy ponad miarę.

- Pewnie pójdzie, bez względu na to, jak się będzie czuła. Kelly jest strasznie zawzięta, jeśli chodzi o jej pracę - paplała.

„W ogóle jest zawzięta” - pomyślał.

- Dobranoc, Susan - położył słuchawkę i wpatrywał się w pustą przestrzeń przed sobą.

- To był on. - Susan zwróciła się do Kelly, opierającą się o framugę drzwi z Butterem na rękach. - On naprawdę chciał z tobą porozmawiać, Kel. - Susan spojrzała na Kelly podejrzliwie. - I chyba o czymś innym niż praca?

- Nie. - Kelly potrząsnęła głową. - Albo chce omówić zebrany materiał, albo znów powiedzieć mi, jak byłam głupia, dając pieniądze Carmelicie. Ale ja dziś wieczorem nie mam ochoty tego słuchać.

Nie mogła zaufać Susan. Musiała uporać się z tym sama.

Była do tego przyzwyczajona.

- Kim jest ta Carmelita? Ile jej dałaś, Kelly? Co w ogóle zdarzyło się w Avidzie? Wcale nie przesadziłam, mówiąc Brandtowi, że po powrocie wyglądałaś jak wrak. Dalej tak wyglądasz - mówiła zmartwiona.

Kelly wzruszyła ramionami.

- To ta zabójcza podróż - z pełnym przekonaniem przytoczyła słowa Susan. - O Carmelicie, o Louisie i reszcie dzieci opowiem ci jutro. - Ruszyła do swojej sypialni. - Muszę się przespać.

- Butter tęsknił za tobą - zawołała za nią Susan. - Ciągłe łąził do twojego pokoju i miauczał. Wymuszał, żebym z nim spała. Och! Nie wiem jak ty znosisz spanie w nocy razem z tą górą tłuszczu, Kel. On waży chyba tonę i wierci się niemożebnie.

- Butter mógłby to samo powiedzieć o mnie. - Kelly przypomniała sobie wspólną noc z Brandtem i uśmiechnęła się gorzko. - Oboje jesteśmy jak zawodnicy olimpijskiej drużyny zapaśników.

- Cóż, ja nie mogłam tego znieść. Wyrzuciłam go z łóżka i zamknęłam przed nim drzwi.

Kelly zaniósła kota do sypialni i położyła w nogach łóżka. Dwie minuty później siedział już na poduszce. Kelly przekręciła się na brzuch, a drugą poduszką nakryła głowę. Butter wlaź pod nią i położył się przy swojej pani. Przesunęła się, robiąc mu miejsce. Kot zaczął mruczeć. Wiedział, że może leżeć koło Kelly, nie obawiając się wyrzucenia za jakiegokolwiek kocie figle.

Kelly nie chciała myśleć o Brandcie; nie było sensu rozdrapywać starych ran. Dał jej tak dużo. Cudowne wspomnienia pierwszego zbliżenia, słowa „kocham cię” słyszane po raz pierwszy. Wcale nie oczekiwała, że będą razem. Wiedziała od początku, że ją zostawi.

Ale racjonalne tłumaczenie wcale nie łagodziło bólu. Kochała go, a jakaś głupia i bezrozumna jej część chciała wierzyć, że on kochał ją także. Gdzieś w jej głębi wciąż żyła dziewczynka, która chciała wierzyć w bajki. Znów płakała, z powodu tej małej dziewczynki i kobiety, która straciła swą pierwszą i jedyną miłość.

## 10

- Cześć Kelly, ktoś na ciebie czeka w pokoju Witta - powiedziała Jenny, sekretarka i asystentka „In the Know”, pokazując się na chwilę w pokoju, gdzie stało biurko Kelly.

- Dziękuję, Jenny. Zaraz idę. - Pomachała jej ręką. Miała nadzieję, że wyglądała na bardziej zainteresowaną, niż była w rzeczywistości. Spędziła bezsenną noc, usiłując zapomnieć o Brandcie; niestety, nie udało się. Obrazy, w których występował, migotały jak w kalejdoskopie, wciąż słyszała jego głos. I choć wygłaszała do siebie płomienne mowy mające

uwolnić od niego jej pamięć i serce, ból i tęsknota nie znikwały. Kochała go. Tak jak zawsze podejrzewała, miłość nierozzerwalnie wiązała się z bólem i tęsknotą.

Wstała wzdychając. Poprawiła wełnianą spódniczkę, kołnierzyk bluzki i przeczesła włosy, chcąc choć trochę poprawić swój wygląd. Wiedziała, że wygląda okropnie. Była skonana, miała podkrążone oczy i bladą, zmęczoną twarz. Susan rano radziła jej zostać w łóżku.

- Ta podróż musiała cię dużo kosztować, Kelly. Powinnaś odpuścić sobie chociaż jeden dzień, zanim znów zaczniesz harować.

Nawet o tym nie pomyślała. Chciała jak najszybciej pogrążyć się w pracy. Kiedy będzie pisała, nie będzie rozmyślać o Brandcie. Jednak tak jej się tylko wydawało. Myślenie o nim pochłaniało ją bez reszty. Nie była w stanie niczego napisać. Odkąd przyszła do biura, plotkowała z kolegami, kilkakrotnie odwiedzała automat do kawy. Potem przekładała bezmyślnie rzeczy z jednej szuflady do drugiej, chociaż porządkowi w nich panującemu nie można było nic zarzucić. Ale nie napisała ani jednego słowa.

Drzwi do gabinetu Witta były uchylone i Kelly weszła bez pukania.

- Witt, Jenny mówiła, że ktoś... - zamilkła natychmiast. Jedna z nóg na biurku Witta należała do... Brandta Madisona.

- Twój współpracownik przyszedł powspółpracować z tobą, Kelly. - Witt uniósł z zaciekawieniem brwi, gotowy obserwować dalszy rozwój wypadków.

- Nie jestem ślepa.

- To świetnie. - Witt postanowił zabłysnąć dowcipem. Kelly zdołała uśmiechnąć się uprzejmie, ale jej oczy pozostały niewzruszone.

- Cześć, Brandt! - poczuła, jak serce zaczyna jej bić gwałtownie, a na policzkach wykwita rumieniec podniecenia. Reagowała na jego widok jak psy Pawiowa na dźwięk dzwonka.

- Cześć Kelly.

Natychmiast odwróciła od niego wzrok. Stała przed nim z przyklejoną do twarzy żalną imitacją - cudownego zazwyczaj - uśmiechu. Chowiała się za swym murem, była daleka i niedostępna.

- Susan mówiła mi, że dzwoniłeś wczoraj wieczorem, kiedy już spałam. Wiem, że jak najszybciej chcesz zacząć pracować. Przepraszam, że nie udało nam się zrobić tego wczoraj.

- Była niesłychanie uprzejma i chłodna.

Brandt wiedział już, że ludzi się na próżno. Dziś rano obudził się z nadzieją na wyjaśnienie wczorajszego nieporozumienia - cokolwiek to było - które zaistniało między nimi. Kelly robiła wszystko, żeby rozwiać jego złudzenia. Ale ciągle jeszcze łączyła ich współpraca zawodowa. Kiedy znajdzie się z nią sam na sam, zrobi co tylko w jego mocy, żeby przełamać stawiane przez nią bariery.

Odchrząknął.

- Tak, chciałbym zacząć pracować jak najszybciej - starał się powściągnąć rozszalałe emocje. Cokolwiek myślała, nie chciał jej wystraszyć. - Rozmawiałem z Wittem. Nie widzi żadnego powodu, dla którego miałabyś zostać dzisiaj w biurze. Możemy pracować u mnie.

Nawet patrzenie na niego sprawiało Kelly ból. Pragnęła zamknąć oczy, by zniknął obraz mężczyzny, którego kochała, mężczyzny, który już jej nie potrzebował, który był całkowicie poza jej zasięgiem. Słuchała jego beznamiętnego głosu, kiedy omawiał pracę. Serce zamieniało jej się w sopel lodu. Wywnioskowała z chłodnego tonu, że nie zamierzał z nią pracować. Prawdopodobnie to Witt zasugerował, żeby poszli do Brandta. Z pewnością sądził, że w ten sposób wyświadczy przysługę zdobywcy nagrody Pulitzera, który był przy okazji bliskim przyjacielem ich szefa, Tuckera Norwalka. Witt podlizywał się bez opamiętania, kiedy tylko miał ku temu okazję.

Kelly wiedziała, że nie zdoła zachować maski obojętności, gdy znajdzie się sam na sam z Brandtem. Coraz trudniej było jej ukrywać uczucia. Przed oczyma stanął jej wymyślony koszmar zabiegania o jego łaski, błagania o miłość. I, oczywiście, zdawała sobie sprawę, że i tak od niej odejdzie. Za wszelką cenę chciała uniknąć upokorzeń.

- Zdecydowałam się nie pisać artykułu o adopcji, Brandt. - Słowa nie chciały jej przejść przez gardło. Powiedziała to jednak tak samo jak on beznamiętnie. - To co zdarzyło się w Avidzie, nie jest dobrym materiałem wyjściowym do tego, o czym chciałam napisać. Zresztą, to nieważne, oddam ci wszystkie twoje notatki, zrobisz z nimi, co zechcesz.



- Kelly, nie mówisz chyba poważnie! - Brandt wpadł w panikę. Wymykała mu się coraz bardziej. Chwilami miał wrażenie, że stracił ją całkowicie.

- Całkiem poważnie - jej usta wygięły się w coś, co, miała nadzieję, przypominało uśmiech.  
- Widzisz, myślałam o tym, o czym mówiłeś, kiedy się poznaliśmy. Twoja książka przyciągnie międzynarodową uwagę, będzie się świetnie sprzedawać. Powinna się w niej znaleźć cała historia z Avidy. Wtedy wywrze największy wpływ. Możesz też napisać postscriptum o dalszych losach Caristy i Para de Leona. Mam nadzieję, że dostaniesz następnego Pulitzera. - Uśmiechnęła się szczerze, bo była to prawda. - Naprawdę ci tego życzę.

Witt rozpromienił się.

- Kelly, to nadzwyczaj wspaniałomyślny gest z twojej strony.

„I dobre pociągnięcie strategiczne.” - Kelly mogła czytać w myślach Witt. Sądził, że chce sobie w ten sposób zaskarbić dozągonną wdzięczność osobistego przyjaciela ich wydawcy. Sobie i całej gazecie.

- Ale przecież chciałaś pisać o adopcji! - bronił się Brandt. Spojrzał na uśmiechniętego z zadowolenia Witt. - Co z pieniędzmi wydanymi w Avidzie? Przecież to magazyn pokrył wszystkie koszty. Nawet nie chcą mieć z tego artykułu?

To nie było fair, wiedział doskonale. Zwłaszcza, że wydała pieniądze do ostatniego centa i nie miała żadnych rachunków. Jeśli się przyczepią zapłaci. Musiał walczyć o Kelly i zamierzał wykorzystać wszystkie środki wiodące do celu.

- Napiszę artykuł o Ojcu Ramonie, o tym, jak pomaga tym biedakom w slumsach - Kelly zwróciła się do Witt. Była pewna, że to mu się nie spodoba.

Miała rację.

- To akurat możesz opisać w „Reader’s Digest”. To nie jest temat dla „In the Know”. Rozumiesz, wolałbym coś mniej - hmm - chwytającego za serce. Zapomnij o podróży do Avidy. Pokrywamy czasem z budżetu wydatki, z których później nic nie wynika.

Kelly przytaknęła.

- Co byś powiedział na „Wpływ kuchni południowoamerykańskiej na życie wieczne”?

- Doskonale! - odparł Witt. - Ale lepiej napisz to, zanim kuchnia południowoamerykańska wyjdzie z mody.

- Zaraz się za to zabieram - obiecała. Odwróciła się do Brandta, ale nie patrzyła już na niego. - Zostawię notes u Jenny. Życzę powodzenia, Brandt. Mam nadzieję, że znajdę twoją książkę na liście bestsellerów.

Była z siebie dumna. Nie załamała się, nie upokorzyła i nie wprawiła Brandta w zakłopotanie. Dotrzymała danej sobie obietnicy i nie sprawiła, żeby żałował słów wypowiedzianych tamtej nocy.

Z godnością wyszła z pokoju. Wiedziała, że widzi Brandta po raz ostatni. Jednak nawet wtedy, kiedy gratulowała sobie niezłomnej postawy, znów odezwały się w niej wspomnienia słodkich chwil spędzonych u jego boku. Jedynych naprawdę szczęśliwych chwil w jej życiu. Gdyby tylko ją zatrzymał, wziął w ramiona i...

Potrząsnęła głową, chcąc odegnąć natrętne myśli i poszła do swego pokoju po notes.

Brandt patrząc za nią, powstrzymywał się od przemożnej chęci zatrzymania jej, chwycenia w ramiona i zabrania tam, gdzie nikt by im nie przeszkadzał. Do miejsca, gdzie sprawiłby, że Kelly, musiałby przyznać, że go potrzebuje.

Ale Witt wciąż coś do niego mówił, a po chwili zjawiła się Jenny z notesem Kelly. Przygnębiony Brandt wyszedł z biura sam.

O siódmej stał pod drzwiami mieszkania Kelly z dużym bukietem stokrotek. Susan była nim oczarowana. Szybko znalazła jakiś wazon. Kelly nie było w domu. Brandt nie silił się nawet, żeby ukryć swe rozgoryczenie i złość z tego powodu.

- Kiedy Kelly wróci? Mam dla niej ważne wiadomości o Cariście, Para do Leonie i sierocińcu Przyjaciół Dzieci w Avidzie.

Susan spojrzała na niego znacząco.

- Czy to jest powód, dla którego tu przyszedłeś? Żeby przekazać jej wiadomości?

- Sądziłem, że nie będzie chciała rozmawiać ze mną przez telefon. Podejrzewałem, że każe

ci powiedzieć, że już jest w łóżku czy coś takiego - odparł otwarcie.

- Tak jak wczoraj - przyznała Susan. Uniosła brwi. - Czy myślę się, sądząc, że nie przyszedłeś tu omawiać interesów? Mężczyzna nie przynosi stokrotek w styczniu, jeżeli ma zamiar porozmawiać o sprawach zawodowych.

Wypytywanie zniecierpliwilo Brandta.

- Nie wiesz, gdzie jest Kelly?

- Dlaczego akurat stokrotki? - padło następne pytanie. - Myślę, że zaszalałeś - są takie słodkie. Jednak, gdyby bliżej przyjrzeć się zaistniałej sytuacji, powinieneś raczej przyjść z jakąś ciężką maszyną. Co najmniej tuzinem pąsowych róż. Co się zdarzyło między wami w Avidzie?

- Kelly ci nic nie mówiła?

- Nie. I nie powie. Jesteśmy dobrymi przyjaciółkami, ale nie zwierza mi się. Nie zwierza się zresztą nikomu, może z wyjątkiem Buttera. - Jakby na zawołanie, duży, żółtawy kot wkroczył do pokoju. Miauknął na przywitanie i wskoczył na krzesło, bacznie im się przypatrując.

Susan uśmiechnęła się. - Jest tak samo zagadkowy jak jego pani.

- Nie mam pojęcia, co złego zrobiłem. - Brandt wlepił wzrok w podłogę. - Wszystko potoczyło się może zbyt szybko, ale od początku byłem pewny swych uczuć i myślałem, że Kelly czuje to samo. I nagle odsunęła się ode mnie tak zdecydowanie i całkowicie. - Zdesperowany usiadł na sofie. - Ale dlaczego opowiadał to wszystko tobie? Powinieneś raczej porozmawiać z Kelly. Gdzie ona jest?

- Poszła odwiedzić Cindy, swą Małą Siostrzyczkę. Miała dla niej jakiś prezent.

- Tak. tak. Lalkę z Avidy. - Brandt skrzywił się. Żeby ją kupić, poprosiła o pieniądze Charlesa, nie jego. Nadal go to bolało. Kupiłby z radością dziesięć takich lalek, gdyby go tylko o to poprosiła.

- Lalkę, koszulę nocną, a także książki, spodnie i sweter. Zrobiła dziś rano zakupy. Wydaje majątek na to dziecko - westchnęła Susan.

- Teraz jeszcze będzie utrzymywać rodzinę w Avidzie. Podejrzewam, że znów zacznie pisać studentom prace, żeby sobie dorobić.

Brandt pomyślał o dziewięciuset dolarach, które już tam zostawiła. To nie był tylko wielkopański gest, zamierzała pomagać w dalszym ciągu.

- Kelly jest bardzo wielkoduszna. Chce dawać, chce czuć się potrzebna. - Susan wzruszyła ramionami. - I jest jedyną osobą, jaką znam, która nie oczekuje niczego w zamian. Nie rozumiem jej, ale bardzo ją za to podziwiam.

Brandt poderwał się. „Nie oczekuje niczego w zamian.”

Te słowa uderzyły go.

Kelly umiała dawać, ale nie umiała brać. Dlaczego? Przed oczami stanął mu obraz, kiedy płakała w jego ramionach pewnego ranka w Avidzie. Co mu wtedy powiedziała? 'Tak bardzo boli uświadomić sobie w końcu, że jesteś zupełnie sam, że nikt cię nie chce. I nikt chciał nie będzie.'"

Kelly chciała dawać miłość; potrzebowała jej dawać. Ale nie oczekiwała niczego w zamian. Nigdy nie pozbyła się uczucia, że jest nie kochana i nikomu niepotrzebna.

„Porzucona! Na ulicy, w deszczu jak... jak worek śmieci.” Wierzyła, że matka porzuciła ją, gdy była dzieckiem. Takie doświadczenie zostawia rysy tak głębokie, że z pewnością nie była w stanie ich ogarnąć. Kochał się z nią i wyznał jej miłość, wierząc, że ona zrozumie, jak bardzo jest to prawdziwe. Oczywiście, że nie zrozumiała. Wymagałoby to dużo czasu i wiele cierpliwości. I stałego okazywania uczuć.

Stał przed wyzwaniem. Michele też żądała wiele od niego. I za to ją kochał jeszcze bardziej. Był mężczyzną, który musiał czuć się potrzebny. Cieszył się, wprowadzając Corrine, Debbie i Todda do swego domu. Obowiązki życia w rodzinie sprawiały mu tylko przyjemność. Czy to jakiś instynkt przyciągnął go do Kelly; do Kelly, która tak bardzo potrzebowała miłości?

- Dzięki, Susan. - Uśmiechnął się do niej, lekki i podniesiony na duchu. - Bardzo mi pomogłaś. Zapraszam cię w piątek na nasz ślub.

Susan wpatrywała się w niego.

- Hmm, nie sądzisz, że jesteś nastawiony zbyt optymistycznie? Kelly nie będzie chciała

nawet rozmawiać z tobą, a ty planujesz za cztery dni ślub?

- Poślubiłbym ją już jutro, ale trzeba załatwić kilka ważnych dokumentów, więc chyba będzie to możliwe dopiero w piątek - wyjaśnił i uśmiechnął się, widząc jej zdumienie. - Ale może nie wspominaj jej o tym jeszcze teraz. Jest kilka rzeczy, które musimy omówić.

- Też tak uważam - przytaknęła. - Nic się nie martw, nie puszczyć pary z ust.

„Susan podejrzewa, że jestem lekko stuknięty” - pomyślał z satysfakcją. Chyba rzeczywiście był. Był stuknięty na punkcie Kelly. Wciąż się uśmiechał, nawet gdy znalazł się przed frontowymi drzwiami. Uśmiech zamarł mu jednak na ustach, gdy otworzył je i zobaczył w nich Kelly.

Dziewczyna cofnęła się.

- Cześć Brandt. - Uśmiechnęła się słabo. - Masz jakieś problemy z odczytaniem moich notatek?

Jej wymuszona uprzejmość była tak samo trudna do pokonania jak chłód. Czyżby naprawdę myślała, że przyszedł tu omawiać materiały?

- Skądże, są przejrzyste i doskonale zredagowane. Mam... pewne wiadomości o Cariście i Para de Leonie.

- Ach tak?

Wyglądał wspaniale. Silny, duży i męski - mimo woli podziwiała go. Kochał się z nią i mówił, że ją kocha. Ale nigdy już tego nie powie. Serce jej się ścisnęło. Oczywiście, przyszedł się z nią podzielić wiadomościami i zakończyć ich współpracę.

- Obaj zostali aresztowani i oskarżeni o handel dziećmi, szantaż, przekupstwo i wiele innych przestępstw. Carista będzie deportowany do Avidy.

Wyglądała na zziębniętą i zmęczoną. Nigdy nie widział jej oczu tak dużych i tak zielonych, jak w tej chwili. Ale miała się na baczności. Czuli prawie namacalnie, jak bardzo starała się nad sobą zapanować. Była znowu niedostępna i chłodna. Dlaczego nie pozwalała mu się zbliżyć? Był jej pierwszym kochankiem. Oddała mu się, on wziął wszystko, co mogła mu dać - dziewictwo, namiętność, miłość. Dlaczego prowadzili więc ten sztuczny dialog zamiast porozmawiać o tym, co naprawdę było dla nich istotne?

- To dobrze! - odparła krótko. - Co z domem Przyjaciół Dzieci? - W ogóle ją to nie interesowało. Gdyby przyszedł zobaczyć się z nią, a nie rozprawiać o tym obrzydliwym Cariście i Para de Leonie...

- Przejmie go międzynarodowa agencja, która będzie dokonywać legalnych adopcji. - Spojrzał na jej usta. Co by zrobiła, gdyby porwał ją w objęcia i delikatnie pocałował? Jaka byłaby jej reakcja? A może odsunęłaby się jeszcze bardziej?

- Bardzo się cieszę. Te dzieci zasługują na coś więcej niż na traktowanie ich jak towar przez parę ponurych, chciwych zysku drabów. Na dużo więcej... - Serce łomotało jej w piersi. Patrzył na nią, patrzył w ten swój sposób, rozbudzał nadzieję...

- Butter, wracaj natychmiast! - Usłyszeli głos Susan dobiegający z pierwszego piętra.

Na schodach pojawił się kot. Zaraz po nim zbiegła Susan.

- Kelly, już jesteś! Przypadkiem zostawiłam otwarte drzwi i ten cholerny kot oczywiście zwiął. Musiał usłyszeć twój głos.

Kelly natychmiast podeszła do schodów i wzięła Buttera na rękę.

- Spotkałaś Brandta? Przyniósł piękny bukiet stokrotek - entuzjasmowała się Susan.

- Stokrotek? To bardzo miło z jego strony - odparła z chłodem. Odwróciła się i zawołała do Brandta:

- Bardzo dziękuję, panie Madison.

Brandt powstrzymał jęk. Susan miała zupełną rację. Czerwone róże byłyby lepsze. Jedyne w swoim rodzaju tok rozumowania Kelly prowadził ją do wniosku, że wręczenie bukietu stokrotek jest stereotypowym gestem kolegi kończącego współpracę. Odrzucił pomysł kupienia róż, bo wydawał mu się bardzo oklepany, zbyt oczywisty. Teraz wiedział, że Kelly potrzebowała właśnie takich kwiatów. „Zapomnij o subtelności, zapomnij o delikatnych aluzjach, Brandt. Potrzeba ciężkiej artylerii.”

Kelly wyrwała kartkę z maszyny, zmiała ją w kulkę i wrzuciła ze złością do kosza. Co się z nią dzieje? Napisała już przecież artykuł o kuchni indonezyjskiej, pisała już o kuchni

meksykańskiej, gdy ta była zupełną nowością. Dlaczego więc nie mogła napisać czegoś o najmodniejszej obecnie kuchni południowoamerykańskiej?

Ale jak mogła zajmować się sposobami przyrządzania potraw, choćby najbardziej egzotycznych, gdy palce świerbiły ją, by napisać o Carmelicie, Louisie i ulicznych złodziejaskach Monsambry? Wittowi, oczywiście, nie spodobałby się ten temat. Zgodziłby się na adopcję, na coś, co zaszokowałoby czytelników „In the Know”, ale nie był zainteresowany biedą i ubóstwem.

Westchnęła i sięgnęła po następną kartkę papieru, ganiać się za nielojalne myśli. Co się z nią działo? Kochała ten magazyn, nie była z niego niezadowolona. Była świadoma, że - gdy pisze się dla pieniędzy - nie zawsze można wybierać temat. Ale istniały rekompensaty dające satysfakcję.

Niech szlag trafi Brandta za to krytykowanie „In the Know”! Kelly próbowała wywołać w sobie słuszny gniew. Znów się jej nie udało. Zamiast tego pomyślała o comiesięcznej rubryce „O czym wiedzieć trzeba, a o czym nie”. Wdowa z Avidy mieszkająca w norze i otoczona gromadą głodnych dzieci w łachmanach nie była tematem numer jeden.

- Kelly. - Doszedł ją głos Jenny, która pojawiła się jakby spod ziemi przed jej biurkiem. - Witt prosił, żeby ci przekazać, że ktoś u niego na ciebie czeka.

Serce podeszło jej do gardła. Wczoraj to był Brandt. Czyżby przyszedł i dzisiaj?

- Dzięki, Jenny.

Żałowała, że nie ma na sobie czegoś atrakcyjniejszego od szarej, plisowanej spódnicy i biało-szarej bluzki. Makijaż też nie był najlepszy.

Ocknęła się, gdy nerwowo przerzuciła torebkę w poszukiwaniu puderniczki. Co też ona wyczynia? Brandt nie będzie zważał na jej strój i brak makijażu. To była służbowa wizyta, taka jak wczoraj. Na pewno miał jakieś rewelacje dotyczące Caristy albo Para de Leona...

Zebrała się w sobie i weszła do gabinetu szefa. Nie było tam Brandta. Rozczarowanie było tak wielkie, że ledwie dostrzegła rozmawiającego z Wittem wysokiego, serbrzystowłosego mężczyznę.

- Kelly! - Witt pospieszył ją przywitać. Nie wiadomo dlaczego był zdenerwowany. - Poznaj naszego wydawcę, pana Tuckera Norwalka. Pofatygował się do nas specjalnie, żeby się z tobą spotkać.

Tucker Norwalk? Kelly starała się nie okazać zdumienia. Nic dziwnego, że Witt był zdenerwowany! Stał przed nią sławny (niektórzy ujęliby to wręcz odwrotnie) wydawca. Jego nienagannie skrojony, trzyczęściowy garnitur wyglądał na kosztowny, nawet dla takiego laika jak ona. Raziło ją tylko nieszczęśliwe zestawienie go z jaskraworóżową koszulą, która miała ten sam kolor, co flamingi na krawacie.

- A więc to pani jest tą Kelly Malloy? - Przyjrzał się jej i na jego sympatycznej twarzy pojawił się uśmiech. Wyciągnął do niej rękę. - Czy ma pani coś przeciw temu, że będę się do niej zwracał po imieniu? Lubię myśleć, że wszyscy zatrudnieni w wydawnictwie Norwalka to jedna wielka rodzina.

Kelly skrzywiła się. Taki banał i jeszcze posądzenie ją, że ma w ogóle coś wspólnego z „The National Cesspool” i jego podwładnymi. Zdołała się jednak uśmiechnąć.

- Bardzo mi miło pana poznać, panie Norwalk. - Próbowała oderwać wzrok od hipnotyzującego widoku flamingów.

- Była pani z moim chrestnym synem, Brandtem Madisonem, w Avidzie - zagrzmiał Norwalk. - Podoba mi się pomysł, cała ta historia i wasza praca. Udawanie, że jesteście małżeństwem, żeby zdobyć dowody. Dobra robota, humanitarne cele. To co czytelnicy Informanta lubią najbardziej.

Kelly rzuciła wściekle spojrzenie Wittowi, ale on unikał jej wzroku.

- Chcę mieć tę historię. Pójdzie na pierwszej stronie - zachęcał. - Tylko potrzebne jest lepsze zakończenie. Na przykład, że adoptowaliście z Brandtem dziecko. Wszyscy by się tym zaczytywali!

Kelly była przerażona. Ona w Cesspoolu? To musi być jakiś senny koszmar. Może jeśli będzie rozsądna, obudzi się.

- Panie Norwalk, naprawdę nie sądzę, że...

- Kelly jest u nas jedną z najlepszych - wtrącił Witt. - Pewnie by mogła...

- Z drugiej strony, dlaczego po prostu nie dopiszemy dobrego zakończenia? Po co się sprzeczać o drobiazgi. To nie w naszym stylu. Tak zrobimy. Kelly i Brandt adoptują dziecko z Avidy, wrócą do nas i będą żyć długo i szczęśliwie. Nasi czytelnicy kochają szczęśliwe zakończenia - dodał z przekonaniem.

- Panie Norwalk! - wysapała ze złością. Wcale się nie budziła. Setki różnych flamingów tańczyło jej przed oczami, gdy Tucker Norwalk pochylał się, to w przód, to w tył. - Absolutnie nie mogę...

- Czy masz jakieś swoje zdjęcie, kochanie? - przerwał jej Norwalk. - Chodzi mi o coś seksownego: w bikini albo frymuśnej bieliźnie. Zawsze chcemy pobudzać wyobraźnię naszych czytelników, niech się przynajmniej domyśla, co wydarzyło się w waszej sypialni podczas parnych awidańskich nocy.

- Och! - To przechodziło jej wszelkie wyobrażenia. Wy" dawca Cesspoola był dokładnie taki, jak to sobie wyobrażała. Ale ona nie będzie wodą na młyn... jego pornograficznych upodobań. - Panie Norwalk, ja...

- Kelly, chciałbym porozmawiać z tobą na osobności... - Witt chwycił ją pod ramię i szybko wyprowadził z pokoju, zanim zdążyła oznajmić Tuckerowi Norwalkowi, co może sobie zrobić z tym śmieciem, który uważa za gazetę. - Kelly, zgadzam się z tym, co myślisz, ale, na miłość boską, nie mów tego Norwalkowi! Nie pozostanie mu nic innego, jak tylko cię wylać!

- Witt, nie będę figurować na stronicach Cesspoola obok takich kawałków jak „Opiekun w ZOO zmienia się w małpę i zakochuje w gorylicy”!

- Może i nie będziesz musiała, Kelly - uspokoił ją Witt. - Norwalk zaznaczył zdecydowanie, że ukazanie się tego artykułu zależy wyłącznie od Brandta. Musisz po prostu iść po niego i zmusić go, żeby tego zaniechał. Wydaje mi się, że jest ci coś winny, Kelly. Dałaś mu przecież wszystkie swoje notatki, pamiętasz?

Kelly drżała. Ze złości, z oburzenia... i na myśl o ponownym, nieoczekiwanym spotkaniu z Brandtem Madisonem.

Drzwi gabinetu otworzyły się i ukazał się w nich Tucker Norwalk.

- Muszę już lecieć - oznajmił jowialnie. - Mam być na lotnisku za godzinę. Kelly, przyslij te zdjęcia do biura Informanta, najszybciej, jak się da. - Ujął jej rękę i potrząsnął nią. To samo zrobił z dłonią Witta. - Trzymać tak dalej! „In the Know” to klasa w swoim rodzaju!

Kelly zacisnęła pięści.

- Panie Norwalk...

- Dziękuję panu - przerwał natychmiast Witt. - Będziemy starać się, żeby utrzymać „In the Know” na dobrym poziomie. To nasz najlepszy magazyn. Nieprawdaż, Kelly? - Zanim odpowiedziała, wciągnął ją z powrotem do gabinetu. Tucker Norwalk zniknął w korytarzu.

- Witt... - zaczęła Kelly, ale on gestem dłoni nakazał jej milczenie.

- Kelly, nie winie cię za to, że nie chcesz współpracować z Cess... z Informantem. Spójrz, Norwalk zostawił adres Madisona. - Podał jej zapisaną kartkę. - Dlaczego nie pójdziesz od razu i otwarcie nie wyłuszcysz całej sprawy?

- Dziękuję, Witt. - Kelly chwyciła kartkę. - Wrócę niebawem. Nie zajmie mi dużo czasu przekonanie Brandta Madisona, że zamieszczenie tego artykułu w szmatławej gazecie Norwalka podważy wiarygodność jego książki.

- Na to go weźmiesz, tak? - zastanawiał się głośno Witt. - Pominiesz ten cały numer z seksem?

- Numer z seksem? - Niemal zabiła go wzrokiem. - Myślę, że za długo przebywałeś w towarzystwie Norwalka, Witt - otworzyła drzwi. - Zobaczymy się niebawem.

Witt patrzył na nią z błyskiem w oku.

- Nie byłbym taki pewny, Kelly - zachichotał.

## 11

- To Tucker. Dzwonił z limuzyny - powiedział do Corrine Brandt. - Widział, jak Kelly wychodziła z biura. Przed chwilą złapała taksówkę.

- W takim razie powinna tu być za pół godziny. - Corrine spojrzała na zegarek. - Wystarczy ci, jeżeli zabiorę dzieciaki do dziesiątej wieczorem?

- Dziesiątej wieczorem? To ponad dziesięć godzin. Uśmiechnął się ponuro. - Mam zamiar załatwić z Kelly wszystko w przeciągu piętnastu minut, licząc od momentu przekroczenia

progu tego domu.

- Ale tak na wszelki wypadek, gdyby jednak zeszło ci trochę więcej czasu na przekonywaniu tej dziewczyny, że jest w tobie zakochana do szaleństwa, nie wrócimy przed dziesiątą.

- Dziękuję, Corrine. Nie muszę chyba mówić, że wszyscy troje - ty, Todd i Debbie - jesteście zaproszeni na nasz ślub w piątek.

- Piątek, tak? Zawsze mocno w siebie wierzyłeś. Poklepała go po policzku. - Brandt, jeżeli Kelly ma cię uszczęśliwić, życzę wam obojgu wszystkiego najlepszego.

- Uszczęśliwi mnie na pewno - odparł z przekonaniem. - Ja także ją uszczęśliwię. Nie mam żadnych wątpliwości ani co do pierwszego, ani drugiego.

Nie miał wątpliwości, ale był zdenerwowany. Po wyjściu Corrine chodził bez celu po mieszkaniu, czekając na przyście Kelly. Wiedział, że przyjdzie. Wystąpienie Tuckera do jej biura z propozycją umieszczenia ich w Cesspoolu było ruchem z jego strony. Musiała na to zareagować. Nie chciał nawet myśleć, co by się stało, gdyby tego nie zrobiła.

Dokładnie po trzydziestu jeden minutach od opuszczenia biura Kelly stanęła pod drzwiami apartamentu Madisonsa. Przez całą drogę zastanawiała się nad najlepszym sposobem przekonania Brandta, żeby stanowczo odrzucił propozycję Norwalka. Czy ma na niego krzyknąć? Czy mu pochlebiać? Czy zachowywać się chłodno? Wszystkie sposoby miały swoje za i przeciw.

Brandt otworzył drzwi po pierwszym dzwonku. Przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa. Kelly poczuła, że krew uderza jej do głowy. Miał na sobie spodnie z grubego trykotu w kolorze khaki i beżowo-żółty sweter, który podkreślał złocisty kolor jego oczu. Kelly miała zupełnie wyschnięte usta i spocone dłonie.

- Wejdz, Kelly - zaprosił ją do środka, przepuszczając w drzwiach.

Zauważyła, że wcale nie był zaskoczony jej widokiem. Zdenerwowana, objęła jednym spojrzeniem cały przestronny pokój, do którego weszła. Brandt zamknął drzwi. Usłyszała szcęk zamka. Odwróciła się i zobaczyła go opartego o drzwi i przyglądającego się jej z uśmiechem. Poczula się jak mała myszka, która z powodu własnej głupoty znalazła się w jaskini lwa.

Czuła pustkę w głowie.

- Mogę wziąć twój płaszcz? - zapytał uprzejmie.

W odpowiedzi otuliła się nim jeszcze szczelniej.

- Nie. To, z czym przychodzę, nie zajmie dużo czasu. - Wzięła głęboki wdech. - Założę proces o zniesławienie, jeśli moje imię pojawi się na łamach tego skandalicznego szmatławca! - krzyknęła. - Brandt jesteś poważnym znanym pisarzem. Na co ci ta mierna reklama? - Teraz było pochlebstwo. - Machlojki Caristy to przestępstwa międzynarodowe i powinny się nimi zająć powołane do tego organizacje, a nie brukowiec mieniący się gazetą, chłodno i najbardziej rozsądnie. Dobra, wyczerpała wszystkie trzy argumenty. Pozwoliła sobie przelotnie spojrzeć na Brandta. Jak zareaguje?

Podszedł do niej z rozbawieniem w oczach.

- Bardzo tu ciepło. Musisz zdjąć płaszcz - powiedział spokojnie i nie zważając na jej protesty odpiął guzik.

- Nie! - Złapała poły. - Nie... nie przyszedłam tu po to, żeby się...

- Rozbierać? - Zsunął płaszcz z jej ramion.

- Rozrywać towarzystwo - poprawiła go szybko rumieniąc się. Ręce jej się trzęsły i Brandt nie miał żadnych problemów z płaszczem.

Rzucił go na krzesło i natychmiast zabrał się za guziki bluzki. Próbowwała odskoczyć, ale ją przytrzymał. Zrećcznie zdjął z niej bluzkę i upuścił na podłogę.

- Brandt - wyszeptła. Mieszało jej się w głowie. Był tak blisko, że czuła żar jego ciała, siłę jego męskich kształtów. Podniecenie seksualne emanujące z niego, obezwładniało ją. Trudno jej było oddychać.

- Nie przyszedłam tu po to, żeby... żeby... - zgubiła wątek, gdy dotknął jej piersi. Pod cienką, koronkową, jasnoróżową halką i biustonoszem w tym samym kolorze czuła, jak jej sutki twardnieją w oczekiwaniu na jego dotyk.

- Nie, oczywiście, że nie... - Brandt był ubawiony, ale i czuły. Przyciągnął ją bliżej i

pocałował w szyję. - Przyszedł tu, wierząc święcie, że Tucker chciał nas na łamach „The National Informant”. Jestem pewien, że byłaś przekonana do szpiku kości, że celem twojej wizyty będzie powstrzymanie mnie od tego.

Kelly nie zauważyła, że na podłodze, obok bluzki, leży już jej spódnica.

- Nie... nie rozumiem.

- Podeszedłem cię, kochanie. Poprosiłem Tuckera o zaaranżowanie całej historii, gdyż zaczynałem tracić nadzieję, że kiedykolwiek będziesz chciała ze mną rozmawiać. - Jego usta ukryły jej usta, język pieścił delikatnie podniebienie, zęby szarpały leciutko wargi.

Oczywiście, nie powiedziałem mu o twojej awersji do Informanta. Powiedziałem tylko, że jesteś osobą, która nie lubi, aby jej prywatne sprawy wystawiano na widok publiczny. Tucker był zachwycony, że może mi się przysłużyć. Mówiłem ci, że był najstarszym i najbliższym przyjacielem mego ojca? Że kiedy ojciec miał wypadek i uznali go za niezdolnego do pracy, wujek Tuck dał mu szansę?

- Wujek Tuck? - powtórzyła za nim sucho.

- To mój chrzestny ojciec. Corrine też. Zawdzięczamy mu tak wiele.

- Nie wspominałeś o tym. Teraz rozumiem, dlaczego nie mogłeś mi powiedzieć „nie”, kiedy poprosił cię o współpracę ze mną.

- Uhm. To była najlepsza przysługa, jaką mi kiedykolwiek wyświadczył.

Przerwał, by ją pocałować. Zadrżała i przylgnęła do niego. Uśmiechnął się.

- Należysz do mnie, Kelly. Do mnie, do moich ramion. Wiedziałem, że jeżeli istnieje jakakolwiek broń mogąca przebić się przez wznoszone przez ciebie zapory i sprawiająca, że przybiegniesz do mnie jak na skrzydłach, to musi nią być wmieszczenie cię w artykuł Informanta. - Zaśmiał się. - Zwłaszcza te zdjęcia!

To co mówił było, zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe.

- Nie... nie będzie żadnego artykułu? - mogła się zdobyć tylko na tyle.

Brandt udawał zirytowanego.

- Widzę, że będę musiał włożyć ci to do twojej główki łopatą. Nie, Kelly, nie będzie żadnego artykułu. - Odchylił się i spojrzał głęboko w jej jeszcze niepewne oczy. - Kelly, kocham cię. Powiedziałem ci to już w Avidzie, ale oczywiście nie uwierzyłaś. A to jest prawda, Kelly. Mam zamiar udowodnić ci to przez całe życie.

Z gardła Kelly wydobył się cichy jęk.

- Nie mogę uwierzyć, że naprawdę mnie kochasz - wyszeptwała.

- Uwierz w to, Kelly. Kocham cię i chcę, żebyś została moją żoną - tak szybko, jak będzie to możliwe. W żadnym razie nie później jak pod koniec tygodnia. - Pochylił głowę i pocałował ją. Była tak oszołomiona, że nawet nie zamknęła oczu, nawet wtedy, gdy pocałunek stał się gorący i namiętny. Patrząc mu w oczy, łatwiej jej było zaakceptować rzeczywistość.

Zostawił jej usta, ale nadal trzymał ją mocno w objęciach.

- Co było nie tak w Avidzie, Kelly? - zapytał cicho. - Dlaczego przestałaś wierzyć, że cię kocham?

- Nie... nie przestałam wierzyć, że mnie kochasz - wyznała. - Nigdy w to nie wierzyłam. Sądziłam, że powiedziałeś tak dlatego, żeby być... miłym.

- Mężczyzna nie mówi kobiecie, że ją kocha, żeby być miły, Kelly - odparł krzywiąc się.

- Ale byliśmy w łóżku, w afekcie...- Wzdrygnęła się. - Potem, kiedy byłeś taki zły na mnie, byłam pewna, że poczułeś, że wpadłeś we własne sidła. Wiedziałam, że chcesz mnie porzucić. - Spuściła wzrok. - Rozumiem to. - W jej głosie nie było nuty gorczy czy oskarżenia.

- I postanowiłaś mi to ułatwić, odsuwając się ode mnie fizycznie i psychicznie. - Smuciło go, że nie pomyślała, że ma prawo być zły z powodu jej lekkomyślności. - Kelly, nie czułem, że wpadłem w sidła. Nie chciałem cię porzucić i nie chciałem, żebyś ty mnie porzuciła. Skarbie, potrzebuję cię - nie tylko w łóżku. To coś znacznie poważniejszego. Chcę cię mieć przy sobie przez całe życie. Chcę dzielić z tobą życie, chcę się śmiać razem z tobą, być z tobą, gdy będziesz się czuła nieszczęśliwa, zagubiona czy samotna. I chciałbym, żebyś ty potrzebowała mnie tak samo.

Kelly wpatrywała się w niego, słuchając z zachwytem tego, co powinien był jej powiedzieć

w Avidzie. Nie zrobił tego, gdyż wydawało mu się to zbyt oczywiste!

Na twarzy Brandta pojawił się uśmiech. W tym momencie zdał sobie sprawę z tego, że nadzieje na ich wspólną, cudowną przyszłość nie są płonne. Zaczynał doskonale pojmować tok rozumowania Kelly, jej wrażliwą i skomplikowaną psychikę. Całe lata studiów nad psychologią, wgłębianie się w umysły innych umożliwiały mu dotarcie do niej. A może rozumiał ją dlatego, że ją kochał. Nieważne, nie będzie już więcej nieporozumień między nimi. Już on tego dopilnuje.

Kelly spostrzegła, że Brandt się uśmiecha i także zaryzykowała nieporadnym uśmiechem.

- Czy ty na pewno potrzebujesz właśnie mnie? - spytała nieśmiało.

- Potrzebuję cię bardziej niż kogokolwiek czy czegokolwiek. Powiedz mi, że mnie nie zostawisz, że nigdy już nie będziesz mi się wymykać.

Powoli objęła go za szyję.

- Kocham cię, Brandt. Nigdy cię nie zostawię. Nigdy, jeżeli będziesz mnie potrzebował.

- Potrzebuję cię teraz i zawsze będę cię potrzebował.

- Och, Brandt - wymówiła z czułością jego imię i przyciągnęła go do siebie. Zaczął całować ją tak, jak tego pragnęła, gorąco i mocno, z językiem tkwiącym głęboko w jej ustach, z rękami pobudzającymi całe jej ciało.

- Kocham cię, Kelly - powtórzył namiętnie. - Nie jesteśmy w łóżku i choć jestem na pewno w afekcie, chcę, żebyś wiedziała, że jestem w pełni świadomy tego, co mówię. I chciałbym, żebyś mi teraz uwierzyła. Żebyś wierzyła mi zawsze.

Jej różowa halka dołączyła do spódnicy i bluzki na podłodze.

- Brandt! - krzyknęła, gdy jego duże, ciepłe ręce wślizgły się pod majtki i zaczęły gładzić brzuch.

- Co więcej, oczekuję, że będziesz mi stawiać jakieś wymagania - ciągnął dalej. - Chcę, żebyś mnie potrzebowała. Twoje miejsce jest przy mnie. Jesteś moja i nie pozwolę ci odejść.

Jego zachłanność poraziła ją. Nigdy nie należała do niego. Słowo „jesteś moja” były tak samo słodkie jak słowa „kocham cię”. Wsuwając delikatnie ręce pod jego sweter, odważyła się powiedzieć:

- Kocham cię, Brandt - głęboki oddech. - Jesteś... jesteś mój.

Porwał ją w ramiona i unióś do sypialni, po czym położył na swym szerokim, królewskim łóżu.

- Nie chciałbym, żebyś kiedykolwiek o tym zapomniała.

Położył się obok niej i namiętnie sięgnął po jej usta.

Jęknęła i rozchyliła wargi. Zaciśnęła dłonie na jego silnym karku. Czowała ciepły, twardy ciężar nad sobą. Jak we śnie, była z nim, czowała się kochana i upragniona. Wiedziała, że należała do niej, tak jak ona należała do niego.

Pocałunek stawał się coraz głębszy, jego język sięgał coraz dalej. Chwycił palcami, sterczące pod cienkim materiałem stanika, sutki. Pieścił je delikatnie, doprowadzając ją tym do szału. Potem zdjął stanik i przyłgnął do nich ustami.

Kelly zadrzała, gdy uświadomiła sobie siłę własnego pożądania. To nie był sen. Jego namiętność była prawdziwa i tak rzeczywista, jak wszechogarniająca ich miłość.

Rozebranie się zajęło mu tylko kilka sekund. Nie dłużej trwało ściągnięcie jej majtek. Osuwał się coraz niżej, aż nie mogła powstrzymać jęków, westchnień i drżenia na myśl o nadchodzącej rozkoszy.

Oboje byli jak szaleni. Ciało Kelly przeżyło się pełne wyczekiwania, uległości i pożądania. Wszedł w jej wilgotną delikatność, poruszając się władczo i narzucając jej swój rytm, podczas gdy ona poddawała mu się, w pełni kobieta.

Żar ich ciał wzmagał się, gorzał coraz jaśniej, dając obojgu niewypowiedzianą rozkosz. W końcu fale gorącej ekstazy przeniosły ich przez burzę uniesień do brzegów słodkiego spełnienia.

Leżeli razem przez długi czas, zespoleni fizycznie i duchowo, delektując się przeżytym szczęściem, całując się i cicho rozmawiając.

- Nasz ślub jest w piątek - poinformował ją, całując po każdym wypowiedzianym słowie. - Zaprosiłem już Susan, Corrine i dzieciaki.

- Jak miło, że przypomniałaś sobie także o mnie. - Głaskała go po karku.



- Yhmm. Pomyślałam, że może będziesz potrzebowała kilku dni na kupno sukienki i zaplanowanie naszego miodowego miesiąca.

- Gdzie?

- Tam, gdzie jest ciepło. Daleko od Chicago i zimy. Nie do Avidy.

Kelly zachichotała.

- Nie miałabym nic przeciwko Avidzie. Jeżeli tylko nie musielibyśmy odwiedzić Para de Leona i Caristy w ich celach...

- Pojedziemy kiedyś do Avidy, Kelly. Odwiedzić Carmelitę i dzieci, i może adoptować dziecko z legalnego Domu Przyjaciół Dzieci.

Kelly spojrzała z niedowierzaniem.

- Mówisz poważnie?

- Kiedyś, pięknego dnia, przekonasz się, że mówię to, co myślę. - Pociągnął ją do siebie i objął mocno. - Chciałbym też pomóc Carmelicie i jej dzieciom. Jeżeli zechcesz, mogę nawet ściągnąć ich do Stanów. I poważnie myślę o adoptowaniu dziecka.

W oczach Kelly pojawiły się łzy radości.

- Brandt nawet nie wiesz, jakie to dla mnie ważne. Chcę mieć dziecko z tobą, ale zawsze chciałam stworzyć rodzinę małemu, bezdomnemu człowiekowi.

Wzruszony Brandt wyobraził ją sobie jako małą dziewczynkę, tęskniącą za prawdziwą rodziną.

- Będziemy mieli swoje własne i adoptowane dzieci. Oboje je lubimy. Sądzę, że posiadamy cechy, które pozwolą nam zostać dobrymi rodzicami tak licznej rodziny.

- Och, Brandt, to najszczęśliwszy dzień w moim życiu. Nie wiem, czym sobie zasłużyłam na takie szczęście. To... to chyba cud.

- To nie jest cud, Kelly. Zasługujesz na szczęście, ponieważ sama dajesz szczęście. Skarbie, długo myślałam o tym, co mi powiedziałaś; o tym, jak policjant znalazł cię na ulicy. - Poczuł, że robi się napięta, więc natychmiast zaczął ją gładzić. - Nikt nie wie dlaczego ani jak znalazłaś się tej nocy na ulicy. Czy przyszło ci kiedykolwiek do głowy, że to nie twoja matka cię tam zostawiła?

Oczy Kelly zrobiły się większe.

- Nie, nigdy. Zawsze myślałam, zresztą wszyscy inni też, że zrobiła to moja matka.

- Czy nie jest możliwe, że osoba, która zostawiła cię na tej ulicy ukradła cię twojej matce? Może zostałaś porwana i uprowadzona z jakiegoś innego, odległego stanu i przywieziona do Chicago? To mógł być ktoś obcy, może ktoś z rodziny próbował w ten sposób zemścić się na twojej matce. Wtedy nie szukano jeszcze porwanych dzieci przez telewizję i radio. Znalezienie dziecka w Chicago nie było wiadomością przekazywaną na cały kraj. Gdyby porwano cię dzisiaj, twoje zdjęcie mogłoby się pojawić na każdym opakowaniu mleka i w każdym programie telewizyjnym poświęconym zagubionym dzieciom. Teraz są komputery, które bardzo ułatwiają odnajdywanie osób zaginionych. Ale kiedy miałaś dwa lata, wyglądało to zupełnie inaczej.

- Och, Brandt, myślisz, że to naprawdę możliwe? - Kelly była ogromnie przejęta tą historią. Może wcale nie została porzucona przez matkę? Przypuśćmy, że ta kobieta stała się ofiarą tak samo jak ona i bardzo cierpiała z powodu straty dziecka i samotności?

- Kelly, możliwe, że nigdy się tego nie dowiemy. Pamiętaj jednak, że pomimo szoku, jaki przeżyłaś w dzieciństwie, wyrosłaś na silną i zaradną osobę. Gdy byłaś dzieckiem, nie obdarzono cię czułością, ale teraz jesteś kochającą i oddaną kobietą. Nikt by się tego nie spodziewał po tym, co przeszłaś. Każdy podejrzewałby raczej, że zostaniesz emocjonalną kaleką. Pokonałaś to. Jak?

- Nie... nie wiem - szepnęła.

- Może dlatego, że pierwsze dwa lata swojego życia przeżyłaś z matką, która nauczyła cię kochać i wierzyć ludziom, z matką, która kochała cię tak bardzo, że w późniejszym okresie, nawet gdy cię od niej zabrano, mogłaś żyć normalnie. Podziwiam was obydwie.

To było zupełnie inne spojrzenie na jej życie. Brandt zmienił przeszłość Kelly jak historyk - rewizjonista. I nagle ta przeszłość nie wydała się jej już tak ważna jak kiedyś, nie ciążyła tak bardzo na sercu.

Cokolwiek się wydarzyło, było już poza nią - pokonała to. Teraz kochała człowieka, który

kochał ją na tyle, by zwrócić jej matkę w sposób, o jakim nigdy nie marzyła. Człowieka, który mógł ją uczynić matką, samemu stając się ojcem rodziny, o której marzyła zawsze.

- Kocham cię, Brandt - zapewniała go gorąco. Mówienie tych słów było tak samo cudowne, jak ich słuchanie. - Zawsze będę cię kochać.

- I ja cię kocham, skarbie. - Pochylił się, by pocałować ją z czułością.

I wtedy zadzwonił telefon. Jęknęli równocześnie i niechętnie odsunęli się od siebie.

- Jeśli to Corrine i dzwoni, ze” pojawi się wcześniej... - mruknął Brandt, podnosząc słuchawkę, ale nie dokończył.

- Słucham? - warknął. - Tucker? - Ton jego głosu zmienił się natychmiast. Roześmiał się. - Ślub w piątek. Oczywiście, że jesteś zaproszony. Dzięki za pomoc, wujku Tuck. Spełniłeś rolę...niezbędnego katalizatora. - Znów chichota!. - Nie, nie sadzę, Tucker. Nie, na pewno nie.

- Co na pewno nie? - spytała, gdy położył słuchawkę.

W oczach Brandta pojawiły się diabelskie ogniki.

- Wujek Tuck chciał opisać nasza love story w „The National Informant”. Sądził, że wzbudzi duże zainteresowanie. Uważa to za naturalne, podoba mu się też rola, jaką odegrał w naszym ponownym połączeniu. Twierdzi, że bawił się w swatkę dwa razy - pierwszy, gdy wystąpił z propozycją naszej współpracy, drugi - dzisiaj. Proponował reportera i fotografa z Informanta na nasz ślub. Jak słyszałaś, odmówiłem.

- Słuszna decyzja. Nasz ślub nie będzie dla nich żadnym wydarzeniem. Jesteśmy zbyt zwyczajni. Jak moglibyśmy konkurować z „Przybyszem z innej planety, poślubiającym mumię egipską”?

Brandt roześmiał się serdecznie.

- Chyba żartujesz!

- Nie przesadzam. Czytałam ten artykuł w kolejce do kasy w supermarkecie. Ceremonia zaślubin odbyła się na pokładzie UFO, wiszącego nad Morzem Śródziemnym. Panna młoda wystąpiła w bieli.

- Tak samo jak ty.

- Ale nie na pokładzie UFO!

Całując się, śmiejąc i trzymając w objęciach snuli plany na przyszłe, wspólne życie.